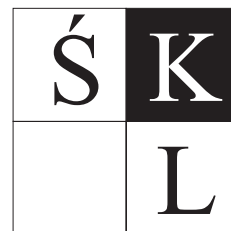


# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2020 NR 3-4 (69-70)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-7273-995-7

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO  
*Literatura – kieleckim sztandarem (Dziotz Kuncewicz)*



Dorota Kwoka, Bez tytułu, olej na płótnie (2013)

**RK RADIO**  
**KIELCE**  
**101,4 MHz**

*Słuchasz: Wiesz*

podcasty Radia Kielce online

[www.radio.kielce.pl](http://www.radio.kielce.pl)

znajdziesz nas na Facebooku

[www.facebook.com/Polskie.Radio.Kielce](http://www.facebook.com/Polskie.Radio.Kielce)

i na Twitterze

[www.twitter.com/radiokielce](http://www.twitter.com/radiokielce)

Polecamy również:  
Pierwsze w Polsce Radio  
z muzyką ludową przez całą dobę

[www.folkradio.pl](http://www.folkradio.pl)



[www.radio.kielce.pl](http://www.radio.kielce.pl)

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X  
ISBN 978-83-7273-995-7  
KIELCE 2020 NR 3-4 (69-70)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5  
tel. 500 602 111, e-mail: nyczaj@pro.onet.pl

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Polskiego Radia Kielce SA  
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP, stanowiący kolegium redakcyjne, w składzie:  
STANISŁAW NYCZAJ – redaktor naczelny  
BOGUSŁAW WIŁKOMIRSKI – sekretarz redakcji  
KRYSTYNA CEL, BENEDYKT KOZIEŁ, JAN LECHICKI – członkowie kolegium redakcyjnego

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Opublikowanie tekstów i zdjęć w „ŚKL” nie wiąże się z otrzymaniem przez autora jakiegokolwiek gratyfikacji. Jednocześnie Redakcja dziękuje za nieodpłatne przekazanie autorskich materiałów do druku.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

**OD REDAKCJI 5**

Stanisław Nyczaj: ZAPRASZAMY NA ŻEROMSZCZYZNĘ... 5	5
W rozmowie z wójtem Gminy Masłów Tomaszem Lato..... 5	5
W rozmowie z dyr. Centrum Edukacji i Kultury „Szkłany Dom” w Ciekotach Wojciechem Purtakiem..... 8	8

**WYDARZENIA 11**

Warszawska Jesień Poezji 2020..... 11	11
Stanisław Nyczaj: „Samosterowne słowa” i filmowe kadry... 11	11
Literatura jako antidotum, panaceum i wymowne słowomilczenie..... 14	14
<b>Wybór utworów z antologii <i>Na koronawirazu</i></b>	
Romuald Bielenda: wiersze..... 16	16
Krystyna Cel: wiersze..... 16	16
Harry Duda: wiersze..... 16	16
Elżbieta Jach: Fraszkii pandemiczne..... 17	17
Stefan Jurkowski: wiersze..... 17	17
Krystyna Konecka: Z cyklu <b><i>Kruchość</i></b> ..... 17	17
Benedykt Koziół: Tryptyk koronny..... 18	18
Jan Lechicki: wiersze..... 19	19
Elżbieta Lisak-Duda: wiersze..... 19	19
Anna Maria Musz: wiersze..... 19	19
Irena Nyczaj: Insekt (opowiadanie)..... 19	19
Stanisław Nyczaj: wiersze..... 22	22
Irena J. Paździerz: Odnowa (Od nowa) – opowiadanie..... 22	22
Kazimiera Szczykutowicz: wiersze..... 24	24
Julia Pawlicka-Dekert: wiersze..... 24	24
Władysława Szproch: wiersze..... 25	25
Anna Zielińska-Brudek: Jest do pokonania (opowiadanie) .. 25	25
Marlena Zynger: wiersz..... 26	26

**WSPOMNIENIA 27**

Uta Przyboś: Wspomnienie o Ojcu Julianie..... 27	27
Janusz Termer: Pożegnanie Eugeniusza Kabatca..... 31	31
Stanisław Nyczaj: Pożegnanie Ireny Żukowskiej-Rumin..... 33	33
Wspominamy Stanisława Bartosa (1934–2020)..... 35	35
Krystyna Cel: Sentymentalny rozrachunek..... 35	35
Dr Marianna Mycińska: Z wiarą, uporem i nadzieją w zmaganiach..... 36	36
Pisarze wspominają Rafała Orleńskiego i Stanisława Grabowskiego..... 38	38
Krystyna Cel: Życiodajne drzewo..... 38	38

**TWÓRCZOŚĆ 39**

<b>Autoprezentacja Pelagii Borowskiej</b> ..... 39	39
Złoty strzał (fragm. powieści)..... 40	40
Opinie krytyków..... 43	43
<b>Autoprezentacja Doroty Kwoki</b> ..... 45	45
Twórczość..... 45	45
Opinie o twórczości Doroty Kwoki..... 46	46
<b>Autoprezentacja Ireny Stopierzyńskiej-Siek</b> ..... 49	49
Twórczość..... 51	51
Opinie o twórczości Ireny Stopierzyńskiej-Siek..... 53	53
<b>Autoprezentacja Janusza Szota</b> ..... 55	55
Twórczość..... 56	56
Opinie o twórczości Janusza Szota..... 58	58

<b>Autoprezentacja Władysławy Szproch</b> ..... 60	60
Fragmenty wypowiedzi krytyków literackich..... 61	61
Wybrane wiersze..... 63	63

<b>Autoprezentacja Zbigniewa Toborka</b> ..... 66	66
Twórczość..... 68	68
Opinie krytyków o twórczości Zbigniewa Toborka..... 68	68

<b>Autoprezentacja Anny Zielińskiej-Brudek</b> ..... 71	71
Od siebie: Dzięki pisaniu świat nie ucieka..... 71	71
Twórczość..... 75	75
<b>Krytycy o twórczości Marii Włodno</b> ..... 76	76

PREZENTUJĄ SIĘ NAJBLIŻSI WSPÓŁPRACOWNICY..... 78	78
<b>Harry Alfred Piotr Duda</b> ..... 78	78
Twórczość..... 79	79
Głosy krytyków..... 81	81
<b>Stefan Jurkowski</b> ..... 82	82
Taki jestem (jezdem!)..... 82	82
Twórczość: Dekalog mój..... 85	85
<b>Prezentacja Anny Marii Musz</b> ..... 87	87
<b>Kazimierz Kochański</b> ..... 88	88
Twórczość..... 88	88
Fragmenty recenzji..... 91	91
<b>Barbara Wrońska</b> ..... 92	92
Twórczość..... 92	92
Opinie i fragmenty recenzji..... 94	94
<b>Szczęśny Wroński</b> ..... 96	96
Twórczość..... 97	97
K. Miklaszewski: <i>Konsultanci</i> są dobrzy na... w s z y s t k o 98	98
Fragmenty recenzji..... 100	100

DEBIUT: Daria Niemoja: Jonasz (opowiadanie – fragm.) .. 101

<b>Z konkursu Wojewody Świętokrzyskiego i Radia Kielce: opowiadania wyróżnione</b> ..... 104	104
Michał Janusz: Oblężenie..... 104	104
Joanna Pypeć: Życie spowite mgłą strachu..... 105	105
Jan P. Grabowski: „Patrzeć, widzieć, zobaczyć”..... 106	106
Koncert z okazji 40-lecia Solidarności..... 108	108
Bohdan Wrocławski: wiersze..... 109	109
Grzegorz Rak: Magia teatru (opowiadanie)..... 110	110

**SZKICE – ESEJE – RECENZJE 112**

Krystyna Cel: <b><i>Opus Magnum</i></b> polskiej pisarki..... 112	112
Barbara Gajewska: Z pochylenia nad tomikiem wierszy Benedykta Koziół <b><i>Z obłoków z doliny</i></b> ..... 115	115
Beata Kępińska: Słów kilka o poezji Benedykta Koziół..... 116	116
Bogumił Wtorkiewicz: Nektar słów..... 118	118
Tadeusz Stolarski: Regionalny rarytas Teofilii Sokolińskiej..... 119	119
Stefan Jurkowski: O antologii <b><i>Na koronawirazu</i></b> ..... 121	121
O najnowszych tomach poetyckich Stanisława Nyczaja..... 122	122
Feniks – Nagroda dla Marleny Zynger..... 124	124
W trosce o nowe interakcje pomiędzy pisarzami a czytelnikami (rozmowa S. Nyczaja z dyr. Ewą Cygan)..... 125	125
Z naszych plenerów..... III str. okładki	III str. okładki
Pastele Barbary Pasierb-Jezierskiej..... III str. okładki	III str. okładki
Malarstwo Doroty Kwoki..... I i IV str. okładki	I i IV str. okładki

Stanisław Nyczaj

## ZAPRASZAMY NA ŻEROMSZZYCNĘ – TAKŻE ONLINE!

W rozmowie z wójtem Gminy Masłów  
Tomaszem Lato

**Stanisław Nyczaj** – Uczestniczyliśmy obydwaj w intensywnych staraniach, by powstał „Szklany Dom”. Właśnie pańskiej opiece, gdy był Pan przewodniczącym Rady Powiatu Kieleckiego i dyrektorem Szkoły Podstawowej w Mąchocicach-Scholasterii, powierzyłem prace malarskie i graficzne, jakie powstały na plenerze literacko-plastycznym w 2006 roku (12-18 września). Mieszkaliśmy w przyszłolnym Schronisku Młodzieżowym PTSM, korzystaliśmy ze szkolnej taniej stołówki i tam właśnie artyści z naszego regionu, jak też innych stron kraju po plenerowych wędrówkach, na których powstawały szkice pejzażowe, dopracowywali obrazy, wykorzystując podłogi niczym w pracowniach. Plener trwał krótko, bo ledwie 7 dni, a dzieł powstało kilkanaście i artyści wszystkie oddali gotowe tylko z prośbą o oprawę, odpłacając koszty przyjazdu, materiałów plastycznych i wyżywienia. Pan nam wiele wówczas pomógł, przejmując prace plastyczne w drugiej połowie października tamtego roku do oprawy i przechowania. Pamiętam, jak pieczołowicie układaliśmy je w bezpiecznym miejscu i razem żyliśmy radosną nadzieją, że ozdobią ściany „Szklanego Domu”.

Były to utwory Anny Dziubas z Nowego Targu (*Jabłonie w Mąchocicach*, tech. mieszana), małżeństwa Marii Serwińskiej Gutfeld i Andrzeja Gutfelda z Torunia (prace obydwójga bez tytułów, tech. mieszana), Krystyny Olchawy z Miechowa (*Nostalgia*, pastel), Uty Przyboś z Warszawy (*Las*, tech. mieszana), Andrzeja Rysiaka (tryptyk *Żeromszczyzna*, olej/plótno – stał się swoistym malarskim logo domu), Władysława Szczepańskiego z Kielc (*Widok na Łysicę*, rys. węglem), Kazimierza Kieliana (dwie prace foto cyfrowe z cyklu *Kwarcowy...*), Zbigniewa Porębskiego z Kielc (*Tomasz i Joanna*, rys. kredką), Elżbiety Musiał z Końskich (praca bez tytułu, tech. własna), Władysławy Bożeny Szproch z Kielc (*Lubrzanka i Portret Stefana Żeromskiego*,

olej). Upoważnieni przez artystów malarzy byliśmy zobowiązani podczas otwarcia „Szklanego Domu” przekazać wolę ich darowizny, jak również powieścić związaną z tym wydarzeniem wiersz. W jakiś czas potem powstał mój pt. *Spełnienie* z dedykacją „Stefanowi Żeromskiemu na tryumfalny powrót do rodzinnych Ciekot”, do którego na krótko przed otwarciem skomponował melodię Cezary Stawski, który też zaśpiewał pieśń z towarzyszeniem gitary, a wiersz oprawiony zdobi jedną ze ścian dworku Stefana Żeromskiego.

Nim jednak powstał ten przyobiecany wiersz, żyliśmy li tylko marzeniami, bo wciąż nie było ani projektu architektonicznego dzisiejszego Centrum, ani koncepcji, skąd pozyskać konieczne niebagatelne środki. Toteż w Scholasterii na wspomnianym plenerze w 2006 przeczytałem przyjaciołom na pożegnanie inny *Tytuł do marzeń*:

Nie ma jeszcze, Stefanie, domu Twego imienia,  
choć od lat szumią o nim w Ciekotach  
wszystkowiedzące drzewa nad zalewem.

Nawet obrysu fundamentów nie ma,  
choć jak diament w niecierpliwych sercach  
lśni wbudowany od dawien dawna  
kamień węgielny na Żeromszczyźnie.

Nic tak naprawdę jeszcze nie wiadomo,  
prócz tytułu do marzeń.  
A już wbiegamy na przestronny parter,  
do gwarnego salonu,  
rozwiązujemy obrazy w pokojach na piętrze,  
rozkładamy blejtramy, pulpity, laptopy...

Jak życzyłbyś sobie,  
obejmujemy  
spragnioną gorących oddechów przestrzeń.

Włączyłem ten wiersz do tomu *Poezji wybranych*, wydanej w serii LSW „Biblioteka Poetów” (Warszawa 2008).

Jak Pan wspomina tamten nasz twórczy ferment,  
nasze współdziałanie?

**Tomasz Lato** – Bardzo ciepło wspominam naszą twórczą współpracę. Towarzyszyła jej faktycznie wspólna chęć działania, przyświecał jeden konkretny cel. Dzięki temu przybliżaliśmy miejsca i osobę Stefana Żeromskiego. Cieszyło mnie szczególnie to, że prace odnosiły się i były bezpośrednio wynikiem zachwyty pejzażami gminy Masłów, które tak przecież inspirowały naszego Pisarza. Właśnie w takich działaniach mogliśmy odszukać istotę talentu i kunsztu Stefana Żeromskiego, który w Ciekotach spędził najpiękniejsze lata swojego dzieciństwa, a w opinii wielu biografów – i swojego życia.

**S.N.** – Pamiętnego dnia 23 października 2010 roku odbyło się uroczyste otwarcie dwu obiektów – „Szklanego Domu” i dworku na miejscu, w jakim stał nieco podobny za życia Pisarza. Fetowaliśmy powstanie centrum kulturalno-edukacyjnego. Wypowiadaliśmy się wówczas wraz z Barbarą Wachowicz, co zostało utrwalone na krótkim filmie wyreżyserowanym przez Małgorzatę Kaczmarek. Film ten prezentowaliśmy w wielu miejscach podczas spotkań autorskich, ciesząc się ze spełnienia naszej moralnej obietnicy wobec Stefana Żeromskiego: ziszczenia jego marzenia.

Proszę przypomnieć rozmowy ze spotkań z nieodżałowaną Barbarą Wachowicz, która wspomagała szkołę i była wielką orędowniczką budowy Centrum. Bo to ona przygotowała pierwsze wystawy poświęcone życiu i twórczości Pisarza, jakie z ekspozycji obok szkolnej sali gimnastycznej zagościły potem w dworku. Chowam też w sercu wielką dla Niej osobistą wdzięczność za laudację, którą w porywającym stylu wygłosiła w warszawskim Domu Literatury, gdy pod koniec 2010 roku wręczano mi tam Nagrodę im. Witolda Hulewicza.

**T.L.** – Barbara Wachowicz była wielką orędowniczką powstania „Szklanego Domu” i dworku Stefana Żeromskiego. Miło mi, że Pan ją wspomina. Pierwszą wystawą, jaką zaprezentowano w naszym dworku, była właśnie ekspozycja pn. *Reduta Żeromskiego*, znajdująca się obecnie w zbiorach Muzeum Literatury w Warszawie. Składają się na nią opracowane przez pisarkę informacje dotyczące najważniejszych etapów z życia i działalności Stefana Żeromskiego, przełożone graficznie na wielkie plansze. Po raz pierwszy prezentowaliśmy ją – jak Pan wspominał – w czasie otwarcia hali sportowej przy Szkole Podstawowej im. Stefana Żeromskiego w Mącholicach-Scholasterii. Od tego momentu

przechodziła ona zmiany, bo Barbara Wachowicz dbała, by regularnie wystawa ubogacana była o kolejne plansze związane z pisarzem, ale też późniejszymi działaniami związanymi z propagowaniem jego twórczości i działalności. Stąd też obecnie na *Redutę Żeromskiego* składają się m.in. plansze z otwarcia dworku czy nadania imienia Adasia Żeromskiego – „Złotego Skauta” drużynie harcerskiej działającej w szkole w Mącholicach-Scholasterii. Ekspozycja wracała kilka razy do Ciekot, ostatnio po śmierci pisarki, kiedy zorganizowaliśmy poświęcone jej pamięci Imieniny Stefana w ubiegłym roku.

Z Barbarą Wachowicz poznałem się w 1993 roku właśnie na Żeromszczyźnie, kiedy byłem dyrektorem szkoły w Mącholicach-Scholasterii. Tu zaczęła się nasza wspólna przygoda i działania na rzecz utworzenia „Szklanego Domu” i otworzenia dworku. Z sentymentem wspominam rozmowy toczone wspólnie z Tomaszem Mertą i Michałem Ujazdowskim w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, których inicjatorką była właśnie Barbara Wachowicz. Nasza wspólna droga skończyła się również na Żeromszczyźnie w maju 2018 roku, kiedy zaledwie kilka tygodni przed śmiercią rozmawialiśmy na ławeczce przed kapliczką Jana Nepomucena, wspominając wspólny czas. Za nami był dwór i „Szklany Dom”, miejsca, które powstały m.in. dzięki inicjatywie i uporowi naszej zaprzyjaźnionej pisarki.

Warto pamiętać ogromny wkład zarówno w realizację projektu, jak i wyposażenie dworku nie tylko Barbary Wachowicz, ale również Kazimierzy Zapałowej, wybitnej znawczynie dzieł i życia Stefana Żeromskiego i jego rodziny. Sprawuje ona funkcję kustosa honorowego naszego dworku. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu pani Kazimierzy i jej męża, Andrzeja Zapały, możemy dziś powiedzieć, że dworek jest w pełni wyposażony i urządzony zgodnie ze wszystkimi informacjami mówiącymi o tym, jak w XIX wieku mógł on wyglądać.

**S.N.** – Wspomagał nas Pan bardzo już jako wójt gminy w plenerowych przedsięwzięciach, uczestniczył Pan we wszystkich podsumowujących je galach, na których słuchaliśmy wierszy i opowiadań uczestników programów Świętokrzyskiej Satyriady i oglądali powstałe prace malarskie, graficzne i rzeźbiarskie. Wypełniała się aula „Szklanego Domu”, kiedy wraz z Panem i włodarzami województwa wręczaliśmy nagrody, wyróżnienia, upominki za udział w plenerach. Pandemia nie

pozwoliła nam zorganizować pleneru w tym roku, zatem uroczystości jubileuszowe przełożone zostały na czerwiec przyszłego roku, o czym w rozmowie ze mną nadmienił dyrektor Centrum – Wojciech Purtak. Centrum stało się znane w kraju, często odwiedzane, a więc stale pulsuje życiem.

Czego Pan spodziewa się z naszego dalszego współdziałania, które przecież będzie owocowało coraz to nowymi pomysłami? W jakim stopniu to minione 10-lecie działalności Centrum wpłynęło na społeczność gminy pod Pana przewodnictwem?

**T.L.** – Ostatnie 10 lat to czas wyjątkowej pracy dyrektorów Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom”: Adama Grzegorzewskiego, Krystyny Nowakowskiej, Wojciecha Purtaka. Szereg podejmowanych działań i inicjatyw sprawił, że wspólnie stworzyliśmy wyjątkowe miejsce na mapie regionu, ale też Polski. Mieszkańcy gminy Masłów są z niego dumni. W tym roku Imieniny Stefana przybrały nieco inną formułę niż dotychczas. Gościliśmy

wybitnych Mistrzów Mowy Polskiej, którzy czytali fragmenty dzieł Stefana Żeromskiego. Krzysztof Zanussi powiedział wtedy bardzo ważne słowa: „Tworzyście wielką kulturę w małej gminie”. I nie sposób się z tym nie zgodzić. Widać to też i w naszej współpracy ze świętokrzyskim Oddziałem Związku Literatów Polskich. W swoich działaniach udowodnia Pan, jak wiele można zrobić dla kultury, dbając o słowa. Gratuluję Panu przyznanego ostatnio Srebrnego Medalu Gloria Artis, życząc wielu literackich sukcesów, ale również dalszej owocnej współpracy z gminą Masłów. Liczę na to, że w przyszłym roku złagodzona sytuacja epidemiczna pozwoli nam na organizację zaplanowanych działań powiązanych z jubileuszem 10-lecia działalności „Szklanego Domu”. I już dziś na nie serdecznie zapraszam.

**S.N.** – Jestem także pełen nadziei, że będziemy mogli spotykać się wyswobodzeni z pandemicznego lęku. Dziękuję za wnoszoną w nasze wieloletnie współdziałanie serdeczność i za tę rozmowę.



Wójt Tomasz Lato i Stanisław Nyczaj podczas otwarcia Szklanego Domu

Fot. Joanna Klich



Przemawia  
Barbara Wachowicz



Cezary Stawski wykonuje skomponowaną przez siebie piosenkę do wiersza Stanisława Nyczaja

Fot. Joanna Klich



Władysława Szproch: *Dworek Żeromskiego*, pastel

## W rozmowie z dyr. Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” w Ciekotach Wojciechem Purtakiem

**Stanisław Nyczaj** – Panie Dyrektorze, od roku – po przejściu na emeryturę po wielu latach owocnych rządów pani Krystyny Nowakowskiej – kieruje Pan Centrum na Żeromsczyźnie, z którym ja osobiście i moi przyjaciele z Kieleckiego Oddziału ZLP czujemy się mocno związani. Byliśmy niemal *in gremio* wraz z prezesem Markiem Wawrzkiwiczem z Zarządu Głównego przy aktywnym współudziale nieocenionej Barbary Wachowicz na uroczystości otwarcia 23 października 2010 roku, wnosząc wkład wypracowany podczas wcześniejszego ogólnopolskiego pleneru literacko-plastycznego w Mącholicach-Scholasterii. Powstałe na plenerze obrazy autorstwa jedenastu malarzy z regionu świętokrzyskiego, a ponadto z Warszawy, Torunia, Nowego Targu, Miechowa, zdobią po dziś dzień „Szklany Dom” i Dworek Stefana Żeromskiego. Książki świętokrzyskich pisarzy dały początek bibliotece Centrum; uświetnił ów „zacząt” dar od Romualda Karasia, tj. seria dzieł Wielkiego Krajana wydanych w 10-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę w oficynie Jakuba Mortkowicza. Kolekcja uratowana 6 września 1939 roku z płonącego od bomby domu w Kurowie przez bibliofila Jana Diupero i ofiarowana młodemu podówczas reportażyście tuż przed jego debiutem książkowym. W dworcu wisi też oprawiony mój wiersz pt. *Spełnienie*, opiewający tryumfalny powrót Pisarza do rodzinnych Ciekot. Nasz przyjaciel gitarzysta i wokalista, Cezary Stawski, skomponował do niego melodię i wyśpiewał ją pięknie podczas uroczystości otwarcia, co utrwaliła wraz z przemowami filmowo Małgorzata Kaczmarek z kieleckiego WDK; można było ów 12-minutowy filmowy reportaż oglądać na Portalu Informacji Kulturalnej, ale także popularyzowaliśmy go szeroko podczas spotkań autorskich w szkołach województwa i poza nim. Tym samym spopularyzowaliśmy Centrum w kraju, zachęcili do jego odwiedzin. W nim organizowaliśmy liczne spotkania literackie (promocje nowych książek, dyskusje problemowe, podsumowania dorocznych plenerów literacko-plastycznych; właśnie tu żywo angażował licznie zebranych do współudziału-zabawy konkurs satyryczny Świętokrzyska Satyriada). Tak więc związaliśmy się z Centrum mocno i tylko pandemia Covid-19 nie pozwala nam okazać tego pełniej – wedle planowanych zamierzeń – w dniach jubileuszu 10-lecia jego działalności, przypadającego jak raz na wielce dla nas znaczący jubileusz 100-lecia Związku Literatów Polskich.

Boryka się i Pan z wymuszonymi przez eskalację koronawirusa ograniczeniami. Co wszakże, pomimo utrudnień, da się dla uczczenia 10-lecia Centrum zrobić?

**Wojciech Purtak** – 10 lat działalności „Szklanego Domu” to mnóstwo cennych dla regionu inicjatyw i wydarzeń. Z racji trwającej pandemii i niepewności związanej z jesienną falą zachorowań postanowiłem zrezygnować ze świętowania jubileuszu. Nie możemy go zrealizować w planowanej formie, więc warto przełożyć to wydarzenie na czas, kiedy nasi goście będą mogli czuć się w pełni bezpieczni, by razem z nami cieszyć się z tego święta. W przyszłym roku przypada 150. rocznica osiedlenia się rodziny Żeromskich w Ciekotach. Chcę połączyć dwa ważne dla Ciekot jubileusze.

Ostatnie miesiące, mimo trudności związanych z pandemią, były dla Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” owocne. Stało się to możliwe dzięki wsparciu i zaufaniu od wójta Tomasza Lato i pełnym zaangażowaniu naszego zespołu. W reżimie sanitarnym zorganizowaliśmy wydarzenia, które uczestnicy będą wspominać jeszcze długo. Nowym pomysłem była organizacja pierwszego Festiwalu Sztuki i Mediów „Otwarte Książki”. W przestrzeni „Szklanego Domu” i dworcu Stefana Żeromskiego przez dwa dni odbywały się plenerowe spotkania z autorami książek. Postawiliśmy na różnorodność, ale też ich poczytność. Z czytelnikami spotkali się pisarze Jacek Komuda, Renata Piątkowska, ale też dziennikarka i prezenterka Beata Tadla, reportażystka Hanna Bogoryja-Zakrzewska, ceniona autorka książek kulinarnych Iwona Zasuwa. Koncertowali u nas znakomici muzycy: Dorota Miśkiewicz z Markiem Napiórkowskim oraz Kasia Lisowska z zespołem. „Otwarte Książki” popularyzowały czytelnictwo, ale też pokazały, że można rozmawiać o literaturze popularnej w wakacyjnej atmosferze, a topowi autorzy są na wyciągnięcie ręki. Siłą festiwalu był właśnie niepowtarzalny nastrój, podkreślany zarówno przez gości jak i publiczność.

Zdecydowałem się też na odświeżenie formuły Imienin Stefana, wydarzenia znanego i lubianego, poświęconego działalności Stefana Żeromskiego. W plenerze (przy zrozumiałym reżimie sanitarnym) rozmawialiśmy o Żeromskim jako prezydencie Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, koncertowała góralska kapela Zakopiany. Nowym elementem





Goście i gospodarze w czasie „Otwartych Książek” – Festiwalu Sztuki i Mediów w dworcu Stefana Żeromskiego. Od lewej: kustosz Kazimiera Zapałowa, wokalistka Dorota Miśkiewicz, dyrektor Wojciech Purtak, prezenterki telewizyjne Beata Tadla i Agnieszka Kopacz, pisarz Jacek Komuda



W Ciekotach nie brakuje również atrakcji dla dzieci. Spotkała się z nimi ceniona pisarka Renata Piątkowska



Tegoroczną nową inicjatywą „Szklanego Domu” było spotkanie z Mistrzami Mowy Polskiej, którzy czytali dzieła Stefana Żeromskiego. Od lewej: Krzysztof Zanussi, Katarzyna Pakosińska, Leszek Mikos, Paweł Sztompke, prof. Bolesław Faron



W czasie „Otwartych Książek” wielkim zainteresowaniem cieszyło się spotkanie z Beatą Tadlą



Ciekoty to nie tylko literatura, ale też świetna muzyka. Tu koncert Doroty Miśkiewicz i Marka Napiórkowskiego



Mistrzowie Mowy Polskiej pozowali do zdjęć na ścianie promocyjnej gminy Masłów

Fot. Agnieszka Pietrzyk, materiały promocyjne „Szklanego Domu”

Imienin było zaproszenie do Ciekot wybitnych twórców polskiej kultury, laureatów prestiżowego tytułu Mistrz Mowy Polskiej. Krzysztof Zanussi, Katarzyna Pakosińska, Paweł Sztompke, Leszek Mikos przyjęli naszą propozycję, by przeczytać obszerne fragmenty dzieł Stefana Żeromskiego. Spotkanie poprowadził prof. Bolesław Faron. Przez blisko dwie godziny publiczność przed dworkiem w ogromnym skupieniu słuchała zaskakujących interpretacji m.in. *Ech leśnych czy Siłaczki*. Mistrzowie wrócą do Ciekot również w przyszłym roku; to efekt nawiązania współpracy z Danutą Hanną Jakubowską – dyrektorką Biura Promocji „Mistrza Mowy Polskiej”.

Okres pandemii, a co za tym idzie zamknięcia dla publiczności i turystów, wykorzystaliśmy bardzo owocnie. Nasz projekt znalazł się wśród najlepszych w kraju. Pokonał ogromną konkurencję i otrzymał dofinansowanie z ministerialnego programu „Kultura w sieci”, dzięki czemu jesienią przedstawimy nową stronę internetową, na której znajdzie się stworzony od podstaw katalog online dworku Stefana Żeromskiego. Będzie można również wirtualnie zwiedzić dworek w czasie specjalnego spaceru, przenosząc się do Ciekot z każdego miejsca na świecie; wystarczy tylko dostęp do Internetu.

W ostatnich miesiącach przeprowadziliśmy kompletną inwentaryzację dworkowych zbiorów, a dzięki wielkiemu zaangażowaniu kustosz honorowej Kazimiery Zapałowej i jej męża, Andrzeja Zapały, Pracownia Dzieł i Piśmiennictwa o Stefanie Żeromskim i Regionie Świętokrzyskim wzbogaciła się o nowe cenne eksponaty. Wśród nich są zarówno pierwsze wydania dzieł pisarza, jak i bezcenne dla nas oryginalne fotografie przodków, m.in. zdjęcie Wincentego Żeromskiego. Warto też wspomnieć o naszej edukacyjnej roli, czego doskonałym przykładem jest dofinansowanie projektu „Kim był Władysław Malecki?” z programu „Bardzo Młoda Kultura” z Narodowego Centrum Kultury. Dzięki niemu młodzież z terenu naszej gminy stworzyła mural inspirowany XIX-wiecznymi obrazami malarza Władysława Maleckiego, który urodził się w Masłowie. Można go oglądać w centrum Masłowa, obok Urzędu Gminy.

**S.N.** – Jakie planuje Pan przedsięwzięcia na – mamy nadzieję – spokojny, normalny czas dalszy?

**W.P.** – W czasie pandemii trudno planować kolejne działania kulturalne. Pozwoli Pan, że nie będę o nich szczegółowo mówił. Zapewniam, że nowy sezon w „Szklanym Domu” na pewno liczne grono zaskoczy, bo program zawiera wiele ciekawych propozycji zarówno dla wielbicieli literatury, turystów, jak i mieszkańców gminy Masłów i regionu. Pandemia jednak mocno weryfikuje działania. Rozpoczęliśmy już działania mające na celu stworzenie Przestrzeni Pamięci Barbary Wachowicz. Wierzę, że w przyszłym roku uda nam się uczcić 100-lecie Związku Literatów Polskich. Z inicjatywy Krakowskiego Oddziału ZLP planujemy utworzenie Zagajnika Literackiego na terenie Żeromszczyzny.

**S.N.** – W czym moglibyśmy pomóc, prócz udziału w imprezach literacko-artystycznych? Pragniemy bowiem, żeby był to na trwałe i nasz dom, przyciągający na Żeromszczyznę pisarzy nie tylko z różnych stron kraju, ale i zagranicy; przeżywamy bowiem od kilku lat czas prawdziwego boomu translatorskiego naszych utworów zwłaszcza na języki angielski, grecki, bułgarski, rosyjski, włoski.

**W.P.** – Obserwuję Państwa działalność z radością i uznaniem. Gratuluję kolejnych sukcesów popularyzujących literacką działalność. Proszę pamiętać, że „Szklany Dom” jest otwarty na nowe inicjatywy i oczywiście zapraszam na Żeromszczyznę.

**S.N.** – Winszuję Panu świetnego startu: wniesienia w krótkim okresie działalności na stanowisku dyrektora tak wielu nowatorskich pomysłów. I serdecznie dziękuję za rozmowę.



Imieniny Stefana. Od lewej: dyrektor Wojciech Purtak, pisarz Maciej Pinkwart, kustosz Kazimiera Zapałowa, wójt Tomasz Lato

Fot. Agnieszka Pietrzyk, materiały promocyjne „Szklanego Domu”

## Warszawska Jesień Poezji 2020

Nagrody, odznaczenia i film eksperymentalny

Tegoroczny festiwal poetów ZLP – pomimo paraliżującego lęku przed zakażeniem się koronawirusem – przyciągnął do stolicy niemały krąg twórców z różnych stron kraju. Pragnęli choćby na krótko spotkać się ze sobą, podyskutować o trudnej sytuacji i niejasnych perspektywach, a także wymienić najnowszymi książkami, których szersza dystrybucja praktycznie nie istnieje. Cieszyło więc nas spotkanie w auli Domu Literatury, gdzie prócz nagród i odznaczeń zaprezentowanych obok na zdjęciach recytowano wiersze i nie zabrakło dobrej muzyki. Odżyły sentymenty, gdy wystąpił świetny zespół jazzowy i jeszcze raz okazało się, jak poezja bliska jest muzyce, która niesie ją i rozślawia.

Prócz wielu zdarzeń w różnych miejscach Warszawy, m.in. promocji poetyckiej antologii, dla grupy świętokrzyskiej ciekawą był pokaz filmu eksperymentalnego Elżbiety Musiał, która postanowiła przełożyć najnowszy swój poemat *Gry nie-dosłowne* na język filmowego obrazu. Niżej przytaczam moją opinię o tym wydarzeniu, mocno wspierającą inicjatywę autorki.

Stanisław Nyczaj

## „Samosterowne słowa” i filmowe kadry

### I Poemat

Wyjęte z I części *Gier do-słownych* – najnowszego poematu Elżbiety Musiał<sup>1)</sup> – „samosterowne słowa” zapraszają do osobliwej lingwistycznej gry (i zabawy) jego anonimowego narratora. Gry osobliwej, gdyż tu sam język na poważnie bawi się improwizacyjnym tokiem swobodnych skojarzeń, zapuszczając nas w „otchłań egzystencjalną”. Słowa magią swej emocji wodzą myśli i wyobraźnię w różne strony. Przed smakoszem niuansów poetyckiej wrażliwości otwiera się bezkresne wprost pole dla intelektualnego... **popasu**. Może upajać się sentencjami aforystycznymi (jak np. „Podręczna miłość usycha z głodu”; „Poszedł do pierwszej śmierci zamiast do pierwszej komunii”; „W oddechu już czai się ciemna materia



Laureaci Złotej Odznaki ZLP. Od lewej: Aldona Borowicz, Zofia Mikuła, Marek Wawrzkiwicz, Aleksander Nawrocki, Zbigniew Milewski, Kazimierz Burnat, Grzegorz Trochimczuk, Krzysztof Gosztyła, Elżbieta Musiał, Andrzej Ferenc.

Fot. Andrzej Walter



Andrzej Dębowski odbiera z rąk Marka Wawrzkiwicza dyplom Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza przyznanej za upowszechnianie i promocję literatury współczesnej.

Fot. Andrzej Walter



Prezes Marek Wawrzkiwicz wręcza z upoważnienia Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Medale Srebrne „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” Stanisławowi Nyczajowi i Bogdanowi Bartnikowskiemu.

Fot. Paweł Nyczaj

i wylazi zewsząd”. Może bawić się żartami (w rodzaju „Nie liczę na palcach ani na siebie”; „Pejzaż w tobie tyle, ile kapliczek przy wiejskich drogach”; „Zagapię się od czasu do czasu na czas. Zadam mu niewygodne pytanie, czy cierpi, że jest czasem”; „Takim słowem czas nie utarł nosa”). Może gdzie indziej zafrapować odgadywaniem składniowych „rebusów” (jak w *Prologu* – skądinąd arcyciekawej „improvizacji”). I na tym uctowaniu poprzestać.

Ale przecież narrator, rzekłbym, „przeźroczysty” – sukcesywnie, coraz bardziej wciągając naszą uwagę – ma większe ambicje. Coraz to śmieiej wypuszcza się na tematyczno-problemowe zwiady ku zakamarkom wspomnianej otchłani. Czają się tam rozedrgane niepokojami „dywagacje”, dotyczące – prócz tych mozolnych spraw, jakie można z konieczności wyboru pominąć – archetypów pamięci i sumienia. One wystarczą, by zafascynować się i przejąc tekstem także głębiej, refleksyjnie, odnalazłszy tropy wymowne.

Oto pierwsza intelektualna prowokacja wysnuwająca się z szerokich fraz Elżbiety Musiał: „Pozostaje sprawdzić, czy religia kosmosu ma długie macki. Oraz/ czy sumienie wciąż waży w zawierusze odmetu i gdzie/ koniec końców się przenosi. Tak naprawdę nie wiem, co z nim potem./ Bo podobno tylko miłość przetrwa” (s. 7). Nikt nie zarzuci poetce, że kwestia jest, ot tak, prosto postawiona. I gdy zaczynamy nić myśli rozplątywać, otrzymujemy żartobliwą połajankę: „Na wieść o mojej teorii istnienia jako o istnieniu wyłącznie teorii,/ Platon zaciera ręce” (s. jw.). Bo to jeszcze nie pora.

Przekładam kartkę: „Woda ma dobrą pamięć, ale żeby zaraz linie papilarne? [...] Skąd linie papilarne wiedzą, na której skórze staną się wierszem,/ nim precyśnią się przez ogień i wyjdą w powietrze?”. Znowuż nikt nie zarzuci, że to retoryczne pytanie banalne.

Oparty na aforyzmie paradoks: „Nawet jeśli mnie nie ma, to jestem” – znajduje od razu liryczne dopowiedzenie – „uniesie mnie religia powietrza. W swoim kodzie powtórzy woda” (s. 12).

W kolejnej wizji „[...] Wszystkie/ elementy łączy – co wyrazić trzeba w końcu – miłość do ziemi/ Jak w kołowrotku wokół niej się kręci. Agrolaboratorium w obłędzie./ Pędzi do zatury. Nawet starodawna czara biodra. I kret/ dobrze schowany, i dziesięć jeży martwych leży do recyklingu gotowych”. I dlatego „W akcie tworzenia chroniczne chwile zagłady” (s. 19).

Na następnej stronie pojawia się określenie, czym jest pamięć: „To tylko pamięć, taka postać czasu [...] patrzy wstecz i pragnie/ terażniejszości [...]”. A w części trzeciej poematu *De profundis* – określenie dogłębniej: „To gra z pamięcią się toczy,/ w której stawką sumienie. Bo tym, co z wiatrem minęli, na własność/ pozostał tylko ten węzeł. Jakże tu idą do nieba krzyże. W zapamiętaniu/ ćwiczy się pamięć. Oparę ziemię oploty. Plotą się znowu obrazy,/ lecz czy w odsłonie jasnej?” (s. 35). I parę stron dalej: „Moja dolina leży wszędzie, tuż obok pamięci nadzarpniętej czasem./ Kości? Są i kości, ale pierwiastek z nich już chce wyjść na światło.” (s. 38).

Tak sekwencja po sekwencji dochodzimy do epizodu bardzo dramatycznego. Epizodu, w którym pamięć i sumienie zwierają się w traumę-wyrzut na całe życie. W odsłonie 12. wszechwiedzący Chór intonuje: „To gra z pamięcią się toczy, w której stawką sumienie”. Stajemy się świadkami bolesnego intymnego aktu-spowiedzi duszy, zwierzenia dziecka za życia pokrzywdzonego pedofilskim wykorzystaniem. Podśuchajmy:

„– Ta ręka była ciężka, nie mogłam pod nią unieść odwracania głowy./ Miała pilnować moich myśli, żeby nie wyszły z sali katechetycznej,/ gdy po pacierzu otworzą się drzwi i na podwórko wyleje się ten cały/ krzyk. Sto guziczków czarnej sukienki najpierw odgradzało mnie od/ Matki Boskiej. Niebiesko patrzyła tylko na inne dzieci. Potem guziczki/ przyciskały mnie do ławki, gdzie leżał do religii zeszyt. W mojej buzi/ raz w tygodniu gnieździł się nie mój język. Długo nie mogłam jeść/ cukierka. W domu mówili, że jestem niedobra, że jestem jak niemowa nieobecna.

– A gdzie była matka?

– Sto tych samych guziczków chodziło po kościele. Na tacy brzęczały/ pieniądze. Coraz bliżej brzęczały. Mama też dała pieniążka za to,/ że się nachylił i kazał po mszy przyjść do siebie. Poszła tam z moją/ ręką. Potem za rękę co wtorek i piątek odprowadzała mnie do drzwi/ religii, żebym nie odwróciła się od Boga. I szybko szła do domu.

– (grobowa cisza)

– Dobrze, że mnie schowali pod spodem. Pan Bóg tutaj nie zagląda./ Jak tylko będę lepsza dla wszystkich, zaraz mnie wypuszczą z pudełka.

Chór: W stromym ogrodzie, w zetlałym zachodzie gęstnieje tajemnica”.

W odsłonie 15. znajdujemy obrazową puentę dla owej cmentarnej tajemnicy: „Tam krzyże do nieba idą,/ gdzie wszystko leży pokotem” (s. 44).

Krzywda staje się bolesną treścią pamięci i sumienia. Krzywda, jakiej boi się niepoohamowane wspomnienie. Skądś przecież znamy ten dolegliwy stres. Z wielu zażenowanych przymusem przykrych relacji pokrzywdzonych. Narrator gotów przed samym sobą zapaść się w grobową tajemnicę.

## II Film eksperymentalny

Na kanwie poematu Elżbieta Musiał stworzyła coś więcej niż w pierwszym odruchu chciałoby się nazwać: ciekawą „etiudą filmową”. Rzecz pt. *Miej choć odwagę pamiętać*<sup>2)</sup>. Eksperyment? O tak, w dużym stopniu jest to eksperyment audiowizualny, a nawet, rzekłbym wprost, to artystyczna determinacja, aby wieloznaczniowość tekstu sprawdzić w wielowymiarowej wizji, w której głosy (opowiadające przeróżne epizody) zostają – jak widać na tym filmie – umownie upostaciowione. Zjawy nie z tej ziemi poruszają się jak w kołowrocie. A każda kręci się wokół własnej krzywdy, miłości lub nieistotnego szczegółu, nie wiedzieć czemu zapamiętanego. Epizody raz wybrzmiewają pojedynczo, to znów samoistnie układają się w dialogi. Co ciekawe, suma incydentów układa się w nasze wspólne doświadczenie. Pomiędzy epizodami słyszemy poematowy Chór – dobiegający jak zaśpiew z zaświatów i budujący „grobowe” klimaty.

Poszczególne kadry filmu zespala swoista magia znaczeń i nastrojów. Obraz zestraja się z recytacją. Staranna, aktorska deklamacja pilnuje znaczeniowego konkretności, by sytuacyjne motywy nie rozplynęły się zbyt w chaosmosie. Kwestie pamiętne ze stronic tomiku, jakie wyżej pokrótce scharakteryzowałem, wypowiedane są dobitnie (*notabene*, w filmie nie ma wątku pedofilskiego, natomiast jest o eutanazji). Tylko Chór niesie tych bolesnych kwestii pogłos w jakieś tajemnicze czeluście czasoprzestrzenne.

Dużym walorem owego filmowego eksperymentu jest oczarowanie Ziemią jako kosmiczną planetą. Dzięki temu pamięć zyskuje ponadczasową perspektywę i moc trwałości. Jakież to istotne, byśmy starali się – i mogli – być czymś więcej, niż trywialnie bywamy!

Wcześniejsze poematy autorki: *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód* (2008), *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (2012), *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych* (2013), *3 poematy* (2014), *Mówię pochyloną cambrią* (2015), *To jedno* (2016); tomiki poetyckie: *Miejsce na niebo* (1996), *Tatuaż z obłoków* (2001), *Cień rzeki* (2004), *Płacz czarjki. Wiersze i poemat* (2009), *Ja, o jednym imieniu* (2014), dwujęzyczny wybór wierszy i poematów *Niskie słońca* (2016, przekł. na bułgarski Łyczazar Seliaszki); zbiór esejów *Poeta patrzy na kobietę* (2006).

Otrzymała Nagrodę im. J. Słowackiego (2018) za całokształt twórczości poetyckiej, szczególnie za odnowienie formy poematu. Inne nagrody literackie za książki: Świętokrzyska Premiera Literacka 2001 za *Tatuaż z obłoków*; za poemat *Mówię pochyloną cambrią* – pierwsza nagroda w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego (2014) oraz Nagroda im. Piotra Kuncewicza (2015); wyróżnienie podczas XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego za poemat *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (2012).

W 2014 r. uhonorowana Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Stanisław Nyczaj

<sup>1)</sup> Elżbieta Musiał, *Gry do-słowne*, grafiki autorki, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2019, s. 51.

<sup>2)</sup> Elżbieta Musiał, *Miej choć odwagę pamiętać*, film eksperymentalny, krótki metraż, 28 min., 2020 r., YouTube <https://youtu.be/zFI64WmMF3o>.



Grafika Elżbiety Musiał, kadr z filmu

## Literatura jako antidotum, panaceum i wymowne słowomilczenie

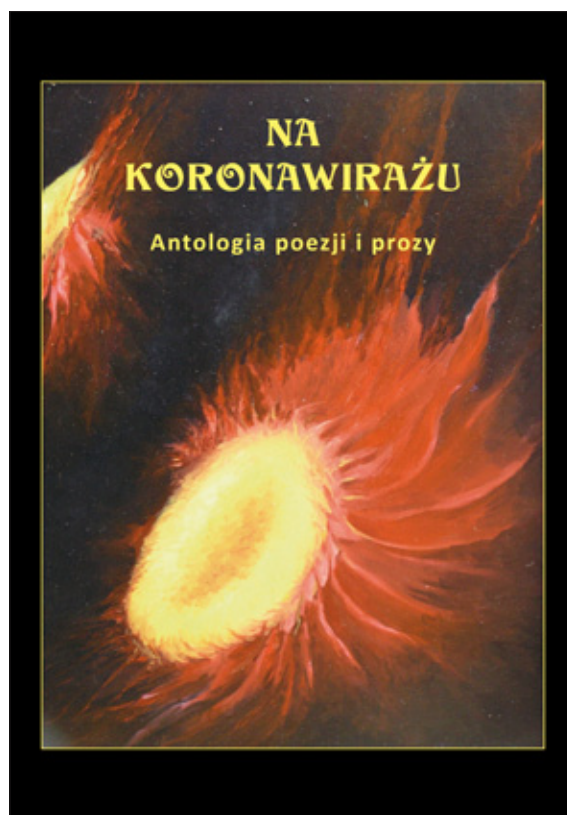
W każdej, a zwłaszcza niebłahej sprawie, o jakiej się pisze, niezwykle ważne jest – również z miłości do ekspresyjno-kreacyjnego słowa – by dobrze zacząć. Można to porównać ze słowomilną grą w akcji podejmowanej sprawy. Ale Czytelnicy od razu chętnie przymówią się, że jeszcze ważniejsze jest, by dobrze zakończyć. I właśnie to drugie już teraz mogą obiecać. No, ale wprawdzie trzeba uczynić ten pierwszy krok. Bowiem – jak kiedyś pozwoliłem sobie rzec aforystycznie – każdy niezły początek wprost przepada za ciągiem dalszym.

Chciałbym więc najsamprzód przypomnieć, że i Historia, do której mamy wiele uzasadnionych pretensji i żalów, ma względem nas także niedoceniane miłosne uczucie. Lubi się powtarzać. Dzięki czemu nam współczesnym znajdującym się nieraz w wielkim kłopotcie – gdy, zdawałoby się, że toniemy – podrzuca koło ratunkowe nadziei.

Tym kołem z napisem „wytrzymajcie!” jest, jak mniemam, przebieg dramatycznych zdarzeń spowodowanych epidemią grypy hiszpanki w latach 1918-1920. Wówczas pochłonęła ona najsamprzód bezlitośnie sto milionów ofiar (więcej niż dopiero co zakończona pierwsza wojna światowa!), by w pewnym momencie definitywnie wyciszyć się we wszystkich krajach i dać ludziom odetchnąć. Wtedy też, jak teraz w pandemii Covid-19 – przerażeni straszliwym posiewem unicestwiania – nasi przodkowie chodzili z maskami na twarzy. Ale też, jak w naszych czasach, istnieli oponenti, nawet w kręgu lekarzy, podważający ich noszenia sens. Chociaż, jak dowcipnie i celnie zauważył Stefan Jurkowski w swoim cyklicznym felietonie w „Gazecie Kulturalnej”: „dla niektórych zakryta twarz to błogosławieństwo”.

Wtedy po złapaniu oddechu przesądni i nadgorliwie wierzący mawiali, że była to kara za grzech wyniszczającej wojny. A hiszpanka niespodzianie sobie tylko znanym litościwym obrotem śmiertelnego tańca ku ocalonemu życiu zesłała z areny grozy.

Czy za dwa-trzy lata podobnym pożegnalnym piruetem popisze się złowrogi dziś baletmistrz koronawirus – tak samo jak dawniej hiszpanka – piękniś niedostrzegalny gołym okiem? Mikroskop go ujawnia w całej okazałości, pozwala nawet wyolbrzymić postać rozkręcającego się gwiazdora, ale nie jest w stanie powstrzymać jego haniebnych popisów żadnym



sposobem. Pozostaje tylko oczom nienawistny podziw dla kraszy wabiącej urokiem naznaczonym złowieszczym piętnem, co pokazuję w moim wierszu *Przepiękny potwór*, nagłośnionym przez portal [Pisarze.pl](http://Pisarze.pl) w rubryce WIERSZ DNIA:

Kłękamy  
przed panoszącym się pod mikroskopem  
wszechmocnym, ukoronowanym.

Niczego, zda się, nie potrzebuje,  
a stos ofiarny zmarłych na jego przebłaganie  
rośnie niemiłosiernie.

Wkrótce  
zapadną niepostrzeżenie górą,  
podziemnym wstrząsem  
skoczy żywym do gardeł.

– Przepięknie wygląda ten król,  
jak płonąca rozgwiazda –  
mówią z gorzkim zachwytem telewizzowie.  
– A taki zeń potwór nie z tej ziemi...

Jednak z tej ziemi!

Bunt w sercu i rozumie rozkazuje, aby zdobyć się na heroizm zapalczywej niezgody. Medycy pracują usilnie nad wynalezieniem szczepionki bądź, póki co, leku łagodzącego przebieg i skutki choroby. Rywalizują między sobą instytuty zbrojne w laboratoria. Czas spodziewanego wynalazku wydłuża się niemiłosiernie. Ludzie nie chcą czekać bezczynnie, izolując się w domach, bez kontaktów, do jakich przyzwyczaił nas współczesny przyspieszony rytm życia. Uspołeczniliśmy się na dobre i złe, rozpolitykowali. Usiłujemy zawiadywać cywilizacyjnym postępem z hardym przekonaniem, że zapanowaliśmy nad krnąbrną Naturą. A tu nagle trzeba powściągnąć impet?! Rozterka rozgałęziających się zakażeń paraliżuje normalne, powszednie życie. Spędza sen z oczu ekipom zarządzającym, jak i tym sprawującym rząd dusz, żeby nie doszło do stanu zniecierpliwienia i paniki.

Co w tej sytuacji mogą działać ludzie pióra, byśmy jakoś wyrobili na tym ostrym koronawirusie? Uważny Czytelnik tej antologii przekona się, że mogą немало w wymiarze duchowym, krzepiąc antidotum słowa, będącym odtrutką na zwątpienie, rozpacz, depresję poprzez obrazy uświadamiające, że można się otrząsnąć z traumy doznawszy swoistego, doznając Arystotelesowskiego daru wyzwolenia od strachu i litości.

Mogą też poeci, którzy mierzą się wysoko ze słownym panaceum – niczym środkiem uniwersalnym przeciw wszystkim chorobom – dać odczucie waloru szczególnie głębokiego oraz intensywnego doznania poetyckiego przeżycia.

I jest jeszcze jeden liryczny majstersztyk, wyrażający się paradoksem najwyższej próby: słowomilczenia – wywołującego u odbiorcy odkrywczy przymus czystej domyślności, bez skazy bezpośredniego nazwania rzeczy „po imieniu”. Osiągnęła ten efekt Krystyna Konecka – wybitna sonecistka z Białegostoku – w najnowszym swym tomiku *Kruchość. Sonetti a corona*, opublikowanym staraniem Polskiego Funduszu Wydawniczego (Toronto 2020). Oto sonet tytułowy otwierający cykl piętnastu:

Właśnie mieliśmy jechać... Prześcigać marzenia...  
I tylko rytualnie usiąść przed podróżą,  
i pomilczeć... Nikt wtedy nie przeczuł, że różom  
przyjdzie schnąć bez powitań i w osamotnieniu.  
Jeszcze wczoraj medialny chaos informacji  
zdawał się egzotyczny – tu nikt nie nadażał  
za ofertami reklam. Gdy świat się pograżał  
dla nas niedostrzegalnie w mroku hibernacji.

Pakowaliśmy książki, prezenty, bilety,  
rodzinne fotografie z życzeniami szczęścia,  
pod powiekami drzewa przed wiosny nadejściem.  
Dawkę pewności siebie podstępna. Niestety...  
Wiedzieliśmy: to innym burza burzy plany.  
Gdy oto spadła na nas nieprzygotowanych.

W żadnym sonecie z tego zbioru nie padają słowa „pandemia” czy „koronawirus”. Na pytanie autorki: „Gdzie skryć się? I czy można? I w czyich ramionach?” komentujący zbiorek poeta i krytyk literacki Edward Zyman sugeruje jedyną sugestywną odpowiedź: „w pięknych i mądrych wierszach. A szerzej: w sztuce! Ta tylko bowiem nadaje sens naszej ulotnej egzystencji. I tylko ona będzie jedynym śladem, który po nas zostanie” („Gazeta Kulturalna” 2020, nr 9, s. 10).

Nie ma też nazwania rzeczy wprost w opowiadaniu Ireny Nyczaj pt. *Insekt*, co niełatwo osiągnąć w prozie operującej narracją i dialogiem, czyli formami bezpośredniej wypowiedzi. Po przeczytaniu *Insektu* czytelnik musi się zastanowić i sam dojść do rozwiązania trudnej psychologicznej zagadki, która w tym przypadku ma domyślne, covidowe (choć nie tylko) podłoże.

Doceniają tę formułę słowomilczenia współautorki tej antologii, m.in. Krystyna Cel, Harry Duda, Stefan Jurkowski (wybitny poeta i krytyk literacki, który dla wydanego ostatnio portretu literackiego Elżbiety Cichli-Czarniawskiej wybrał bardzo wymowny tytuł *Słowo pełne milczenia*), Elżbieta Lisak-Duda, Anna Maria Musz. Doceniam i ja, mający nadzieję, że zaświadczony kołem historii scenariusz przeżywanej aktualnie pandemii spełni się – oby tylko w krótszym czasie i z mniejszą liczbą ofiar!

Naszą antologię prócz staran Państwa Barbary i Mariana Jedleckich – którym wyrażam wdzięczność! – wspaniałych organizatorów dorocznych (od 2009) nadmorskich plenerów literackich i Kołobrzeskich Nocy Poetów, jakich bywam współanimatorem prowadzącym, wspiera też ostatnio Pani Prezydent Miasta Kołobrzeg Anna Mieczkowska – również z pięknym osobistym zaangażowaniem.

Stanisław Nyczaj

*Na koronawirusie. Antologia poezji i prozy*, Kołobrzeg–Kielce 2020, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 146.

# Wybór utworów z antologii *Na koronawirusu*

Romuald Bielenda

Harry Duda

## Pandemicznie

Plac św. Piotra  
samotność papieża Franciszka  
zadziwia pustką  
plac wiary  
podczas Urbi et Orbi  
W kraju  
pandemia suszy koronawirusa  
oczekuje Opatrzności  
deszczu modlitwy i szczepionki  
Życie zamknięte w mieszkaniu  
wymyka się po zdrowie  
symonią do Nieba  
Wybory  
w masce nieufności do sondaży  
i wyników tomografii kręgosłupów  
  
WIRUS – odkrył też i przywrócił  
rodzinne życie

Krystyna Cel

## Vanitas

Wróg nasz niewidzialny  
a zabijać potrafi  
  
nie tylko nas zatrwożył  
ale i przeciwiczył  
  
czy staniemy się lepsi  
oszczędni powściągliwi  
zatroskani o siebie nawzajem  
  
gdy z rzeczy dawnych  
zdawało się wiecznych  
nie aż tak wiele nam pozostanie  
  
i biblijne słowa  
wszystko to marność  
i gonienie za wiatrem  
  
przemówią do nas  
ponadczasową prawdą

## Co się zmieniło

I oto staliśmy się przybyszami  
na własnej planecie:  
nosimy skafandry prawie kosmiczne;  
oddychamy z intencji sterylnej;  
gnieździmy się w bazach,  
co księżycowe już prawie,  
choć jeszcze zwą się – mieszkania  
i domy.

Lękamy się ciał naszych  
i cząstek informacji,  
co jak kosmiczne korpuskuły  
mogą nagle przeniknąć  
do zbiorów danych  
i programów,  
które nazywamy życiem.

Głupia chciwość i pycha  
tańczą dziś z nami  
dziwne w trójkę tango.

Tylko zwierzaki  
nawet z antypodów  
czując przedsmak wolności  
i wiatr w żagle bytu,  
przychodzą zwiedzać  
OGRODY CZŁOWIEKOLOGICZNE,  
być może przez nie zwane  
LUDOO albo trafniej:  
CZŁEKOZOO.

Oto więc z science-fiction  
zeszliśmy w rzeczywistość.  
Lecz umieramy  
jak zawsze i od zawsze.

24.04.2020



## Fraszki pandemiczne

### O zdalnej nauce

Sukces zdalnej nauki:  
Zdają nawet nieuki.

### Uczeń w dobie koronawirusa

Przy laptopie  
się okopie,  
zdolny zdalnie  
– naturalnie,  
a przeciętniak  
nawet w ławie:  
zbija bąki, śni o trawie...

### Wirus

Z nietoperza?  
Nie dowierzam!

### Kwarantanna w bloku

Raz na plecach,  
Raz na boku.

### Kwarantanna w opłotkach

Jak baba męża  
U sąsiadki spotka.

### Kwarantanna w mieście

Posiedzisz mieszczechu  
Na d... nareszcie.

### Kwarantanna w kościele

Goła taca  
Lśni jak glaca.

### Zawiadomienie

Na drzwiach kościoła zawiadomienie:  
„WIRUSA NIE MA TYLKO W NIEBIE”.

## Ten rok

*Nie było lata.*  
*Stanisław Grochowiak*

nie było roku – nic nie było –  
kalendarz w masce aseptycznej  
daty płowieją rośnie pustka  
biała niczym pleśń  
na naszych słowach  
spojrzeniach zasypanych śladach  
ziemia się kurczy jak rozsądek

poła śliskie jak białe kombinezony  
przewracamy się i nie możemy wstać  
ani zawracać leżymy na plecach  
w czarnej szczelinie czujemy  
jak zabawnie przestajemy istnieć

jesteśmy niczym zdechłe ryby  
do góry brzuchami  
gramy na trąbach powietrznych  
hymny idiotów

taka próba do przedstawienia „śmierć” albo „koniec świata”  
choć teatr zamknięty – komedię gramy nieustannie  
zwłaszcza że młodzi o umarły rok  
czekamy na panny z kwarantanny  
choć bez płuc i serca (to niejedyne znikające punkty)

– jedyne marzenie  
by zdążyć innym skoczyć do gardła  
zanim przegryziemy je sami sobie

nie było roku

Krystyna Konecka

### Z cyklu *Kruchość*

VIII

Niczym wygasający elektrokardiogram  
znika dziecięca ufność. I poczucie złudne  
bezpieczeństwa. Gdy oto mierzymy się z trudem,  
by zło napierające odsuwać od dobra.

Przysiadamy. Gdziekolwiek. Nie jak przed podróżą  
i nie jak wypatrując niewysłanych listów  
zza morza. Lecz jak biedny frasośliwy Chrystus  
ocalający ptasi i nasz los przed burzą.  
Byliśmy nieostrożni. Beztroscy. I ślepi.  
Dzisiaj zatem – jak pisał poeta anielski  
Andrzej Sulima-Suryn w swym liście zamorskim  
„modłę się o świat – bo nie wygląda najlepiej”.  
I zapytuję wolne ptaki – przerażona  
gdzie skryć się? I czy można? I w czyich ra-  
mionach.

Benedykt Kozieł

## Tryptyk koronny

### 1. Wskazanie

Poinformowano mnie  
że znalazłem się  
w niebezpiecznej strefie  
i muszę  
w niej pozostać

jak mi powiedziano  
od kilku dni  
stanowią potencjalne szczególne zagrożenie  
dla siebie i innych

podobno  
ktoś był u mnie  
podobno  
przyszędł z naznaczonych miejsc  
dotknął mnie złym powietrzem

wieczorne wieści  
okryte ochroną tajemnic  
rano niosły wszystkie plotki

bezpośrednio zainteresowani  
przypominali swoje ścieżki  
odtworzali miejsca spotkań  
szukali winnych  
schodzili z drogi  
z kamieniami obelgi

### 2. Dystans

Zamknięty  
w domowym odosobnieniu

otoczony  
administracyjnym płotem  
nakazów i zakazów  
wspartych paragrafami  
wyceny nieposłuszeństwa

zaplątany w obowiązki  
koniecznych aplikacji

uwiarygodniony  
policyjnym dozorem

doglądany  
ministerialnym okiem  
tropiącej cyfryzacji

jestem  
elementem  
budowanego dystansu  
alternatywą  
społecznego zaufania

oddalam się  
macham z za szyby  
znikam

### 3. Powrót

Już dobrze  
wskazany naznaczony  
wracam

nic nie było  
uprawnieni potwierdzili  
ujemny wynik

zakończono procedury  
koronowania świadomości

Jan Lechicki

Przeżył już taką zarazę,  
że mu niestraszny  
żaden wirus?

22.03.2020

## Profesjonalne imaginacje

leżałem w ciemnym pokoju  
jak głaz przy polnej drodze  
myślałem o życiu po życiu

nagle usłyszałem jęk  
karetki pogotowia  
pod me przymknięte powieki  
wdzierał się piekący ból  
umierającego

odruchowo opuszki palców  
mojej prawej dłoni  
delikatnie położyłem  
na tętnicy promieniowej  
i liczyć zacząłem tętno  
było przyspieszone

syrena karetki pogotowia  
umilkła za oknem  
a ja trzymałem nadal  
rękę na pulsie

Elżbieta Lisak-Duda

## Pandemia – widok z okna

Niedziela.  
Podwórko puste.  
Oddech wiatru złowrogi.  
Drzewa w dreszczu.

Z kubłów nadmiar wypęła  
martwicami tego,  
co śmieciem i zbędne.

Ktoś w czapce szmacianej  
ciągnie dwukólkę  
z rogiem obfitości –  
niepełnym jeszcze.

Chwyta rąk zanurza w Sezam  
i grzebie,  
dobywa,  
upycha w rogu  
na ciasno.

Anna Maria Musz

\* \* \*

my tu zarobieni po łokcie po uszy  
w mieście na uczelni czy w sztucznym ogrodzie  
a wszystko co ważne dzieje się gdzie indziej  
choć w tym samym czasie –

wszystko gdzie indziej: już wróciły ptaki  
las się wprowadza na jałowe pole –  
remiz na jakąś nienawistną szyję  
plótł ciasną pętlę ale zmienił zdanie  
i do tej pętli lepi własne gniazdo –  
forsycja długo długo stała w progu  
w kwiatach jak rzadko  
i jak rzadko w śniegu  
ale do końca nikt jej nie otworzył

wrą piętra biura grzeją się przewody  
lecz to co ważne dzieje się gdzie indziej:  
królestwa termitów wielkie księstwa mrówek  
pszczele dynastie i sukcesje nor –

wszystko gdzie indziej w głębi w ciągłym ruchu:  
łanie wychodzą i nas oglądają  
jak kobiety na chwilę wywołane z kuchni  
gdy coś w telewizji pilne choć chwilowe  
– ale zaraz wracają bo nic nieskończone

nadciąga wieczór  
a wszystko gdzie indziej – w nas jedynie ziarna  
które zasychają daleko od ziemi

Irena Nyczaj

## Insekt

Wbiega lekko po schodach na swoje trzecie piętro. Odczuwa satysfakcję widząc, jak sąsiadki przystają na półpiętrze, sapią i patrzą przez okno, za którym rozciąga się widok na kilka nędznych drzewek i osiedlowy śmietnik. „Wolą mnie nie widzieć. A niech tam”.

56 lat jej nie obciąża. Wręcz przeciwnie. Czuje moc i energię do działania. Gdyby była facetem... Ludzie by ją szanowali. Ludzie by się jej bali. A tak – patrzą z politowaniem, pogardliwie kreślą kółko na czole. Śmieją się ironicznie. Widzi to na każdym kroku. Wariatka. Wysza z psychiatrika.

Już tam nie wróci. Nigdy. Nie da się zniewolić. To jej delikatność i nadwrażliwość tam ją zaprowadziły. Zawsze odkąd pamięta rozdzielała włos na czworo, analizowała. Po co?

Być twardym facetem. Tak. Przywalić komuś, skopać kanalię, rozwalić mordę. Niech leży i jęczy błagając o litość. Za tyle zła, za niepotrzebne istnienie. Za krzywdę.

Jak wtedy w autobusie miejskim. Dała niezły pokaz i nauczkę. Ona jedna była mężczyzną. Odważnym, niezłomnym. Prawdziwym.

Gówniarze siedzą rozwaleni, uzbrowieni w smartfony. Rechoczą. Padają słowa nieprzyjemne dla ucha. Ludzie odwracają wzrok, udają głuchych. A oni – zauważyła – chcą kogoś sprowokować. I oczywiście żaden nie ma na gębie maseczki. Poczowała gniew.

Przymknęła oczy... Ujrzała siebie w zwolnionym filmie. Podchodzi do młokosów, każąc ustąpić miejsca starszemu z laską. I pyta, gdzie mają maseczki. Młodzi patrzą bezczelnie, rzucają jej w twarz obelżywe epitety.

– W dupie! – dodaje któryś i szczerzy zęby.

Kobieta czuje oblewające całe ciało gorąco. Łapie jednego za szyję. Zaciska. W oczach chłopaka widzi strach. Okrągłe, wypukłe oczy owada, a w nich, jak w kalejdoskopie-zabawce dla dzieci, odbija się jej wykrzywiona, pocięta na kawałeczki w lusterkach twarz.

Chłopak osuwa się na podłogę. Sprawiedliwość się dopełniła.

Nikt nie krzyczy. Autobus hamuje. Przystanek.

Widzi, stojąc na chodniku, jak smarkacze stukają się znacząco palcami w czoło i robią do niej zza szyby pojazdu małe miny.

Wbiegając po schodach, zauważyła na oknie muchę. Teraz, jesienią? Świat się kończy. Trzepnęła gazetą, poprawiła na posadzce butem. Nie było trudno z nieco ospałym owadem. Szyba odbiła grymas na twarzy kobiety. Uśmiech?

Jest sama na bożym świecie. Jak palec – mówią ludzie. To przecież głupie. Palców każdy ma wiele. Zaczęła zauważać liczne absurdy, powtarzane przez ludzi bezmyślnie na każdym kroku. Zrobiła z tego swoistą zabawę, ot, niewinna rozrywka, a daje niezłą satysfakcję.

„Muchy by nie skrzywdził”. Zabić muchę to wręcz obowiązek człowieka. Mucha – stworzenie obrzydliwe – siada na... wiadomo i roznosi... To obowiązek. Zacisnęła pięści.

– Muchy by nie skrzywdził – usłyszała pewnego dnia rozmowę kobiet o starszym panu mieszkającym na parterze. – Taki dobry człowiek, a tak krzywdzi go los.

To ją zaciekawiło. Chciała dowiedzieć się więcej. Gdy zapukała do jego mieszkania, otworzył i uпрzejmy uśmiech opromienił jego szarą twarz. Zaprosił znajomą z widzenia, mijaną czasem na schodach miłą sąsiadkę. Zaproponował herbatę. Z ochotą przystała, usiadła przy stole, rozejrzała się po schludnym wnętrzu. „Jakie przeladowane. Po co mu tyle drobiazgów. Wszędzie fotografie, stare – zauważyła – czarno-białe. Obrazy, koronkowe serwetki, figurki z porcelany, wazoniki. Brz, okropieństwo, ani kawałka wolnego miejsca, nie ma czym oddychać”. Rozluźniła pod szyją kołnierzyk bluzki. Na jej poczerwieniałej twarzy zagościł grymas uśmiechu.

Zapragnęła poznać, jak skrzywdził go zły los. Starszy człowiek obdarzony tym nieoczekiwanym zainteresowaniem, otworzył na oścież swój azyl. W trudny czas pandemii samotność obezwładniała, odbierała i tak słaby napęd do życia. I oto tama została rozerwana. Słowa poczęły wylewać się z siłą ujarzmianą dotąd, a teraz gdy znalazły ujście – popłynęły niczym niepowstrzymywane.

Przed oczami obojga jęły pojawiać się i przesuwac kadry wojennych działań: wybuchy bomb, śmierć kolegów, rany, polowy szpital, operacja. Noga trafiona szrapnelem nadawała się tylko do amputacji. Nie zgodził się. „Nie chcę stawić się przed Panem Bogiem bez nogi” – powiedział twardo. Cóż było robić. Lekarze opatrzli, wyczyścili ranę jak mogli, popatrzli na umierającego ze współczuciem.

Przeżył, choć noga, mocno pokiereszowana, dawała się przez całe życie we znaki, szczególnie na zmianę pogody. Ale była.

Żona i córka... Trafiły do Oświęcimia, gdy on ostrzeżony schronił się w lesie u partyzantów. Kobiety miały być bezpieczne... Ale los uderzył jakże silnie. Nie mógł się podnieść przez długie lata.

Kiedy poznał Zenobię, nie uwierzył w odmianę swojej doli. Lecz Zenobia nie ustąpiła. Pobrali się. Życie toczyło się tak jak innych dojrzałych ludzi. O dzieciach, rzecz jasna, nie było mowy. Za późno.

Gdy odeszła, wszyscy mu współczuli. „Taki człowiek – dobry i nieskazitelny. Muchy by nie skrzywdził. I takie cięgi dostaje od losu”.

Opowiadał dalej swoje niełatwe, a przecież banalne – jak oceniła w duchu jego nowa znajoma – życie.

Jej życiowa droga to co innego. Ale kogo to interesuje. Jemu przecież nie opowie. Zamyśliła się.

Została sierotą w dzieciństwie. Była jedynaczką. Gehenny domu dziecka i kilku pobytów w rodzinach zastępczych nie chce nawet wspominać. Ludzie to potwory, samolubni i źli. Zepsuci, okrutni, pozbawieni jakichkolwiek uczuć i wartości.

Poznała miłość. Miłość? Szybki seks w toalecie czy jakichś brudnych zakamarkach domu dziecka. Chcieli z nią być, więc się nie sprzeciwiała. Nie czuła nic, prócz gniotącego ciężaru beznadziei i dziwnego upokorzenia. Nic z tego nie rozumiała.

Pierwsze dziecko, chłopczyka, oddano do adopcji. Miała wtedy 13 lat i nie obeszło jej, co się z nim stało. Był maleńki jak komar czy mucha...

Potem była dziewczynka i znowu chłopiec. Też poszły do adopcji. Obojętna, nie interesowała się ich losem. Instynkt macierzyński? A cóż to takiego?

Mucha i komar. „Zalać robaka”. Co to znaczy? Poznała sens głupiego powiedzenia. Zalewała obrazy-kadry, w których małe skrzydlate insekty-dzieci nadlatywały ze wszystkich stron i wwiercały się z brzęczeniem w jej udręczony mózg. Gdy trzeźwiała, było jeszcze gorzej. Nie, nie miała wyrzutów sumienia. Kolejny schemat i mit. Nigdy nie chciała mieć dzieci. Ale pragnęła innego życia, niebanalnego, oryginalnego. Czuła w sobie potencjał. Tylko zrealizować. Pandemiczny, trudny dla większości czas, jej nie sparaliżował. Wręcz przeciwnie, poczuła moc i posłannictwo. Tak, musi działać. Wreszcie pokaże, jak się powinno żyć.

A ten tu? Co w tym dziwnego, że stracił żonę i córkę w trudny czas wojny. A że potem umarła mu druga żona. Czy to coś zaskakującego? Dobrze chociaż, że on sam, pomimo dawnych ran, jest zdrowy. Powinien się cieszyć.

– W dodatku mnie też dopadło choróbsko – odezwał się starszy pan. – Mam nerkę do wymiany.

– Do wymiany? – zdziwiła się. – Ma pan dwie. Można żyć z jedną.

– Już jednej nie mam. Usunięta z powodu nowotworu. A teraz ta druga...

– No tak... to skomplikowane.

– Wie pani, takimi starymi, sądzę, nikt się nie przejmuje, szczególnie teraz, gdy cały świat doświadcza okrutnej zarazy. Widzi pani w telewizji, jak wirus zabiera starych... Chyba nie doczekam tej nerki. A poza tym, czy w moim wieku przeżył-

bym przeszczep? Każda dializa wydaje mi się być tą ostatnią. Ale nie skarzę się. Życie jest zbyt piękne, aby narzekać. – Jego twarz rozjaśnił blask, który objął i ją swoją mocą. Poczowała wielkie wzruszenie i współczucie dla tego nieoczekiwanego nowego znajomego.

Nigdy nie miała bliskiej osoby. Psem czy kotem, nawet papuzką nie chciała się opiekować. Są jak dzieci. Trzeba je uczyć czystości, wyprowadzać, znosić fochy, bawić się. Słowem, być uwiązany. A ona ceni wolność, wie, czego chce, a raczej – czego na pewno nie chce.

Starszy pan był miły i kulturalny. Noga okaleczona na wojnie, z ubytkiem kości w podudziu, sprawiała mu widoczny czasem ból. Utykając, zaciskał szczęki, widziała to. Nie skarżył się, a ona nie komentowała. Co tu mówić. Jest jak jest i tego się nie zmieni.

Do zmiany było jednak coś, co zaczęło uporczywie zaprzętać jej myśli. Ociągała się aliści, by sąsiadowi o tym powiedzieć, zresztą nie bardzo wiedziała, jakich słów użyć, żeby osiągnąć cel, a broń Boże nie popsuć. Była samotnicą z niewielkim doświadczeniem towarzyskim, jeśli w ogóle można tak powiedzieć. Jej kontakty ze światem zewnętrznym były w istocie żadne. To jednak nie ograniczyło woli działania kobiety, jaka pojawiła się nagle i samą ją nawet zadziwiła. Odczuła ważność swojej roli, wręcz misji. Musi sprawę doprowadzić do pomyślnego końca. Przypadek był doniosły, a jednocześnie zbyt wyjątkowy, aby potraktować go sztampowo, na skróty. Nie, nie, trzeba było dobrze przygotować się do akcji.

Wyszła z założenia, że stary człowiek mający swoje przyzwyczajenia, żyjący w pewnym utartym rytmie i schemacie, nie od razu będzie skłonny zmienić, przebudować i ułożyć na nowo pewne sprawy. A przestawić się powinien, tak, nawet musi. Trzeba było jednak poczekać, nie działać pochopnie, nie spłoszyć.

Za każdym razem, gdy odwiedzała mężczyznę, z narastającą niechęcią obrzucała krótkimi spojrzeniami zalegające wszędzie durnostojki. „To pewnie jego żona tyle tego naznosiła, kolekcjonerka!”

– Powinien pan powyrzucać większość tych niepotrzebnych rzeczy (pomyślała „śmieci”) – odezwała się pewnego razu, gdy uznała, że przyszedł czas. – W czasie pandemii czystość jest najważniejsza. A tyle bibelotów tylko gromadzi kurz...

Ale on nie był gotowy.

– To pamiątki po mojej Zeni. Nie mogę...

– Zobacz pan, będzie lżej, będzie więcej powietrza, odżyje pan, ja pomogę... – nalegała już mocno zniecierpliwiona.

– Nie.

No to nie. Przyrzekła sobie, że nie pójdzie do opornego człowieka więcej. Co on ją w końcu obchodzi. Chciała dobrze dla niego, radziła. A on – nie.

Któregoś dnia spotkali się na schodach. Szedł z widocznym trudem, posapywał taszcząc siatkę z zakupami. Pomięta, brudnawa maska zwisała smętnie pod brodą.

Ucieszył się, zagadał, zaprosił na herbatkę. Jakby nigdy nic.

Usiadła przy stole, rozejrzała się po schludnym, ale przeładowanym rupieciami wnętrzu.

Nie ma czym oddychać... Rozerwała guziki bluzki. Jeden upadł na podłogę, potoczył się pod kanapę.

Krew napłynęła nagłą falą. Przez łzy ściskając gardło ujrzała siebie ogromniejącą, potężniejącą, obdarzoną nadludzką mocą, jaka uruchomiona po latach letargu – dała jej prawo...

Tak, jest facetem. Młodym i silnym.

Gdy zobaczyła strach w oczach starego, w wypukłych, okrągłych oczach muchy, która tylko roznosi... – nie zawahała się.

Potem wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

*Irena Nyczaj*

Stanisław Nyczaj

## Więcej niż szydarczy pech

Strach nie wyrobić na koronawirusa  
w rozpędzie, co niemiłosiernie  
za wszystkim ze wszech stron nas gna.  
Wypadłszy za barierę, burtę  
w rów stromy, głębinną kipieli,  
odnalezieni w pandemii nie bez trudu,  
gdy aż tylu naraz się spieszy  
do niezobaczenia... Ach,

zginąć na tym koronawirusa,  
to więcej niż szydarczy pech.

Bo jakież zgrzyt w sercach najbliższych  
i pochowanych w domach żywcem przyjaciół zmarłego  
nie za gorzki smutek, a złość, że:

– Zlekceważył zakazy, lekkomyślny,  
zakupił sobie z niebezpieczeństwa  
i nas, przymuszonych, naraził  
do ostatniej dlań śpiesznej posługi,  
wystawienia się przy rozdziawionej ziemi  
na śmiertelny strzał zakażenia.

Grabarze patrzący z wyrzutem  
na chętnych do wykrzyżenia żalów,  
dają znać rękawicami,  
by prędeż, bo – ziemia obok  
żałocznie co rusz się upomina,  
jakby gotowa pomieścić w swych czeluściach  
więcej niż mogą sprawne  
kilofy, łopaty, kielnie...

Na przegubach mąk żałobników  
zegarki w rytm ich uderzeń  
coraz głośniejsze tikają:  
– Ty-ty uważaj,  
najwyższa pora i na...

Nie, niechaj dzwony kościołów,  
nad rozdierającymi rozpacz organami,  
grzmiały na trwogę sobie a Muzom,  
tylko nie – nazbyt skory Losie –  
jak raz, póki co bądź, n i e n a m!

Irena J. Paździerz

## Odnowa (Od nowa)

Zatrzymała się tuż za drzwiami. Podniosła głowę. Jaskrawe słońce raziło ją. Zamknęła oczy. Głęboko wciągnęła powietrze. Próbowwała je zatrzymać w sobie, jak gdyby już nigdy nie miała oddychać świeżym powietrzem, a zawsze tym dusznym, szpitalnym. Zapach sosenu uderzył ją w nozdrza. Chciała się uśmiechnąć, ale tylko lekko skrzywiła wargi.

– Źle się czujesz? – spytał Zygmunt.

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową. Zrobiła kilka kroków i spojrzała w dół. Ostrożnie postawiła stopę na niższym schodku. „Jakie to dziwne? – pomyślała. – Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, jak to się dzieje, że kolana się zginają i odrywając jedną nogę od ziemi, nie przewracamy się i nie lecimy w dół”.

Zachwiała się i Zygmunt mocniej ścisnął ją za łokieć.

– Powoli, nie musisz się spieszyć.

Stanęła w miejscu, gdzie rozpoczął się drugi ciąg schodów. Popatrzyła w lewo. Pomiędzy suchym igliwem rozkwitły przylaszczki. Było ich tak dużo, że jaskrawy błękit odbijał się od szarego podłoża i rozjaśniał zaciemnione miejsca między drzewami.

– Jakże się stęskniłam. Za takimi kwiatami, za lasem. We Włoszech nie ma sosen.

Zygmunt chciał zapytać, czy też za nim, ale uznał, że takie pytanie jest nie na miejscu. Będą mieć dużo czasu i kiedyś je zada.

Jagoda wróciła z Włoch, kiedy skończyły się ferie zimowe. Udało jej się zabrać z grupą młodzieży powracającej z nart. Wszyscy opaleni, wesoło było w autokarze, ale jakoś jej ten nastrój się nie udzielał. Przez trzy lata opiekowała się Eleną Tocci. Starsza pani, gdyby jeszcze miesiąc pożyła, skończyłaby 90. lat. Umarła, a ona jej śmierć tak przeżywała, jakby umarła jej matka. Żyła się z nią, może nawet zbyt mocno. Za każdym razem, gdy wpadała do Polski, stale o niej mówiła. Elena to, Elena tamto, a jej córka, Julia... Nie chciała słyszeć o powrocie do kraju. Wróci, wróci, ale jeszcze nie teraz. Miała być tylko trzy miesiące, potem następne trzy i tak zeszło aż trzy lata. Przecież nie dla siebie zarabiała pieniądze. Pomagała Magdzie i Tomkowi. Młodzi marzyli o własnym domu. Jak mogła własnym dzieciom nie pomóc? Nadarzyła się okazja wyjazdu, to pojechała.

– Może usiądziemy – przycupnęła na ławce, jakby obawiała się oprzeć o nią plecami. Spojrzała na Zygmunta, ale on utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni, może zatrzymał go na parkingu, gdzie słońce odbijało się od lakierowanych masek samochodów.

– Gniewasz się na mnie? – spytała nieśmiało.  
– Wiem, to ja na was ściągnęłam to nieszczęście.

– Daj spokój – machnęła ręką.

Gdy przebywał na kwarantannie, cały czas wyrzucał sobie, że jest wredny, bo ucieszył się, że starucha wreszcie umarła. Przeżyła dziewięćdziesiąt lat i wystarczy. Teraz Jagoda będzie siedzieć w domu, bo tak powinno być od dawna. On na emeryturze, ona w przyszłym roku dostanie to, co sobie wypracowała przez trzydzieści parę lat. Czego im więcej trzeba? Młodzi niech się sami dorabiają. Czy im ktoś pomagał, gdy się pobrali? Wszystko sami zdobyli. Dzisiaj dzieci patrzą, żeby od rodziców jak najwięcej wyciągnąć.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać?

– A o czym tu mówić? Grunt, że wszystko dobrze się skończyło. Będziesz wreszcie w domu.

Chciał opowiedzieć jej o wszystkim, jak strasznie się bał, że ją straci, ale po co taka gadka. Mężczyźni się nie skarżą, ale rozwiązują problemy. Tak go wychowano i za żadne skarby świata by się nie przyznał, że siedział na przymusowej kwarantannie i raz czy dwa rozkleił się jak baba. Nikt nie widział jego łez, był przecież sam. Magda z Tomkiem też musieli dwa tygodnie siedzieć w izolacji, ale wynieśli się do swojego mieszkania. Nie interesowało ich, czy ma co jeść, czy nie. Dobrze, że Kornacka z przeciwka ulitowała się nad nim i codziennie przynosiła, a to zupę, a to pierogi i robiła zakupy. Zostawiała to wszystko pod drzwiami, naciskała dzwonek i uciekała do siebie. Stawała przy furtce i patrzyła, czy otworzył drzwi i zabrał to, co przyniosła. Nikt nie wie, jakie to upokorzenie. Karmią cię jak psa, a ty przecież masz pieniądze, możesz wszystko sam sobie kupić, a nie wolno ci wyjść z domu.

Jagoda nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie się żyć, gdy śmierć każdego dnia przybliża się, a potem odchodzi. Nie wiadomo, czy jutro znowu przyjdzie, czy nie, byle nie po raz ostatni, a zarazem ostateczny. Gdy ludzie są zdrowi, często wygłaszają frazesy w rodzaju – każdy przecież kiedyś umrze, lecz co to jest prawdziwy strach, dowiadyuje się ten, który staje oko w oko z kostuchą. Najgorsza jest ta huśtawka – raz lepiej, potem gorzej – i znowu przerażenie powraca.

W sali, gdzie leżała, umarły dwie osoby. Pani Marysia miała osiemdziesiąt dwa lata i stale się modliła. Prosiła Boga, żeby wyzdrowiała chociaż na jeden dzień. Pożegna się ze wszystkimi i może ją zabrać. Modliła się półgłosem nawet w nocy. Wszystkim to przeszkadzało, ale nawet pielęgniarki nie mogły jej uciszyć. Z każdym dniem mamrotała coraz ciszej, aż w końcu zamilkła.

Pani Franciszka umarła wczoraj po kolacji. Od kilku dni nic nie jadła. Skarżyła się, że boli ją żołądek. – Ja już tego koronowirusa na pewno nie mam – mówiła – przecież od kilku dni mam normalną temperaturę i prawie nie kaszlę. Jagoda bała się, że dziś ją nie wypiszą, bo na ich sali umarła Franciszka.

Położyła rękę na przedramieniu Zygmunta i zajrzała mu w oczy.

– Ja wszystko sobie przemyślałam, ja już wiem, nikt za mnie nie przeżyje mojego życia, ani ja za

niego. Każdy ma swoje i tylko jedno. I każdy dzień... każdy dzień to taka małeńka wieczność, która nam jest dana. Ani jednej nie można zmarnować... Ja już to wiem... a dzieci... dzieci... – zachłysnęła się swoimi słowami i zakasłała.

– Niech żyją swoim życiem – dokończył za nią.

*Irena J. Paździerz*

Opowiadanie wyróżnione w konkursie Wojewody Świętokrzyskiego i Radia Kielce pn. „Tak widzę świat, tak go czuję – rzeczywistość w obliczu zagrożenia”.

**Kazimiera Szczykutowicz**

## Zasady

puste ulice wielkich miast  
wielka ostrożność  
zamiast się cieszyć tym co z gwiazd  
wzięte zwinięte życie w kułak wymyty  
w preparat pod okular  
mikroskopu precyzja wnika w drobinki

i groźba małeństwa jak kula armatnia  
najeżona czeka na kropelkę

mobilizacja laborantów  
jak odeprzeć atak  
jak zniechęcić aktywność wirusa

miasta opustoszały  
ulice straszą brakiem przechodniów  
auta śpią na parkingach  
żyłami dróg nie płynie ruch  
domy mieszkania jak zamknięte klatki

kwarantanna badania samotność  
wskazane jak walka podjazdowa  
jak uniki kompromisy

kto przetrwa ozdrowieniec  
jak producent przeciwciał

## W kleszczach pandemii

Próżny człowiek

zadufany w sobie  
w poczuciu bezkarności  
może wszystko niczym chwast

W walce z niewidzialnym wrogiem  
świat zatracił się bezpowrotnie  
pozostała bezsilność  
pustka osamotnienie i śmierć

Jak żyć –  
bez dotyku miłości

To tak jakbym chciała  
w zamkniętych dłoniach  
zatrzymać wodę

## Świat na krawędzi

Między ścianą  
ciszy a krzykiem  
na krawędzi  
dnia i nocy  
wśród martwych  
a wciąż żywych

z łzą  
oczekując lepszego



Julia Pawlicka-Dekert: *Świat na krawędzi*, tempera, 2020



## (Pan)demia

wiosna A.D.2020  
– swoista królowa  
w koronie wirusa  
zatrzymała bieg świata  
w przestrzeniach osobnych

cała ludzkość w maskach  
w konduktach żałobnych  
w czterech ścianach samotności  
oczekująca na alchemiczne panaceum  
i pokonanie niewidzialnego wroga

a natura wciąż chichocze  
mądrym wirsuologom w twarz  
i sieje zjadliwe nanocząsteczki  
gdzie zawieje wiatr

wzdrygają się kłamki  
przed dotykem dłoni  
strach zaciska usta  
przed pocałunkiem miłości  
a po kątach izolatoriów  
klęczy pokorna kwarantanna

dni zawężone  
do kwadratu okna  
za którym świeża zieleń  
pęcznieje nadzieją w pąkach

ona umrze ostatnia

30.03.2020

Anna Zielińska-Brudek

## Jest do pokonania

Nie czuję się winna, że jestem pogodna w obcym, niepojętym dla mnie czasie. Równowaga psychiczna pozwala przetrwać. Mówią o mnie wańka-wstańka, która fika, kolebie się na boki, lecz nigdy się nie przewraca. Z wyglądu przypomina rosyjską matrioszkę. Ot, życiowa wercipięta. Wyobraźnia ułatwiała dotychczasowe życie. Tym

razem nie podpowiedziała, że coś pęknie i pojawi się ON, niewidzialny... Nie wiadomo skąd przyszedł. Złowieszcze wiadomości do góry nogami wywróciły życie. Grozę sytuacji potęgują przejeżdżające karetki pogotowia na sygnałach, radiowozy, z których nadawane są przez megafony komunikaty: „Apelujemy, zostańcie w domu!”. Wielu mężczyzn, by ukryć na twarzach swoje emocje zapuszcza wąsy i brody. Na samotnej przejażdżce rowerowej na wyludnionym rynku spotykam młodą kobietę, która z przejściem śpiewa „Życie moje dawne, wróć”...

– Strach wyrwał mnie z butów, przez dwa tygodnie nie wychodziłam z domu. Bałam się, że czeka na mnie za drzwiami – zwierzała się koleżanka. – Ty?, przez ponad 30 lat służyłaś w policji, gdzie podziałaś odwagę? – pytałam. – Oddałam ludziom, ale teraz już nie pękam – dodaje. – Na działce da się zapomnieć i dalej toczy się życie, chyba nie spisano nas na straty.

Przez kilka dni poruszałam się po omacku, jak w ciemnym pokoju. Śledziłam wieści, które wciągały mnie w zagadkową czeluść, bo nie odpowiadały na nurtujące nas pytania: Jak długo może to jeszcze potrwać? W którą stronę iść? Zagrożenia wymusiły określone zachowania i ostrzeżenia. W przekazach dominują słowa „nie”, „zdalnie” i „wirtualnie”. Nie wolno, nie wychodzimy, nie można, nie ryzykujemy. Zdalnie się uczymy, zdalnie pracujemy. Pomoc niesie komputer; możemy rozmawiać ze wszystkimi o wszystkim. Tylko czy świat potrzebuje takich rozmów? – zastanawiam się, trwając w swojej wewnętrznej emigracji. Pośród zamętu świata, w huśtawce nastrojów oglądam kulturę w sieci, zabawne fotki na portalu społecznościowym, słucham piosenek naprędce skomponowanych. Poprawiam sobie humor oglądając tańce. Mało tych doznań, włączam więc telewizor, w tym samym czasie rozmawiam przez telefon i gotuję obiad z nagromadzonych zapasów, od których trzeszczy lodówka. Razem ze mną podskakuje pralka, bo piorę non stop. Cichaczem wychodzę na klatkę i podlewam kwiatki. Kiedy na schodach słyszę tupot nóg, biegnę szybko do mieszkania. Ktoś z tyłu złapie moją rękę. – Mnie też się boisz? – słyszę głos męża. I jednym tchem opowiada, jak jadąc rowerem przed KCK spotkał kolegę. – Pozdrowiłem go, a on odskoczył przerażony i zapytał. – Kto ty jesteś? – Mirek! – Nie wiem, Mirek czy nie Mirek, ale wyglądasz tak, jakbyś na ludzi napadał. Za chwilę zamaskowani, wszyscy będziemy tak wyglądać. Niczym zombie.

Na dobry wieczór jeszcze popatrzę w niebo, które ledwo popłakuje zamiast użyźnić ziemię ulewnym, rześzystym deszczem. Ciężkie, ołowiane chmury zwiastują raczej grad. Chciałabym być w objęciach Morfeusza, by spełniał moje marzenia. Jednak sen przychodzi z trudnością. Wciąż te same nocne koszmary. Widzę bałagan, zaśmiecone podwórze, unurzane w błocie podłogi. Grabię podwórko, wymiatam śmieci w dusznym powietrzu, ścieram kurz i nie mogę wywabić plam na swoim ubraniu. Duszę się od wydobywającego się ze szczelin okien i drzwi pyłu.

Uff, oddycham z ulgą budząc się na dzień dobry, mając przekonanie, że kolejnej nocy przeżyję ciężę senne urojenia i uporam się raz na zawsze z tym sprzątaniem.

*Anna Zielińska-Brudek*



Władysława Szproch: *Anioł II*, pastel

## wirus koronny

żaden inny wirus  
nie doczekał się koronacji

nie było nawet bakterii koronnej

a przecież plaga ateńska  
zaraza antonińska dżuma hiszpanka  
cholera czarna ospa EBOLA AIDS  
czy ptasia grypa również dziesiątkowały ludzi

jednak nie wręczono im królewskiego rekwizytu  
nie wyniesiono na trony

koronę przyznano wirusowi z początku XXI wieku  
choć z pewnością kolejne mutacje są już w drodze  
może będą miały atrybuty boskie

tymczasem niewidzialny król  
na usługach niewidzialnego oprogramowania  
panuje niepodzielnie  
a jego niewidzialne wojsko  
powoli pozbawia nas praw  
pustoszy miasta szerzy strach  
czyni podległymi rządy

powstaje nowy ład  
rynek zbytu dla stworzonych technologii

a kolczaste berło  
na usługach niewidzialnej władzy  
wskazuje nowy kierunek

Uta Przyboś

## Wspomnienie o Ojcu Julianie (1901–1970) – wspaniałym człowieku i poecie

Segreguję papiery po Julianie Przybosiu. Na szczęście uporządkowała je już moja Mama, bo nie lubię takiej pracy. Teraz widzę, z jaką robiła to miłością, zachowywała najdrobniejsze karteczki. Mam np. gruby plik depesz, które Tata wysyłał do niej na samym początku znajomości. Ona mieszkała w Łodzi, on w Krakowie. Przez część teczek przebrnęli już doktoranci z Uniwersytetu poznańskiego z profesor Agnieszką Kwiatkowską. Włożyli wiele wysiłku, ukazała się książka *Pisma rozproszone* i powstała strona internetowa, na której można obejrzeć różne ulotności z życia mojego Ojca.

W ten złoty październik, najpiękniej chyba nazywany po ukraińsku: żołącien, brnę przez pożółkłe papiery i wspomnienia. Znajduję rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Nie jestem człowiekiem wspomnień i właśnie znajduję tekst, w którym Tata

pisze, że nie jest sentymentalny. Żyliśmy, a może żyjemy oboje raczej w teraźniejszości i w przyszłości. Czas się miesza, czytam słowa napisane ponad pięćdziesiąt lat temu, a są obecne teraz...

Urodził się pierwszej wiosny nowego, burzliwego XX wieku.

Jeszcze jako gimnazjalista zgłosił się na ochotnika w czasie I wojny światowej, był we Lwowie, potem w czasie wojny z bolszewikami też walczył, szedł do ataku, zginął jego przyjaciel, był w niewoli, przedarł się z innymi do polskich wojsk i zapisał, że przeszła mu ochota do wojaczki. Prawdopodobnie miał zapalenie mięśnia sercowego, długo nie mógł dojść do zdrowia i zawsze mu już dolegało. Część faktów poznałam niedawno, czytając biografię Taty napisaną przez Józefa Duka. Studia rozpoczął w Krakowie w czasach ogólnego entuzjazmu z racji odzyskania niepodległości. Wszystko, wydawało się, że może być nowe, lepsze... W całej Europie rodziła się nowa sztuka. Spotkał Tadeusza Peipera, Jana Brzękowskiego, Jalu Kurka i innych. Powstała Awangarda Krakowska. Niezwykle szybko rozwijała się nauka, medycyna, technika. Łatwo było uwierzyć, że ludzie po tej okropnej wojnie zdołają się rozwijać, dążyć do budowania lepszej przyszłości, że dzięki zmechanizowaniu pracy ludzie będą uwolnieni od mozolnego wysiłku, na który napatrzył się w swoim wiejskim dzieciństwie. Miał nadzieję, że wolni ludzie staną się twórcy. Tę nadzieję zachował do końca życia, zresztą pisał, że jest dożywczo młody. Urodziłam się, jak miał 55 lat, ale nigdy nie myślałam, że mam starego ojca. Tyle w nim



było radości życia, chociaż żył w dostrzegalnym skupieniu, ale jak by to teraz powiedzieć, też „na luzie”. Potrafił wdrapać się na drzewo w Łazienkach, zachwycać, być niekonwencjonalnym. Mieć w sobie wolność. Nigdy nie widziałam go zagniewanym, pewno także była to zasługa mojej Matki. Opowiadała mi, że kiedy raz Tata zaczął się złościć wydał jej się taki komiczny, że usiadła na podłodze i zaczęła się śmiać. Nigdy już takiego zachowania nie powtórzył. Ja jako dziecko bywałam nieznośnym, wrzeszczącym bachorem. Tata mówił wtedy, że oboje mamy temperament po dziadku Damazym. Cóż za wspaniałe imię!

Czasami widziałam, jak przychodzi czymś zirytowany „z miasta”, ale w domu była moja Mama, dawała mu radość. W liście do Brzękowskiego napisał, że jest ważniejsza od poezji. A Przybos był poetą. Doświadczenie, a potem zapisywanie było jego sposobem istnienia. Niedawno ukazały się dwie ciekawe książki o jego poezji: Bogusława Kierca *Płomiennie obojętny* i Władysława Włocha *Przody boczne...*

Sam tak pisał:

*Ze wszystkich moich zajęć, jakie podejmowałem, układanie wierszy było dla mnie pracą nie do uniknięcia, niedostrzegalnie konieczną jak praca mięśnia sercowego.*

Teraz, kiedy sama piszę, bardziej rozumiem Ojca, czuję, czasami jestem zaskoczona, jak bywamy do siebie podobni. W odczuwaniu świata i pojmowaniu poezji. Gdy poznał się z moją Mamą, mówił do niej Uta, potem ja zostałam Utą – po japońsku poezją. Taka jest siła słów.



Z Janem Brzękowskim, 1968 Paryż

Przeżył drugą wojnę światową, ucieczkę, znalazł się we Lwowie, został uwięziony przez gestapo, z którego wyciągnęła go pierwsza żona, Bogusława Koźdoń, zaszył się w rodzinnej Gwoźnicy. Trudne chwile w życiu potrafił przejść dzięki poezji, jak mówił „śpiewający”. (Miał lekko miękki akcent). Teraz rozumiem dlaczego. Świat zamykany, a może otwierany słowami, jest też tymi słowami oswajany. Łatwiej wtedy myśleć o śmierci kochanej kobiety, ruinach Warszawy po powstaniu, nawet Oświęcimiu. Oswajać śmierć słysząc:

*a kukutka nie ustaje, kuka  
w dębie, zaprzyszłej trumnie*

Zapisanie wyzwala. Napisał, że daje mu wolność. Poezja była też dla niego narzędziem badania świata, wnikania w tajemnice istnienia, zapisem olśnień, które jest tak trudno ogarnąć słowami, tak aby mogły dotrzeć do wrażliwości drugiego człowieka. Część liryków Przybosia prowadzi czytelnika przez takie najczulsze doświadczenia. Mistyczne, choć nie wiem, czy polubiłby to określenie. Rozumiem też jego żar, mówił, jako już starszy pan, że ma wiele poezji w brzuchu.

Był zawsze elegancki. Niewysoki, chyba 162 cm wzrostu, dobrze ogolony (nie dał mi się namówić na zapuszczenie brody, mówił, że wyglądałby jak krasnoludek), pod krawatem, w kapeluszu, którego uchylał spotykając znajomych. To już nieistniejące gesty, jak podpisy pod jego listami z młodości: całuję rączki, padam do nóżek. Zabawne, ta sama formuła istnieje w języku hiszpańskim. Hiszpańskiego nie znał. Znał dobrze niemiecki, urodził się przecież w zaborze austriackim, znał francuski, potem poznał, ale gorzej, angielski, chyba rozumiał włoski. Miał solidne wykształcenie klasyczne z greką i łaciną, był zresztą bardzo dobrym uczniem. Moją nauką nie musiał się bardzo interesować, bo ja też byłam dobrą uczennicą. Bardzo dużo czytałam, oczywiście najpierw książki dla dzieci i młodzieży. Na tym się nie znał, w swoim wiejskim dzieciństwie nie miał dostępu do takich książek. Zaczął od razu czytać książki dla dorosłych. Jak nie umiałam jeszcze czytać, przeczytał mi na głos *Pana Tadeusza* i *Krzyżaków*. Czasami coś tłumacząc. Może dlatego trochę kpił, że można nazwać ulicę „Ulicą Kubusia Puchatka”. Był dzieckiem wychowanym na wsi z całym jej okrucieństwem. Kochał piękno krajobrazu, ale nie było w nim miejskiej, czasem obłudnej, czułościowości.

*Żyjąc – wdychałem aż do krwi krajobraz za krajobrazem,  
gdziekolwiek spojrzę, pulsuje we mnie ich widok,  
tak, że gotów jestem przyjąć od ziemi swój grób z za-  
ufaniem.*

*Tylko ona, pełna w górach i dolinach, w zieleni i skale  
dawała mi radość,  
ludzie zadawali mi zawsze cierpienie,  
nawet dobrzy – przynosili mi je – swoje.  
Tylko ci, co zginęli, są dla mnie łagodni.*

(Wtedy nie znał jeszcze mojej Mamy).

Pokazywał mi świat przyrody, kiedyś wieczorem po raz pierwszy usłyszałam słowika. Szliśmy drogą w Oborach, zapamiętałam ten moment na zawsze, niedługo potem po raz pierwszy dostrzegłam, że światło Księżycy może dawać cień, było to cudowne.

W *Pismach rozproszonych* widać, jak wieloma sprawami się interesował. Pamiętam, jak entuzjastycznie się łądowniem człowieka na Księżycu. Armstrong ze swoim nazwiskiem był jak pradawny heros. Dla mnie nie było to nic nadzwyczajnego, ale Tacie potwierdzało to wiarę w możliwości człowieka. Teraz widać, że rzeczywiście ludzie chcą tworzyć, w Internet można wrzucić wszystko, raz jest to lepsze, raz gorsze. Krzemowa pamięć wszystko znieśie.

Najważniejsza była zawsze poezja, do końca interesował się twórczością młodych, poszturchiwał ich trochę, by nie wpadali na płycizny. Po śmierci grupa młodych ze środowiska Hybryd nadała mu tytuł Księcia Poetów. To jeszcze jedno z moich znalezisk w papierach. Pewnego razu zjawili się panowie z Komitetu Noblowskiego, ale Tata niedługo potem zmarł. Pewno ta pierwsza nagroda by go bardziej ucieszyła, choć druga pozwoliłaby wymienić mieszkanie, bo ostatniego roku choroba wieńcowa nie pozwalała mu już wspinać się na trzecie piętro w bloku. Wtedy mieszkał w Oborach, do których przyjeżdżaliśmy z Mamą. Wcześniej jeździliśmy razem na wakacje nad morze, do Juraty, Ustki, dwa



Ojciec i ja w Oborach, 1969

razy byliśmy w Sozopolu, raz w Jałcie. Z wyjazdu na Krym Tata bardzo się cieszył, bo mógł podążyć tropami Mickiewicza. Był kiedyś w Krzemieńcu. Wielcy Romantyzmu byli mu bliscy. Pisał, że jeśli chce się zanurzyć w poetyckiej polszczyźnie, czyta Mickiewicza.

Na wakacjach Tata chodził rano pływać, ja z Mamą szłam później na plażę, on miał spokój, żeby pisać. Widzę go, jak siedzi pod pergolą małego domku Baby Dimki, szczupłej Bułgarki, zawsze w czarnej sukni, z siwymi włosami gładko uczesany w kok. Pachniała czosnkiem i oliwą. Tata bardzo ją lubił, pewno przypominała mu matkę. W domku była tylko zimna woda na podwórku i sławojka, ale przy południowym powietrzu i morzu niepotrzebne były żadne inne wygody.

W Warszawie brał mnie na spacer, z drugiego naszego mieszkania było niedaleko do Łazienek. Ciągłe rośnie tam jego drzewo – olbrzymie Orodło. Drzewa nie mają śmierci zapisanej w komórkach.

Często wyjeżdżał na spotkania autorskie, także dla chleba; do końca był żywo zaangażowany w życie literackie, a także interesował się plastyką. Spotkanie w młodości ze Strzemińskim i Kbro musiało wpłynąć na te zainteresowania. Był współtwórcą, w 1930 roku, w Łodzi, jednego z pierwszych muzeów sztuki nowoczesnej. Swoje prace ofiarowali znajomi plastycy z Francji. Duża była w tym też zasługa Jana Brzękowskiego, z którym przyjaźnił się do końca życia. Czytałam kiedyś listy, które miały być opublikowane. Zwierzał mu się jak pewno rzadko komu. W 1968 roku mieszkaliśmy w Paryżu u Brzękowskich. To był mój pierwszy pobyt na Zachodzie, w innym, bardziej kolorowym i lepiej pachnącym świecie. Razem byliśmy też w Krakowie. Czułam, że chce mi pokazać świat, który był dla niego bliski i ważny. Mówił, jak rzeźba Lilli Wenedy przywodziła mu na myśl Mamę, prowadził po Krakowie z lat jego młodości i późniejszego tam pobytu. Mieszkał tam z pierwszą żoną Bronisławą i dwiema moimi siostrami: Wandą i Julią. Pracował wówczas jako dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej. Zaczynałam być nastolatką, powoli wchodziłam w dorosły świat. Mam wrażenie, że jak każdy rodzic chciał mi przekazać siebie, swoją przeszłość, doświadczenie. Miał być kręcony film o Tacie, mieliśmy pojechać do jego rodzinnej wsi Gwoźnicy, bardzo się na to cieszył. Nie zdążył. Byłam tam pierwszy raz na Jego pogrzebie. Piękno październikowego złotego krajobrazu ratowało



Na spotkaniu autorskim

w tej chwili grozy. Na szczęście mam jego poezję, która lepiej, dokładniej niż jakakolwiek opowieść mówi mi o Ojcu.

Zmarł na zawał na Zjeździe Tłumaczy w Warszawie, któremu przewodniczył. Osunął się na oczach ludzi, którzy rozważali, jak można myśleć

dzięki słowu przekazać drugiemu człowiekowi, łącząc ludzkość, budując wspólnotę. Odpowiednie miejsce na śmierć poety.

*Uta Przyboś*



Uta Przyboś z poetą Mieczysławem A. Łypem – wielbicielem twórczości Juliana Przybosia, opiekunem miejsc Go upamiętniających, Rzeszów 2012



Spotkanie poświęcone pamięci Juliana Przybosia. O Ojcu opowiada Uta Przyboś. Dom Środowisk Twórczych, Kielce 2015

## Pożegnanie Eugeniusza Kabatca (1930–2020)

Na Starych Powązkach spoczął właśnie ten wybitny pisarz, eseista, felietonista i tłumacz literatury białoruskiej, rosyjskiej i włoskiej. Urodził się był w dniu 11 stycznia 1930 w Wołkowysku na Białorusi, gdzie przed 545. laty na tamtejszym zamku dokonał się pierwszy akt Unii Polsko-Litewskiej „w przytomności” Jagiełły i „panów małopolskich”. Ten fakt historyczny wielce zaważył na dalszym Jego życiu i twórczości!

Najpierw jednak, po wojnie, **Eugeniusz Kabatc** zamieszkał z innymi repatriantami w Kwidzynie, skąd trafił w 1948 r. na studia do Warszawy w SGPiS, pracował lat kilka jako ekonomista. Debiutował tomem opowiadań *Pijany anioł* (1957), przyjętym przez krytykę w tym przełomowym czasie naszej najnowszej historii życzliwie i z nadzieją, choć nie bez pewnych uszczypliwości krytycznych, jak i cała twórczość tzw. pokolenia Współczesności (nazwa od tytułu pisma – Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll, Ireneusz Iredyński, Janusz Krasiński, Marek Nowakowski, Roman Śliwonik, Władysław L. Terlecki i in.). Pisał np. z przekąsem Jerzy Kwiatkowski, że „mają w sobie coś z Konopnickiej, coś z pozytywizmu, coś z surrealizmu”. Pierwsze prozy Kabatca zawierały w załączku elementy całej późniejszej formy jego stylu: skłonność do barokowej bujności języka, metaforyzacji, porównań i dyskursywności tonów. W powieściach z lat 60.: *Za dużo słońca*, *Romans*, *Przygoda z Agnieszką*, *Jedenaste przykazanie czy Żółwie* (tu zjadliwy portret środowisk artystycznych stolicy), interesował się psychologią dojrzewania, dylematami wyborów moralnych i egzystencjalnych postaci, żyjących w tych trudnych realiach lat przed- i powojennych.

Poszerzał nieustannie swój literacki *genre*, ciągle podejmował nowe wyzwania jako redaktor „Współczesności” (1960-1968), potem „Literatury na Świecie” (1975-1995). A tematyka i publikacja Jego szkiców: *Oranie morza. Rekonesanse włoskie* (wyd. 1965) przyczyniły się zapewne do tego, że został radcą do spraw kultury w polskiej ambasadzie w Rzymie (1968-1972). To nie przypadek, że publikował potem na kanwie tych nowych doświadczeń ważne utwory, jak *Patrycja, czyli o miłości i sztuce w środku nocy* (1975), *Małgorzata, czyli requiem dla wojowniczk* (1980), *Śmierć robotnika w hotelu*



Eugeniusz Kabatc na jubileuszu 90. urodzin (11 stycznia 2020)  
Fot. Mikołaj Melanowicz

„*Savoy*” (1985). Pojawiają się w nich Włochy lat 70. z ich bujnym i złożonym życiem społeczno-politycznym i kulturalnym (np. terroryzm „Czerwonych Brygad” czy kulisy powstawania głośnych filmów Felliniego). „Groteskowa wieża Babel – pisał Piotr Kuncewicz – mówiąca tyleż o Włoszech, co o psychice współczesnego człowieka”. A polski młody czytelnik otrzymał wtedy od Kabatca barwne prozatorskie freski włoskie: *Autostrada słońca* (1979), *Filip i Dżulietta* (1968), *Urowadzenie Dżulietty* (1973).

Pokłosiem tamtego biograficznego epizodu były też wydawane w następnej dekadzie książki – ekspresyjny reporterski zapis podróży na Sycylię z Jarosławem Iwaszkiewiczem w 1979 r. po odbiór włoskiej nagrody literackiej Mondello) – *Pogoda burzy nad Palermo* (1999, wyd. II 2016 z listami Iwaszkiewicza do autora). Pięknie przez Iskry wydana księga *Vinum, sacrum et profanum. Wino w kulturze, wino w naturze, wino na naszym stole* (2003), której tytuł mówi sam najlepiej o autorskich pasjach. Czy też publicystycznie wartki i interesujący, choć dyskretnie

sceptyczny w wymowie, tom *Tajemnice ojca Pio*, ze wstępem o. Wacława Oszajcy (1999).

Bardzo istotnym i trwałym znakiem bezpośredniego zetknięcia się Kabatca z kulturą zachodnio-europejską stały się prozatorskie utwory pisane na przełomie XX i XXI w. Należy do nich powieść *Czarnoruska kronika trędowatych* (2002) – historyczna i współczesna zarazem, wywiedziona z doświadczeń autobiograficznych, kresowego rodowodu. Sam pisarz staje się tu jedną z głównych postaci utworu, będącego próbą literackiego zerwania z tradycyjnym polonocentryzmem; upominania się o prawa do tożsamości milionów ludzi urodzonych na tzw. wschodnich kresach Rzeczypospolitej, do rozbijania stereotypów o kraju i narodzie „wybranych”, cierpiętniczym. Utwór z wpisnymi dyskretnie pierwiastkami historiozoficznymi, fantastyki historycznej (spod znaku m.in. Teodora Parnickiego) oraz aluzjami literackimi m.in. do *Imienia róży* Umberto Eco, pism teologicznych średniowiecza, a nawet i samej *Boskiej komedii* Dantego – jako świadectw różnorodności i wspólnoty korzeni tradycji drugiego, bizantyńskiego (prawosławnego) „płuca” dzisiejszej wspólnoty europejskiej i narodowej. Przykład niewygasłej siły owego kresowego *genius loci*, tego „magicznie” twórczego miejsca (nazwanego dziś niekiedy Wielkim Księstwem Literackim), przywoływanego w XX w. przez takich pisarzy jak Andrzej Kuśniewicz czy Włodzimierz Odojewski... W równie wybitnym utworze – apokryficznym i zarazem dokumentalno-fabularnym – *Ostatnie wzgórze Florencji. Opowieść o Stanisławie Brzozowskim* (2011), szuka i znajduje Kabatc *sojusznika* w tym widzeniu złożoności spraw polskich, myśleniu o wadze „spraw wschodnich”. Ukazuje bowiem postać tego wielkiego myśliciela, pisarza i krytyka stereotypów narodowego myślenia,

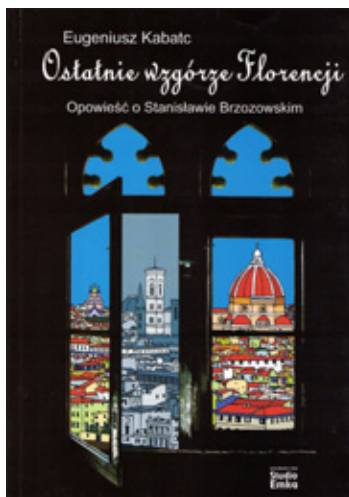
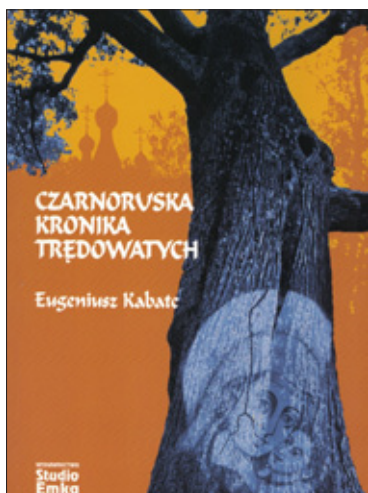
człowieka uporczywie i oszczerco oskarżanego przez prawicę o „zdradę narodową”, silnie uczulonego na wszelkie jednostronności kulturowej ksenofobii. Widzimy go tutaj w dramatycznych latach ostatnich wyteżonej pracy intelektualnej i niełatwego życia osobistego, czasu spędzonego wraz z żoną i córeczką na florenckim „wygnaniu”. Staje się naturalnym dla Kabatca partnerem debaty nad nadal aktualnymi problemami polskiego życia zbiorowego; „potępieńczymi swarami” ostatniego stulecia, obecnością ich historycznych źródeł zatruwających jak kiedyś rzeczywistość form narodowego bytu.

Eugeniusz Kabatc był wieloletnim sekretarzem generalnym Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), a po śmierci prezesa Józefa Szajny, od 2008 r. jego następcą, członkiem władz międzynarodowych SEC; działaczem społecznym wielkich zasług dla naszej kultury i międzynarodowej współpracy kulturalnej. Niestety niezbyt docenianej przez nasze obecne ministerialne agendy kultury.

I – *last not least* – był człowiekiem ogromnej prawości i charakteru (nie słyszało się nigdy, by o kimś mówił źle, nawet gdy był atakowany – jako zwolennik lewicowych tradycji kultury polskiej – przez przeciwników politycznych lub pospolitych koniunkturalistów). Do końca pozostawał, mimo trapiącej go choroby i trudności z poruszaniem się, człowiekiem aktywnym; 11 stycznia uroczyste i tłumnie obchodziliśmy Jego 90. urodziny (wraz z promocją II wydania zbioru felietonów *Popołudnia filozofów*, wyd. „Res Humana”). A jeszcze 5 marca omawialiśmy z Nim na zebraniu zarządu SEC sprawy związane z przygotowywaną Iwaszkiewiczowską sesją z okazji 40. rocznicy śmierci pisarza...

Żegnaj, Przyjacielu!

Janusz Termer, członek zarządu SEC





## Pożegnanie Ireny Żukowskiej-Rumin – niepowtarzalnej kreatorki poetyckiego słowa

W osobie Ireny – której serce zamilkło w 70. roku życia późną nocą 11 bm. – żegnamy członkinię naszego, Kieleckiego Oddziału ZLP, wspaniałą poetkę o znaczącym dorobku, jak też wnikliwą interpretatorkę literatury. Z zawodu cenioną po-lonistkę IV Liceum Ogólnokształcącego w Kielcach. Oddana pracy z młodzieżą, uczestniczyła w naszym życiu literackim, trochę jakby dyskretnie przysłuchując się temu, co w różny sposób prezentowaliśmy. Ale i otwierała się odważnie przed szerszym audytorium, czytając swoje wiersze podczas spotkań promujących kolejne tomiki.

Początkowo były to krótkie liryki, potem – w miarę czasu – fraza owych liryków wydłużała się, w zapisie poszerzała. Impresje emocjonalne wynikły z podglądania teatrum tradycji komedii dell'arte (zawarte w tomikach z lat 1996, 1999, 2003) – tej tradycji mającej swoje paralele w postawach współczesnych Pierrotów, Kolombin, Sancho Pansów – przeszły z czasem w rozbudowaną refleksję, dyskurs poetyckich opowieści w reprezentatywnym dla tej formy wyrazu zbiorze *Emblema* (2008). Pragnęła szerokiego oddechu i wносиła go coraz śmieiej, okazała do takiegoż metrum swoistych opowieści o zakrzepłym w pamięci czasie z niedawnej przeszłości, podpatrzonym ze współczułym zaciekawieniem celebrowaniu powszednich rytuałów w okolicach z pogranicza wsi i małych miasteczek.

Podziwiałem ją za to, doceniając inwencję artystki słowa, która – poszukując coraz to innej, niż właściwe Jej wcześniej, formy narracyjnej kreacji – ma znów coś innego nam do po-wiedzenia. Wnosiłem o przyznanie Jej – dwukrotnej stypendystce Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – nobilitującego twórców odznaczenia: Brązowego Medalu Gloria Artis, wręczonego uroczystie w ubiegłym roku podczas gali w Kieleckim Centrum Kultury z okazji jubileuszu 35-lecia naszego Oddziału ZLP.

Przed zaledwie trzema miesiącami z napiętą uwagą towarzyszyłem wraz z Marianem Ruminem Jej sesji nagraniowej w Wojewódzkim Domu Kultury – z którym też była owocną pracą długo związana – w formule starannie przemyślanej i przekazanej medialnie autoprezentacji. Mamy więc nieoceniony dokumentarny zapis foniczno-wizualny Jej ostatniego resume: rozmowy niej-



Irena Żukowska-Rumin z mężem Marianem i Arkadiuszem Szostakiem na spotkaniu literackim w WDK (17.02.2020)

Fot. Dagmara Głodowicz-Mazurek

ko samej ze sobą, konfrontującej autorskie credo z wybranymi opiniami krytyków literackich. To było dla niej również przygotowywaniem się na osobiste jubileuszowe 70-lecie. Miało być spełnione spotkaniem z publicznością, takie choćby zdalne, na jakie pozwolą ograniczenia pandemii. No, a tu taki traf, fatum losu, zatrzymanie akcji serca i... pozostawienie nas-przyjaciół zaskoczonych przedwczesnym odejściem, do głębi przejętych smutkiem bolesnej utraty.

Za prędko, Irenko, to się stało! W samym rozkwicie Twoich dalszych twórczych możliwości. Jakże bezlitosne są bezduszne zrządzania nieszczęsnych przypadków, sprawiane niemiłosiernie przez głuchy na obiecujący ciąg dalszy i ślepy na piękno perspektyw Los! Nieprzewidywalny i nieprzeblągany. Los, z którym każdy z nas staje w zawody o nierównych szansach.

Jedno jest pewne: nikt lepiej nie potrafi wyrazić tego, co poetycko zamierzałaś. W numerze 3-4 „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” z ubiegłego roku w kolumnie Twoich nowych utworów pomieściłem taki szczególny pt. *Narodziny wiersza*. Oto dwa jego fragmenty ukazujące całą nieodgadnioną złożoność frapującego aktu tworzenia. Przypomi nam je teraz:

Najpiękniejszy jest wiersz  
kiedy się rodzi  
Jak zawsze  
nie ma pewności skąd przybywa

ani w którą stronę pójdzie  
Zupełnie nie są znane słowa  
do jego przyobleczenia  
[...]  
Nie da się nawet wiersza opisać  
poprzez rozbłysk światła  
za którym się podąża  
w pierwszym odruchu  
ani nazwać tajemnym wołaniem  
na przekór wszelkim wiedzom i niewiedzom

Świadoma nierozszyfrowywalnych do końca tajemnic metafizyki tworzenia, odchodzisz w swym niedospełnieniu osobna i niezastąpiona. Dlatego tak boleśnie przeżywamy utratę Ciebie w gronie zafascynowanych Twym talentem przyjaciół.

Co mogę zrobić na koniec dla Ciebie, czując na sobie zawistne spojrzenie Losu, z którym sam również toczę ustawiczny i nieustępliwy bój? Na pewno mogę powiedzieć swój wiersz na to nasze bolesne rozstanie. Posłuchaj:

Odchodzisz niezastąpiona  
i pustka po Tobie dolega  
jak nieogłębiona się rana.

Patrzmy po sobie niemo,  
czemuś nas opuściła,  
tak ufnych, bez uprzedzenia.

### **Ze wzruszeniem wspominam zwierzenie autorki zamieszczone w wydany przez nas w 1999 r. tomiku *Kolombina*.**

Stanisław Nyczaj uśmiecha się zyczliwie, abym napisała kilka słów od siebie, co nie jest sprawą łatwą ani prostą. Od kilkunastu lat zajmuje mnie bowiem nie pisanie, ale uczenie młodzieży. Szkoła, jak to zauważył już przed wojną Bruno Schulz, dawno przestała być instytucją egzystującą na uboczu: „Odkąd porosła w pierze, rozzuchwiała się bezwstydnie, stała się wymagająca, ma coraz wyraźniej pretensję do wypełniania sobą życia człowieka. Nie znosi konkurencji”. Toteż moim głównym zajęciem nie jest pisanie. Jeśli już piszę, to są to drobne wiersze lub artykuły o charakterze metodycznym, ale w zasadzie nie zdarzyło mi się dotychczas wystąpić w roli krytyka zajmującego się własną twórczością ani formułować jakiegось poetyckiego programu na osobisty użytek. Moje wierszowane pisanie jest jakąś próbą opisanania świata, a tym, co mnie szczególnie interesuje, są relacje między ludźmi i pejzaż wewnętrzny człowieka. Co więcej, spodziewam się, że piszę jedynie o tym, wciąż o tym samym, jakby nic innego na świecie nie istniało,

Los w kącie niczym Sfinks milczy.  
Nieprawda, że kpi, że zwodzi,  
że czegokolwiek jest pewny.

Czas bieg wskazówek zatrzymał,  
jakby chciał cofnąć – bo rana  
nie chce się w sercach zablźnić.

Żegnaj, droga Irenko, zaskarbiając swemu skołatanemu sercu wszystkie te wieńce i bukiety, emanujące wiewem niewy-powiedzianego żalu, ale i w swej woni i blasku pełne piękna, jakie również tu dzisiaj pragniemy dla Ciebie roztoczyć. Piękna, którego sama nam nie skąpiłaś, układając je w bukiety swych poetyckich strof. Zostawiłaś nam go niemało, zakłętę w okładki tomików i płyty z nagraniem własną recytacją, przepelnioną emocjonalną autorefleksją.

Za każde utrwalone słowo dziękujemy Ci – jego niepowtarzalna kreatorko – z głębokim wsłuchaniem się w wyrażany przezeń sens i melodykę niosącego jego przesłanie rytmu, z przejmującym wzruszeniem.

W imieniu własnym i grona świętokrzyskiej literackiej rodziny

*Staszek Nyczaj*

PS W tegorocznej edycji konkursu literackiego pn. Małopolska Nagroda Poetycka „Źródło” Jej wiersz pt. *Szuflada* uzyskał wyróżnienie.

szukając najodpowiedniejszej formy, aby najtrafniej rzecz wyrazić. Trudno więc byłoby powiedzieć w tym kontekście, że ten skromny tomik jest kontynuacją poprzedniego. Jest nowym pisaniem o sprawach, które mnie zajmują stale. Nie zakładam ani nie wyobrażam sobie żadnego czytelnika moich wierszy jak nie zakłada się obserwatora własnych myśli, doświadczeń i przeżyć. Czasami jednak, a zdarza się to niezwykle rzadko, spotyka się wiersze, które czytający uznaje za szczególnie sobie bliskie. Oho, mówi, przecież myślę i czuję identycznie. Czemu to ja tego nie napisałem. Jeśli więc myśleć trzeba byłoby o czytelniku, to może o takim właśnie albo o czytelniku zwyczajnie ciekawym aktywności literackiej innych. Jest mi niezwykle miło, że Marek Wawro zaszczyił moje pisanie swoimi pracami. Scenę teatru, scenę poezji, scenę dzieła plastycznego, a zapewne i scenę życia wypełnia ten sam żywioł, choć na każdej z tych scen mówi się innym językiem. Jeśli uda się właściwie odczytać język, można przybliżyć się do istoty. Mam skromną nadzieję, że moje wiersze łączą duch z literą.

*Irena Żukowska-Rumin*

# Wspominamy Stanisława Bartosa (1934–2020)

Dwugłos o ostatniej Jego książce pt. *Barwnym życiem pisane*,  
która ukazała się tuż przed śmiercią Autora

Krystyna Cel

## Sentymentalny rozrachunek

*Barwnym życiem pisane* Stanisława Bartosa to wspomnieniowa książka zawierająca te fragmenty z życia autora, które najbardziej utkwiły w jego pamięci i do których zawsze powracał. Teraz, nadając im literacką formę, opowieścią sfabularyzowaną, pozwolił zaistnieć im na nowo i w ten sposób ocalić od zapomnienia. Lektura tych wspomnień dowodzi, jak ważną jest ta pierwsza, najbliższa „mała ojczyzna”; z niej wszystko bierze swój początek i to ona zostaje już w sercu na zawsze.

Wspomnę tu, że orędownikiem tych właśnie „małych ojczyzn” był nie kto inny, jak Stefan Żeromski, który właśnie z ukochanej świętokrzyskiej krainy czerpał ożywcze soki do swoich książek, a ich bohaterów niejednokrotnie prowadził ścieżkami swojego dzieciństwa i młodości.

Dla S. Bartosa to ziemia opoczyńska ze swoimi jakże niegdyś biednymi, zgrzebnymi wioskami, oddalonymi od cywilizacji jest tą właśnie „małą ojczyzną”. Leżąca na krańcach świętokrzyskiej krainy przyciągała jednak ludzi, którzy tu właśnie chcieli, idąc śladami pozytywistów, nieść kaganek oświaty. Stanisław Bartos w tej autobiografii oddaje im niejako hołd, bo niektórym z nich wiele zawdzięcza.

Ale zacznijmy od początku. Autor urodził się w Ossie, niewielkiej wiosce, w wielodzietnej chłopskiej rodzinie. Już jako dziecko poznał biedę i ciężką pracę. Ale poznał też i wspaniałą szkołę w pobliskich Lipinach – to właśnie ona go ukształtowała rozbudzając w nim wiarę w możliwość polepszenia swego losu dzięki zdobyciu wykształcenia. W rozdziale zatytułowanym *Pod opiekuńczymi skrzydłami dr Heleny Spoczyńskiej* autor opowiada o wybitnej pedagog, założycielce lipińskiej szkoły średniej i pierwszej jej dyrektorce. S. Bartos jest też autorem książki *Niepokonana Szkoła Lipińska w oczach absolwentów*.

Skoro wspominałam tu o tej właśnie Szkole, to przecież w czasie jednego z kolejnych jej odwiedzin zrodził się pomysł opisania swojego życia. *Barwnym życiem pisane* zaczyna się właśnie od momentu zadumy i refleksji po „pełnym rochoconego

gwaru kolejnym jubileuszowym zjeździe koleżeńskim w lipińskiej szkole”. Rodzi się pomysł na „sentymentalny rozrachunek”, gdy przed autorem otwiera się na nowo całe jego dotychczasowe życie. A obfitowało ono w niemałe sukcesy, gdy np. jako członek opoczyńskiego zespołu tańca objeżdżał z nim całą Polskę. A więc te młodzieńcze artystyczne i późniejsze zawodowe, gdy pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji.

Piękną kartą w życiu Stanisława Bartosa jest założenie w 1987 roku Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej, którego był długoletnim prezesem. Klubu nawiązującego do przedwojennych pięknych tradycji Koła Kielczan, zainicjowanego w 1924 roku przez grupę z udziałem Stefana Żeromskiego, a zarejestrowanego jako stowarzyszenie w czerwcu roku 1925. Dopełnieniem tego twórczego życia i wielkiej ofiarności Stanisława Bartosa dla znakomitych przedsięwzięć Klubu stała się również i... poezja, bo jest autorem takich zbiorów poetyckich, jak: *Słoneczne powroty* (2013), *Niedokończona tęsknoty* (2014), *Strofy spełnionych marzeń* (2016).

W *Słowie wstępnym* do tej najnowszej książki S. Bartosa Stanisław Nyczaj pisze: „Znamienne w przypadku autora jest to, że nawet w zaferowaniu odpowiedzialnymi funkcjami urzędowymi na szczeblach regionalnych i centralnych umiał znaleźć czas na spełnianie tkwiącej w nim jako silny impuls potrzeby duchowej artystycznego spełniania się. Wyżywiania najsamprzód w ludowych zespołach pieśni i tańca, co nie było zwykłym odprężaniem się, a dopiero w istocie dawało autentyczne zadowolenie. Ponadto odpowiadało jego głęboko społecznikowskiej naturze, będącej dlań osobistą, niejako przyrodzoną wartością. [...] Retrospekcja Stanisława Bartosa jest w samoocenach uczciwa, w niczym nieprzesadzona. Ma przy tym walor szczególnie uskrzydlający wyobraźnię Czytelników – poetyckimi strofami przemawiającymi do serca”.

Stanisław Bartos: *Barwnym życiem pisane*. Wstęp i opracowanie redakcyjne Stanisław Nyczaj. Liczne zdjęcia. Kielce 2020, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 136.

## Z wiarą, uporem i nadzieją w zmaganiach

Ze wzruszeniem patrzę na okładkę tego wspomnieniowego wydania. Nie znając jego treści, wydawać by się mogło, że opisy w nim będą kolorowe i optymistyczne. Stanisław Nyczaj w słowie wstępnym wyjaśnia, czym jest lipińska nostalgia autora – „czułym obejrzeniem się na całe własne, przebogate w ciekawe zdarzenia życie”. Dodałabym, znając autora, życie pełne rozważnych przemyśleń, zmierzających do osiągnięć na miarę własnych możliwości, a wszystko po to, by zapewnić lepszy byt najbliższej rodzinie. Dziś odczytuję to jako zaczyn ku szczęśliwшему życiu w starości.

Stanisław Bartos panicznie lękał się powtórzenia życia z młodszej niedoli. Lękał się także samotnej starczej niedołężności. Zagłębiał się też bez reszty w tkwiące w nim literackie predyspozycje, które radowały go nieustannie. Czy to mu się udało? Tylko on może to odczuć. W kolejne lecie urodzin przesłałam mu wiersz z lat młodszych pt. *Tamte żniwa*. Dziś pasuje on do treści i obrazu okładki o nieco przewrotnym tytule, po którym można by się spodziewać życiowych wydarzeń wpływających niemal sielankowo. Teraz bardziej będzie się z tym tytułem komponował najnowszy mój dedykowany Stanisławowi wiersz *Barwy morza*:

Jakże melodyjnie się układają  
morskie fale w swoim  
porannym przebudzeniu

jeszcze leniwe  
jeszcze ospałe

a już swoje delikatne poszycie  
promykami słońca utkane  
kapryśnie ścielą frywolnie rozrzucają  
po ciepłym złotym piasku

i lśniąc niczym perły  
zanurzone w błękitach

ukochałeś te barwy  
uciekające aż po horyzont  
to dla ciebie  
dziś wynurzają się

i w swoim pełnym rozkwicie  
do tańca zapraszają



W życiu autora uciążliwa bieda i bezradna dziecięca samotność były niezwykle, powiedziałabym nawet, prowokacyjne w jego późniejszym życiu. Nasuwa się filozoficzne przesłanie Heraklita: „Gdybym nie miał nadziei, nie osiągnąłbym tego, co wydaje się nieosiągalne”. Wyczuwam pełną wiarę, upór i nadzieję w zmaganiach Stanisława Bartosa w pokonywaniu kolejnych etapów życia. Dlatego też nie dziwi, że kiedy dostał ważnych stanowisk rządowych i kiedy założył i przesował przez wiele lat Warszawskiemu Klubowi Przyjaciół Ziemi Kieleckiej, spełniał głoszone przez siebie motto: „pomagać potrzebującym”. Tak oto z wielkim zaangażowaniem śledził i wspierał materialnie założony przez księdza Jana Mikosa ośrodek dla bezdomnych rolników w Skoszynie, który pensjonariusze uważali za swoje gospodarstwo i najpiękniejsze miejsce na Ziemi. Odczuwał empatię dla wszystkich potrzebujących, czuł się również zespolony z opoczyńską ziemią, która była jego najbliższą ojczyzną.

Znam każdy jego wiersz. Czasem coś dorzuciłam do jego poetyckich zmagani z słowem. W swoich lirycznych zapisach przejawiał bezgraniczną miłość do krajobrazów z młodości. Często w jego poezji pobrzmiwała muzyka, której obrazy tanecznych melodii regionalnego folkloru stawały się żywe. Czuły był na piękno śpiewanych ludowych mądrości i te mocno pielęgnował w swoim życiu.

Był również animatorem tradycji i kultu swoich rodzinnych stron. Regionalne mądrości przekuwał w ludowe przeżycia.

Stanisław Bartos, przeczuwając nieuchronność przemijającego czasu, miał jeszcze marzenie napisania książki o szerszym spojrzeniu regionalnym pt. *Tradycja i przyszłość* obejmującej województwo świętokrzyskie. Kończąc swoją wypowiedź, chcę podkreślić również ważne miejsce, jakie w życiu Stanisława Bartosa zajmowała znajomość ze Stanisławem Nyczajem. Wielokrotnie spotykał się z nim w Warszawie czy Kielcach. Z owych spotkań wyciągał nową inspirację do swojej twórczości.

## Rozmyślania



## Rafał...

*Jakoś nekrologowy zrobił nam się ten listopadowy numer „Gazety Kulturalnej”. I nie stało się to za sprawą miesiąca pamięci i zadumy... Spotęgował to także ten trudny czas pandemii, w której znaleźliśmy się wiosną, a kiedy tkwimy w niej do teraz, nie wiedząc nawet kiedy się to wszystko skończy...*

*W ostatnich dniach zmarli: Stasiu Grabowski, Mirek Gontarski, Wojciech Pszoniak, Dariusz Gnatowski... i Rafał Orlewski – wieloletni współpracownik naszego pisma... To wielka strata dla naszej literatury...*

## Andrzej Dębkowski

17 października br. zmarł **Rafał Orlewski** – polonista, poeta, prozaik, eseista. Z Rafałem znałem się chyba ze trzydzieści lat, kiedy poznałem go podczas jednego z konkursów literackich „Rubinowej Hortensji” w Piotrkowie Trybunalskim. Jakoś od początku naszej znajomości nadawaliśmy na tych samych falach, gdyż zawsze było mi bliżej do tradycyjnej wizji literatury, a Rafał to przecież literat jakby z poprzedniej epoki... Ale nie jest to zarzut, gdyż ileż to już kolejnych pokoleń wychował, pokazując i ucząc, że kultura języka, to coś, co powinno w nas – poetach, pisarzach – być na co dzień. To on przywiązywał wielkie znaczenie do najdrobniejszych pisarskich niuansów, jak wielkie znaczenie w literaturze mają kropki, przecinki, myślniki, interlinie, akapity itp. A listy, które zawsze pisał własnoręcznie – to były istne dzieła sztuki kaligraficznej.

Odszedł człowiek niezwykle, którego będzie bardzo brakowało, a do dzisiaj pamiętam Jego słynne powiedzenie: *...najpierw czytaj, a dopiero później pisz...* Jakże to aktualne w czasach, kiedy jest akurat zupełnie odwrotnie...

Był patronem Prywatnej Szkoły Podstawowej w Piotrkowie Trybunalskim oraz Honorowym Obywatel miasta. Autorem ponad 40 książek i wielu publikacji prasowych,

laureatem i jurorem konkursów poetyckich, redaktorem i wydawcą książek indywidualnych i książek zbiorowych, opiekunem adeptów pisarstwa, współtwórcą grup literackich: „Grabia 59” (Łask), „Karawana” i „Wiadukt” (Łódź), „Pomosty” (Piotrków Trybunalski). Był także animatorem amatorskiej twórczości artystycznej, współautorem pieśni i piosenek, w tym harcerskich i zachowawczych oraz hymnów kilku szkół. Jego wiersze tłumaczono na język białoruski, rosyjski i włoski. Miał 86 lat.

Urodził się w 1934 roku w Przybyłowie koło Łasku. Był absolwentem filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego oraz nauk społecznych w Warszawie, nauczycielem szkół podstawowych i licealnych. W 1971 roku zamieszkał w Piotrkowie Trybunalskim.

Podczas II wojny światowej przeżył kilka obozów niemieckich i przymusową tułaczkę aż po Alpy Francuskie. Od 1946 roku działał w harcerstwie.

Za swą działalność został odznaczony dwukrotnie, m.in.: Złotym Krzyżem za Zasługi dla ZHP oraz Zasłużony dla Hufca ZHP Piotrków Trybunalski. Był wieloletnim harcerzem, a następnie instruktorem Hufca Łask. Uczestnikiem Zjazdu Łódzkiego w 1956 roku. W latach siedemdziesiątych zaczął pełnić służbę jako drużynowy, a następnie komendant Gminnego Związku Drużyn w Sulejowie. Wieloletni członek Komendy i Rady Hufca Piotrków Trybunalski. Autor wielu wierszy i tekstów piosenek o tematyce harcerskiej w tym dwóch Hymnów Hufca. Całym sercem służący Ojczyźnie wychowawca wielu harcerskich pokoleń.

Z ważniejszych książek opublikował m.in.: „Krzesiwo” (Łódź 1969), „Igliwie” (1972), „Nad Grabie fraszka wabię” (1985), „Ściernisko” (1985), „Zduńskowolnie – swawolnie” (1986), „Z miłością brata” (esej, 1991), „Krag tęczy” (powieść dla dzieci, 1991 i 2005), „Piękna Brzydula” (opowiadania, 1993), „Leptony” (utwory satyryczne, 1998), „Wzloty z podglebia” (esej, 1999), „Diminuendo” (poezje w wersji polsko-włoskiej, 2007), „Sute Mosty” (powieść, 2007).

W 1986 roku otrzymał Złotą Wieżę Trybunalską, w czerwcu 2003 roku tytuł Honorowego Obywatela Miasta Piotrkowa Trybunalskiego, a w 2008 roku, przy okazji jubileuszu 50-lecia pracy twórczej – odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Wychował wielu czytelników i miłośników poezji. Młodym poetom pomagał w rozwoju literackim i debiutach książkowych. Był członkiem Związku Literatów Polskich, sprawował również warsztatową opiekę nad Klubem Literackim „Zakole” przy Wojewódzkim Domu Kultury w Piotrkowie.

O jego twórczości pisali wybitni krytycy, literaturoznawcy, pisarze i dziennikarze.

## Głos Witolda Stawskiego:

*Zmarł Rafał Orlewski... Człowiek, któremu zawdzięczam pisanie wierszy. Dawno temu pokazałem mu próby zapisywania swoich przemyśleń. Pokreślił, popisał na marginesie i gdy myślałem, że wyrzuci do kosza, powiedział: „pisz, to jest poezja, tylko trzeba nad tym jeszcze popracować...”. I tak zostało. Piszę, ale pamiętam „o przegadanych wersach”, o wielkiej roli spójnika i kropki, o tym, że wiersz „musi odpocząć”, zanim pokaże go światu.*

*W dzisiejszych czasach coraz więcej ludzi mówi, że nie ma już autorytetów. Rafał był i zostanie dla mnie autorytetem w dziedzinie poezji. Ze względu na profesjonalizm, dbałość nie tylko o słowo, ale o każdy znak. Do tekstów swoich i cudzych podchodził z taką powagą, jakby od tego zależały losy literatury światowej. Byłem dla Niego nie tylko poetą, proszącym o redakcję tomików i recenzję, ale też autorem wstępów do Jego książek, projektantem okładek, „składaczem i łamaczem”. Wtedy uczyłem się najwięcej. To była trudna, ale jakże wartościowa współpraca. Wykładał się o każdy szczegół, tłumaczył dlaczego musi być tak, a nie inaczej. Ingerował nawet w projekty graficzne. Zamknięty od lat w czterech ścianach żył swoją pasją, złożył się na to co wokół, ubolewał nad upadkiem ideałów, sztuki i literatury. A jednak robił dla tej literatury wszystko. Codziennie. Podziwiałem determinację. Nasze rozmowy telefoniczne trwały godzinami i trudno było je skończyć.*

*Dzięki Niemu rozumiem czym jest „warsztat literacki” i potrafię odróżnić poezję dojrzałą od dojrzewającej. Rafał nie był moim nauczycielem, był mistrzem, od którego mogłem zawsze nauczyć się czegoś nowego.*

*Chciałem go zaprosić do rozmowy na moim „przystanku KORONA W”, ale nie dotarł... Śmierć wyznaczyła mu własny przystanek...*

## Głos Aleksandry Fidziańskiej:

*...nie zgubię twego adresu...*

*W tysiącach słów zapisanych przez Rafała Orlewskiego pewną ręką i wielkim sercem, odnajdywałam pasję i radość tworzenia kpiącą z wieku i kapryśnego zdrowia, niezgodę na przeciwności losu i determinację w wydawaniu kolejnych książek. Listy, które przez dziewięć lat fruwały między nami, były jak postać niosący dobrą nowinę, warsztatowe dysputy, uśmiech i serdeczność. Jeszcze wczoraj omawiałam z Witkiem Stawskim okładkę do nowej książki Rafała – LIRYCZNE LUSTRO. Jeszcze w niedzielę rozkładałam rękopis, by wiernie przygotować tekst do druku. Przygotuję...*

# Pisarze wspominają Rafała Orlewskiego i Stanisława Grabowskiego

Krystyna Cel

Andrzej Walter

## Życiodajne drzewo

*Rafałowi Orlewskiemu*

Twój wiersz życiodajne drzewo  
co tak dorodnie się rozgałęzia  
strzeliste metafory pną się  
coraz wyżej i wyżej  
a przydane tu i ówdzie epitety  
promieniem słońca prześwitują  
w rozłożystej koronie słów

Twój wiersz życiodajne drzewo  
przyjemnie się schronić  
w jego cieniu



Rafał Orlewski

Kwiaty i znicze

Kwiaty i znicze

Stasiu  
Krytykowi Cel  
na serdeczne pozdrowienie -  
Rafał Orlewski

Bielskiemu Trybunałowi, listopad 2020.

# Wracaj, Stasiu...

Stanisławowi Grabowskiemu (1946-2020) oraz tym, którzy Go kochali



To się nie miało prawo wydarzyć. Jeszcze nie dziś, jeszcze nie teraz, jeszcze zbyt wcześnie i zapytam żałośnie – dlaczego Stasiu nam to uczyniłeś? I jaka jest w tym symbolika, mistyka, wybacz, nie jestem dobry w takich pożegnaniach... a Ty... byłeś przecież literackim tytanem. Nie z tych złotoustych fałszerzy rzeczywistości i nie z tych obrazoburczych herosów fikcji, ani też nie z tych leniwych wieszczów półbogów, potencjalnych Noblistów.

Byłeś tytanem mikroświata prawdziwego aktu twórczego. Rybakiem talentów. Gigantem miłości – ukochania ludzi pióra: bezdyskusyjnie, bezwarunkowo i perwersyjnie dopuszczającym brak wzajemności. Syzyfem pracy u podstaw, pracy nad każdą iskierką literackiego piękna rodzącą się u najmłodszych, a potem i starszych, a nawet i najstarszych. Literatura bowiem była Twoją Świątynią. Domem bez skazy.

Tak wiele mnie nauczyłeś, kochany Stasiu, że dziękować Ci za to nie sposób. Świata tego nie ogarnę, choć bywały też chwile, że potrafiłeś wyprowadzić mnie z równowagi, rozsierdzić, złamać, ale nawet wtedy towarzyszyła mi myśl, idea, przekonanie – Staś przecież chce dobrze, dla pisarstwa, dla tworzywa, dla mnie, dla sprawy i dla tekstu, dla jego literackości, jego wartości, dla słowa, dobroci, prawdy i piękna. Taki był Stasiu. Faktycznie zde gustowany współczesnym barbarzyństwem, ale i przekonany, że tym bardziej trzeba zacisnąć zęby i robić swoje. Z miłości. Z wiary. I wreszcie z nadziei. Nadziei, że sztuka to przedsięwzięcie wieczności.

A zatem jesteś już Stasiu w tej wieczności. Lecisz ponad nami, wiesz już wszystko, pan Bóg Ci tam pomaga pisać książkę nową – przecież wkrótce ją wydamy – wielką książkę Twojego bardzo wartościowego i potrzebnego życia – życia nie dla siebie, życia dla innych, życia dla pisania i życia dla Literatury. Przeczytamy tam to, co zawsze wielu kandydatom na pisarza często mówiłeś w zaufaniu:

## Wstawaj i pisz

Jest trzecia w nocy,  
Ale wstań, nie leń się.  
By na jej cześć ułożyć poemat ze słów.  
W tym jednym jedynym  
Niepowtarzalnym rytmie,  
Który dyktuje ci właśnie do ucha  
Twój anioł stróż.  
Bierz kartkę i długopis, to tak niewiele,  
I notuj słowa, które nie powrócą rano,  
Po przebudzeniu.  
Co się z nimi stanie, nie wiadomo.  
Może poszukają nowego domu.  
A może utoną we śnie,  
Jak ciężki wojenny okręt w morzu  
Trafiony torpedą.  
Dlatego wstawaj i pisz.

A może utoną we śnie, utoną Stasiu, tak jak i Ty kilka dni temu utonałeś, ale to się wcale Stasiu przecież nie wydarzyło. To była tylko jakaś dziwna, nowatorska poezja, złudzenie może, a może nawet fikcja literacka. Wracaj nam tu zaraz Stasiu. Wracaj natychmiast i

Wstawaj i pisz, wstawaj i pisz, wstawaj i pisz (...)

## Autoprezentacja Pelagii Borowskiej

Opublikowałam 7 książek. I wystarczy. Z całego procesu twórczego najbardziej lubię spotkania autorskie, zwłaszcza z młodzieżą. Dorośli czasem zadają kłopotliwe pytania, na przykład o credo artystyczne. Nie wiem jak inni, ale ja żadnego creda nie mam. Po prostu czasem zainteresuje mnie coś tak mocno, że nic tylko się i książkę napisać.

Pierwszy raz przydarzyło mi się, kiedy usiłowałam uczyć języka polskiego w małej wiejskiej szkółce i mieszkalam w wynajętej u chłopca chałupie. Miałam małego synka, który był bardzo towarzyskim niemowlęciem i w dodatku prowadził nocny tryb życia. Kiedy przestawałam go kołysać, on wychylał się z kołyski i gaworzył w swoim tylko dla mnie i dla niego zrozumiałym języku. No tośmy pogadali chwilę, a gdy znów próbowałam zasnąć, on rozpoczynał swoje gaworzenie. Cały czas pilnował, żeby kołyska była w ruchu. Cwaniak! No to poruszałam kołyskę nogą, a żeby nie zasnąć, zaczęłam pisać – „z uchem przy ścianie”. Za bardzo tego ucha wytężać nie musiałam, bo gospodarze nie żalowali sobie decybeli – byli u siebie. Wtedy napisałam swoje pierwsze dwa opowiadania: *Głupi Ksieniu* i *Koniec świata w Wólce Średniej*. A skoro już były napisane, wysłałam je na konkurs i dostałam drugą nagrodę. Później tych nagród dostałam jeszcze sporo, bo wciąż nie byłam pewna, czy to pisanie jest coś warte i chciałam sprawdzić u niezależnego a kompetentnego czytelnika. No i parę złotych się zarobiło, bo dawniej w konkursach nagrody były całkiem przyzwoite, nie to co teraz.

Oprócz synka, jeszcze wiele osób miało wpływ na moje konszachty z literaturą. Pierwszym był profesor Stanisław Żak. Nawet mi wtedy przez myśl nie przeszło, że się kiedyś pisaniem zajmę. Miałam z nim wykłady z teorii literatury. Wykład zaczynał się o ósmej rano, a więc wtedy, kiedy przywoity student jeszcze twardo śpi. A ja biegłam na ten wykład jak na dyskotekę. I nawet nie notowałam, żeby nie tracić wątku. Może dlatego na egzaminie dostałam tylko trójkę. I byłam bardzo szczęśliwa. Później, dużo później poprosiłam Profesora o ocenę mojej powieści *Samosiejka*. Oceniał w zasadzie dobrze, choć nie byłby sobą, gdyby mi paru rzeczy nie wytknął. A ja byłam równie szczęśliwa jak po egzaminie z teorii literatury.



Pelagia Borowska, zamieszkała w Wiośnie k. Radoszyc, była na naszych noworocznych spotkaniach (tu w 2016 r.). Od lewej: Kazimiera Szczykutowicz, Bogusław Pasternak, Pela, Elżbieta Musiał, Irena Paździerz  
Fot. Irena Nyczaj

U profesora Paclawskiego dostałam stopień lepszy od trójki. Bliższą znajomość z nim zawarłam wiele lat po ukończeniu studiów. Pewnego razu, z okazji jakiegoś jubileuszu wygłaszał wykład o mojej twórczości. Bardzo wzruszył mnie tym, że oddał mi swoje honorarium za ten wykład, wiedząc, że przesłałam ciężką chorobę nowotworową. Minęło osiem lat od operacji, a ja wciąż żyję.

Podejrzewam, że w moim wyzdrowieniu swój udział miał ksiądz profesor Bonifacy Miązek – trzeci najważniejszy profesor literatury w moim życiu. Przynosił mi hubę brzoową i kazał pić wywar, a żeby wytargować u Pana Boga moje zdrowie, zadawał wiernym przy konfesjonale za pokutę modlitwę w intencji mojego wyzdrowienia. Pomogło. A teraz odszedł już na zawsze i została po nim wielka dziura w niebie.

Janek Krzysztofczyk, mój sąsiad z wyboru, też mi kiedyś życie uratował, kiedy udar zdradziecko zaczął się na mój mózg. Przegadaliśmy wiele godzin, aż i na niego przyszedł czas i posłałam go pożegnać, a on stygnącą ręką podpisał mi swoją ostatnią książkę.

Bardzo ceniłam sobie znajomość z Julianem Kawalcem i byłam zaszczycona, że napisał mi słowo wstępne do zbioru opowiadań *Historie sprzed pogrzebów*. W swoich listach utwierdzał mnie w przekonaniu, że pisanie to jest to, co powinnam w życiu robić. Czasem tylko podejrzewałam, że mówi tak, aby mi nie sprawiać przykrości. Był bowiem nie tylko Mistrzem Słowa, ale i człowiekiem wielkiej kultury i delikatności.

Przypomina mi się jeszcze wiele osób, które w jakiś sposób z moim pisarstwem były związane. Teresa Opoka – przynajmniej, że mam talent i bezlitośnie wytykająca wszystkie moje literackie błędy. Dziękuję. Stanisław Rogala – w pocie czoła oduczający mnie szkolnej poprawności. Niezapomniany Bogusław Pasternak, który poetą był zawsze – czy to w rozmowie, czy w wierszach, czy w uroczystym milczeniu przy ognisku.

No i – rzecz jasna – Stanisław Nyczaj. Właściwie to on mnie wrobił w to pisanie. Zawsze znalazł sposób, żeby mnie zmusić do roboty. Bo tak naprawdę to ja wcale pisać nie lubię. No to dlaczego pisałam? Tylko ten może mnie zrozumieć, co przez kilka lat pisał cotygodniowe felietony. Dlatego teraz postanowiłam, że koniec z pisaniem, będę uprawiać kwiatki, karmić ptaki, zbierać grzyby i opiekować się moimi trzema psami.

## Złoty strzał

(Fragment najnowszej powieści dla młodzieży  
*Jarzębinowe ścieżki*)

Sara należy do tych niczym niewyróżniających się uczennic, które przechodzą przez szkołę niepostrzeżenie. Są rozsądne, grzeczne, uczą się przeciętnie, w konflikty z rówieśnikami się nie wdają, a po skończeniu szkoły wychodzą za mąż i zostają czcigodnymi niewiastami. Jedyne, co ją wyróżniało, to przynależność do kościoła adwentystów. Ale ona się z tym wcale nie obnosiła, nikogo nie próbowała nawracać, przeciwnie: coraz częściej brała czynny udział w lekcjach religii, a siostra Stanisława bardzo ją chwaliła za biblijną wiedzę. Taka zwyczajna, skromna dziewczyna.

Dlatego cała klasa dostała szoku, kiedy rozniósł się po szkole, że próbowała popełnić samobójstwo. Odratowano ją dosłownie w ostatniej chwili. A wszystko dzięki Zośce, która nie odrobiła pracy domowej z matmy, co jej się dosyć często zdarza. Twierdzi, że szkoda jej głowy na matematykę, zostanie przecież bibliotekarką, więc musi tę głowę oszczędzać, żeby się tego bibliotekoznawstwa porządnie wyuczyć. Wstępuje więc po drodze do Sary, żeby od niej ściągnąć.

Na szczęście drzwi do mieszkania były otwarte. Sara leżała na podłodze nieprzytomna, a obok niej strzykawka z resztką jakiegoś płynu. I list pożegnalny: „Kochani! Przepraszam was za ból, który

wam zadałam. Kocham was wszystkich, ale nie mogę dłużej żyć”.

Zośka nie zastanawiała się ani chwili. Wszczęła alarm i pogotowie było na miejscu w pięć minut. Zdążyli.

O żadnych lekcjach tego dnia nie było mowy, więc Zośce i tak się upiekło, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wszyscy pedagodzy, na czele ze szkolnym psychologiem, wzięli nas w obroty, próbując dociec – co mogło skłonić taką grzeczną i rozsądną dziewczynę do desperackiego kroku?

Może jej kto dokuczył? Może była ofiarą szkolnej przemocy? Albo molestowania seksualnego? A może dyskryminacji na tle religijnym?

Każdy robił pospieszny rachunek sumienia, ale nie znaleźliśmy w sobie winy. W naszej klasie akurat żadnej patologii nie było. Niektóre dziewczyny lubiły czasem nosa zadzierać, a chłopcy wygłupiać się, ale to wszystko mieściło się w granicach szkolnych standardów. Pozostała więc ostatnia możliwość: zawód miłosny.

Zośka nie od razu nam powiedziała o liście pożegnalnym. Nie mam pojęcia, jakim sposobem tak gadatliwa i wścibska osoba potrafiła przez trzy dni utrzymać taką rzecz w tajemnicy? Musiało ją to wiele kosztować. Albo zapomniała z tych nerwów. Przez te trzy dni nie myśleliśmy o niczym innym, jak tylko o tym, czy Sara przeżyje. Wstrzyknęła sobie dużą dawkę narkotyku – tak zwany „złoty strzał” – a przecież ona nigdy z narkotykami nie miała do czynienia. Musiało zadziałać błyskawicznie. Chyba przeżyła tylko dzięki temu, że strzykawka wypadła jej z ręki i nie zdołała wstrzyknąć sobie całej zawartości.

Kiedy już odzyskała przytomność, cała klasa popadła w euforię, a nasza wychowawczyni stwierdziła, że nastąpił cud. I wszyscy przyznaliśmy jej rację. No bo jak inaczej nazwać cały ten splot wydarzeń? Poczawszy od tego, że Zośce nie chciało się odrobić pracy domowej. Że następnego dnia mieliśmy na drugą lekcję i Zośka postanowiła wstąpić do Sary, aby odpisać zadanie. Że drzwi nie były zamknięte, a w strzykawce zostało sporo trucizny. Jakiś niedowiarek uznałby to za zwykły zbieg okoliczności. Przypadek. Siostra Stanisława powiedziała nam, cytując jakiegoś mądrego księdza, że nie ma przypadków – są znaki. Nawet nasz klasowy ateista Franek przyznał, że tym razem cud jednak nastąpił i on musi to poważnie przemyśleć.

Cud czy przypadek – mniejsza z tym. Teraz trzeba było dowiedzieć się, co za palant doprowadził



Sarę do takiej desperacji, że chciała umrzeć. Pomyśłów na ukaranie uwodziciela mieliśmy mnóstwo, gorzej z odgadnięciem tej bolesnej tajemnicy, od której tylko śmierć mogła wyzwolić. Najprościej byłoby zapytać ją wprost, ale nikt nie miał pojęcia, jak to zrobić. Czy będzie chciała z nami gadać? Czy nie wpędzimy jej od nowa w czarną rozpacz? Ktoś nawet rzucił pomysł, żeby w ogóle na ten temat z nią nie rozmawiać – niech sama wszystko sobie w głowie poukłada.

Akurat! Jakby mogła, to już by sobie poukładała. Widocznie doszła do takiego momentu, że dalej ani rusz: lity mur, otchłań bez dna, ani promyka nadziei. A poza tym, mogłaby sobie pomyśleć, że nikomu w klasie na niej nie zależy. A myśmy przecież wszyscy – od Rybackiej po Franka ateistę – modlili się o jej ocalenie. Iść i porozmawiać trzeba – najwyżej nas przepędzi. Wtedy będziemy myśleć, co dalej.

Żeby nie robić wielkiego tłoku, poszliśmy w trzy: Iza, Zośka i ja. Izę wytypowała klasa, jako osobę obdarzoną szeroko pojętą kulturą osobistą. Mnie dołączono do tej delegacji jako przyjaciółkę Izy, a Zośka wprosiła się sama. Po pierwsze – dlatego że to właśnie ona Sarę uratowała, a po drugie – gdyby z nami nie poszła, mogłaby się rozchorować z ciekawości, a to mogłoby z kolei zaszkodzić jej dziecku.

Pielęgniarka pozwoliła wejść tylko jednej z nas.

– Już ktoś u niej jest. Później wejdziecie wszystkie. Zośka wyrywała się pierwsza, ale Iza ją przytrzymała za rękaw i zarządziła:

– Zaraz, zaraz! Powoli! Najpierw wejdzie Kasia. Ty byś za dużo bałaganu narobiła. A ja znów muszę mieć na ciebie oko.

Jak najciszej, na paluszkach weszłam do sali. Sara leżała za płóciennym parawanem, a obok na taborecie siedział pochylony nad nią chłopak i trzymał jej rękę w swoich dłoniach. Poczulałam się nieswojo. Ta pielęgniarka to też mogłaby mieć trochę więcej taktu! Mogła nam powiedzieć, że u pacjentki siedzi chłopak. Może to ten, przez którego chciała się zabić? Zaczęłam się wycofywać w kierunku drzwi. Nie zdążyłam jednak bezszelestnie zniknąć, bo potraściłam jakiś przedmiot i narobiłam hałasu.

– Przepraszam! – szepnęłam, a siedzący przy łóżku chłopak odwrócił się gwałtownie.

– Hubert...?

Dosłownie mnie zatkało. W jednej chwili stanęło mi przed oczami kilka zdarzeń, do których wcześniej nie przywiązywałam żadnej wagi. Sara z Hubertem na ławeczce przed szkołą, a tak oboje

zajęci rozmową, że świata nie widzieli. Żonglowanie cytatami z Biblii na lekcjach religii. A na studniówce to też razem byli! Prawie tego nie zauważyłam, zajęta własną kompromitacją.

Przecież to on! To on zabrał jej serce! Bez niego nie potrafi dłużej żyć, bo – jakby nie kombinować – bez serca się żyć nie da. I księdzem chce zostać – hipokryta jakiś!

Już się zaczęło we mnie gotować i tylko dlatego nie rzuciłam mu w twarz wiązanki wyzwisk, że mi mowę odjęło.

– To ja później przyjdę... – bąknęłam.

– Nie, nie! – Hubert podniósł się z taboretu. – Ja już wychodzę. Trzymaj się, Sara! I wracaj szybko do nas. Będzie dobrze!

Popatrzyłam na niego wzrokiem pełnym pogardy, już miałam na końcu języka jakieś obelżywe słowo, ale powstrzymałam wyraz jego twarzy. Założę się, że były na niej ślady łez. Nie miałam pojęcia, jak zacząć rozmowę z Sarą, więc najpierw spytałam nieśmiało:

– Mogę chwilę posiedzieć?

– Siadaj! Przepraszam, że jestem taka do niczego...

– Nie gadaj głupot! Wyglądasz świetnie.

– Nie o to chodzi. Jestem taka... – szukała w myślach odpowiedniego słowa i właśnie trafiła na cytat z wiersza Szymborskiej, który niedawno omawialiśmy na lekcji. – „...jestem jak okno wypalone”.

– Poczekaj! Wszystko się ułoży. Pomożemy ci!

Mój optymizm chyba ją nie przekonał, bo odwróciła głowę, a po policzku spłynęła jej duża łza. Płacze – a więc nie jest źle!

– Jest ze mną Iza i Zośka. Mogą wejść?

– Tak. Zośka mnie uratowała. Niepotrzebnie... Byłoby już po wszystkim.

– Nawet tak nie mów! Zobaczysz, ile jeszcze dobrego ci się przydarzy!

W pocieszeniu strapionych nie mam żadnej praktyki, dziewczyny zresztą też nie mają, ale wspólnymi siłami udało nam się niedoszłą samobójczynię rozruszać. Usiadłyśmy wokół łóżka niczym trzy wiedźmy i przez co najmniej godzinę kładłyśmy jej do głowy powody, dla których warto żyć, całą naszą mądrość życiową – jaka by ona nie była. Kiedy wyczerpałyśmy wszystkie możliwości, a Sara była ledwo żywa od naszego pocieszania, Zośka zasunęła z grubej rury:

– A z Hubertem to już my się policzymy!

– Nie! – jęknęła chora ostatkiem sił. – Hubert nic tu nie zawinił.

– To kto? – Zośka zażądała wyjaśnień.

– Nikt. Dajcie mi dziewczyny spokój. Chcę odpocząć. Dziękuję za odwiedzinę.

Odwróciła się do ściany i nakryła kołdrą po same uszy. No to wyszliśmy, zapowiadając, że jutro przyjdzie inna delegacja z klasy.

– Dobrze – zgodziła się z rezygnacją. – Tylko nie mieszajcie do tego Huberta. On jest w porządku.

Przez całą drogę powrotną Zośka kombinowała – co mogło skłonić Sarę do tak desperackiego kroku? Iza milczała zawzięcie i widać było, że też kombinuje, a ja już wiedziałam, bo zdążyłam sobie poukładać w głowie wszystkie fakty i domysły, ale słowa nie pisnęłam. Nawet Izie nie wspomniałam o moim spotkaniu z Hubertem w parku, gdzie spacerował ze stuletnią staruszką na wózku. Jakoś tak pomyślałam sobie, że nie powinnam rozgłaszać tej wiadomości – o jego wolontariacie w domu opieki i o jego powołaniu do stanu kapłańskiego. Będzie chciał, to sam powie. Dziw nad dziwy, że utrzymałam taką nowinę w tajemnicy.

Nazajutrz wpadła do szkoły jak burza matka Sary i zrobiła karczemną awanturę. Głównie zrobiła ją dyrektorce, ale oberwało się również siostrze Stanisławie. A tak się wydzieriała, że nie trzeba było przykładać ucha do ściany, by usłyszeć wszystko co do słowa.

Pretensje dotyczyły wolności wyznania, której – jej zdaniem – szkoła nie przestrzega.

– Namieszaliście dziecku w głowie! – wrzeszczała. – Chcicie ją na katoliczkę przerobić! To była taka mądra dziewczyna... Kto wam dał prawo do wtrącania się w jej wychowanie? Złożę na was skargę do kuratorium! Do sądu was powżę!

Trudno spamiętać i powtórzyć cały ten monolog; w końcu dyrektorce brakło cierpliwości i rzekła stanowczo:

– Jak się pani nie uspokoi, to wezwę ochronę! Bardzo nam przykro, że pani córkę to spotkało i zrobimy wszystko, żeby jej pomóc.

– Obejdzcie się!

Wzburzona kobieta energicznie trzasnęła drzwiami i pomaszerowała do wyjścia. Nie zdążyła jednak dojść, bo napotkała na swej drodze siostrę Stanisławę otoczoną, jak zwykle, wianuszkami uczniów. I wtedy jakby diabeł w nią wstąpił. Doskoczyła do zakonnic, chwyciła ją obiema rękoma za habit i zaczęła potrząsać, wrzeszcząc ile sił w płucach: – To pani namieszała mojej córce w głowie! Dziecko mi pani zniszczyła! Ja pani tego nie daruję!

Młodzież otaczająca katechetkę odgrodziła ją natychmiast od napastniczki, która w dalszym ciągu usiłowała dosięgnąć habitu. Wyglądało to wszystko, jakby zamachowiec chciał zaatakować VIP-a, lecz osobista ochrona zadziałała bezbłędnie i zamach udaremniła. Jeszcze chwilę kobieta miotła się, lecz w końcu brakło jej sił i pewnie osunęłaby się na podłogę, gdyby siostra jej nie podtrzymała.

– No już cicho... – mówiła łagodnie, głaszcząc głowę nieszczęśliwej matki wspartą na jej ramieniu. Podprowadziła ją do najbliższej ławki, a uczniom gestem nakazała, aby się rozeszli. No tośmy poszli do klas z ociąganiem, choć skręcało nas z ciekawości – jak też siostra Stanisława obłaskawi zranioną do głębi matkę. No i nie wiemy, jak to zrobiła, ale na pewno się udało, bo na następnej przerwie jeszcze siedziały na ławce i rozmawiały, a matka Sary nawet się uśmiechała. Pożegnały się serdecznie jak stare przyjaciółki.

A mnie wtedy olśniło: „Tak właśnie wygląda charyzma!”. Nie potrafię jej zdefiniować. Po prostu wiem i tyle. Gdyby siostra charyzmy nie miała, rozjuszona matka wydrapałaby jej oczy, o ile nie skończyłoby się gorzej. I na pewno nie ośmieliłaby się chwycić ucznia za ucho i wyprowadzić za drzwi. A gdyby się nawet odważyła, to uczeń otrząsnąłby się i napyskował katechetce, a reszta klasy robiłaby zdjęcia telefonami komórkowymi, które to zdjęcia w okamgnieniu obiegiłyby szkołę. I niebawem dotarły do kuratorium. Tymczasem klasa siedziała jak zamurowana, a uczeń potulnie dał się za ucho zaprowadzić do gabinetu dyrektorki. Dyrektorka, oczywiście, ani myślała kwestionować metod wychowawczych zakonnic, choć metody te trąciły średniowieczem. Dlatego nie zdziwiłam się, że wystarczyła godzina lekcyjna, aby obie kobiety porozumiały się w duchu ekumenizmu.

A Hubert? Czy on też ma charyzmę? Oczywiście! Przecież to było widać od pierwszej lekcji! Nieważne jego szczeniackie wygłupy i złośliwości pod adresem Rybackiej. Ważna jest ta siła, która sprawia, że co Hubert powie – to święte, co zrobi – to genialne. Pogrzeb Kulawego Czeška to też jego robota. On skrzyknął ludzi przez Internet, a potem stanął na czele ogromnej rzeszy młodzieży, a oni poszli za nim jak owce za pasterzem. I dobrze, że zostanie księdzem.

A w przyszłości na pewno biskupem. Tylko charyzmatyczni kapłani mają rację bytu.

*Pelagia Borowska*

## Opinie krytyków

Stefan Melkowski

Wraz z Pelagią Borowską (ur. 1952) przenosimy się w zupełnie odmienny świat. Polonistka, nauczycielka, bibliotekarka i autorka 3. tomów prozy, przedstawia dwa opowiadania ujmujące w ironiczny sposób niektóre zjawiska – jak najbardziej współczesne. Opowiadanie *Zabytek* dotyczy – by tak rzec – życia wewnętrznego naszej biurokracji (tu reprezentowanej przez konserwatora zabytków), dla której płaszczyzna słów (np. przepisów) zupełnie nie pokrywa się z płaszczyzną spraw i działań. Podziwiamy umiejętność autorki ironicznego widzenia i demaskowania ludzkich spraw, szczególnie ich pozorów, jak również szczególny humor wynikający z nieprzystosowania słów do rzeczy. Drugi utwór tej autorki, fragment powieści *Samosiejka* (1997) to ironiczny, bardzo udany portret instytucji tzw. spotkania autorskiego, i to bardzo współczesnego (z lat dziewięćdziesiątych). Nader przenikliwie ukazana została dzisiejsza obyczajowość małego miasta i jego „kultura”. Widzę zadatki na dalszą dobrą prozę.

*Współcześni pisarze Kielecczyny w oczach krytyków*, Kielce 2002, s. 51.

Stanisław Żak

Czwartym laureatem „Świętokrzyskiej Premiery Literackiej” została Pelagia Borowska (1997) za powieść *Samosiejka*. W uzasadnieniu wyboru tej powieści do nagrody wskazywano na autentyzm zapisu małych ludzkich spraw; na sprawność narracyjną oraz umiejętność tworzenia postaci. Autorka uczyniła narratora świadkiem opisanych zdarzeń, co miało – jak się wydaje – zwiększyć wiarygodność świata przedstawionego i samego opowiadacza. Postarała się jednak o wyeliminowanie osobowego piętna narracji i związanego z nim elementu subiektywnego, dlatego ujawniła źródła wiedzy o wykreowanej rzeczywistości: po pierwsze sam narrator jako świadek; po drugie wykorzystane dokumenty. W sumie ma to robić wrażenie swoistej kroniki, zapewnić także obiektywizm przedstawienia. Mamy do czynienia z prozą efektowną, chociaż świat przedstawiony jest dość pospolity.

Jest jeszcze pewien element charakterystyczny w tej powieści, wynikający z owej przeciętności

zdarzeń, mianowicie narracja przystaje do charakteru świata przedstawionego; autorka traktuje chyba tę rzeczywistość – wskazując na to wewnętrzne znaki – jako złożoną z paradoksów, więc bardziej rozrywkową niż tragiczną. Zamykając te pobieżne uwagi o prozie powieściowej Pelagii Borowskiej trzeba przyznać, że jest to dobra proza, z którą można – rzecz jasna – nie identyfikować się, można dyskutować wiele zawartych w niej problemów, ale przecież nie staje się obojętna. Tamże, s. 153.

Julian Kawalec

Przyglądam się uważnie jej [tj. Pelagii Borowskiej] „słowu”, zdaniom, frazom w opowiadaniu *Modliszka* i w innych opowiadaniach; zastanawiam się, jaki to nakaz psychiczny sprawił, że sięgnęła po pióro, jaka to potrzeba wynajęła sobie to pióro, aby własne zapisy wewnętrzne przenieść na papier i dać im formę przeznaczonego dla drugich literackiego wyrazu. Wydaje mi się – i chyba się nie mylę – iż ta potrzeba zrodziła się z jej aktywnego uczestnictwa w życiu, z niecierpliwości skłaniającej do powiedzenia o nim czegoś więcej, niż to, co dzieje się na jego wygładzonej pozorem powierzchni, co łatwo dostępne i nie wymaga zbytnej odwagi i wysiłku wyobraźni.

Jest to więc potrzeba szukania prawdy, która zazwyczaj ma szary, nie różowy kolor. Jest to postawa, która nakazuje wejść, wdrzeć się w życie, a nie zagapiać się wygodnie na obłoki, w szarości życia szukać istoty i piękna.

„Mogłabym to wszystko upiększyć, uduchowić, trochę ocyganić, żeby było bardziej budujące, ale ja muszę dać świadectwo prawdzie – jaka by ta prawda nie była: czy wielka prawda na miarę wieków i światową skalę, czy taka sobie – na jeden sezon w Wólce Średniej, czy tylko moja własna i tylko na dziś. Bo ktoś musi wreszcie całą prawdę mówić.” (*Wieczór z Matką Boską w tle*).

Wymaga to zawsze sprzeciwu wobec utartych myśli i sądów. Pelagia Borowska zdobywa się na ten sprzeciw, umie zrezygnować z własnej wygody, aby pójść tam, gdzie ciężko i trudno. Taką mi się właśnie ukazuje Pelagia Borowska, gdy myślę o jej działalności dziennikarskiej, gdy czytam jej utwory literackie... a takie, gdy czytam jej listy i gdy z nią rozmawiam.

Ze wstępu do zbioru opowiadań *Historie sprzed pogrzebów*. Końskie 1995, Wyd. Marek Czech.



## Autoprezentacja Doroty Kwoki

Dorota Kwoka, poetka, malarka, grafik. Należy do Związku Literatów Polskich O/Kielce. Wieloletnia członkini Zarządu Związku Zawodowego „BUDOWLANI” przy Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Nagrodzona wieloma odznaczeniami, w tym Marszałka Województwa Podkarpackiego, odznaką honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej nadaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz uhonorowana za swą działalność Srebrnym Krzyżem Zasługi przez Prezydenta RP.

Opublikowała następujące zbiory poetyckie: *Otwieranie róży*, *Jestem*, *Na skrzydłach wiatru*, *Za progiem*, *Zamknięte w kufrze*, *Wodospadem*, *Poza bielą* – współautorka wraz z Jadwigą Kupiszewską i Adamem Jańcem książki o Rzeszowie *Jestem rzeką*, oraz wraz z Bogusławem Kotulą *Zobaczyć Rzeszów i...*

### Nienamalowany

Namaluję kiedyś ten obraz  
ale dziś będzie jeszcze niedotknięty

Musnę go twymi rękami  
by na pułapie naszego jestem  
zatrzymał się olejny czas

Wiklinowy fotel rozdziera myśli  
a ja patrząc niewinnie  
czekam z zaschniętym pędzlem  
na blejtram w białej szacie

### Zimowymi malwami

Malwowym zmierzchem mrozu  
maluję mój pocałunek cichy

Czy czujesz pieśczętę  
oszronionych malwowych warg

Słaniam się o mur wyczekiwania  
A ty niczym dorodny dąb  
pochylasz się nad mym drzeniem

Będę dziś zapamiętaną malwą  
którą karmisz zmierzchem i świtem  
bym mogła zakwitnąć na powrót  
na ściennie dębowego ciepła



### Harfa

Zagram dla Ciebie  
jedyne utwór na harfie ogrodu

Pościnał strunami dłoni  
zwiędły kwiatostan  
niczym dni niepotrzebne

Przycupnę nutką ostatniej róży  
z nadzieją na odwilż

### Chciałabym

Chciałabym cię sobą zapieścić  
w szczelinach tajemnicy  
skryć mą kruchość

Chciałabym cię całą sobą zapieścić  
byś był spełnieniem niewiadomego

Chciałabym byś mnie sobą zapieścił  
pod kandelabrem lip pachnących  
i brzoź kłaniających się dostojnością ołtarza

\* \* \*

Jan Tulik

Ciskam się i miotam  
nie znam bólu twego skali  
A ty przychodzisz kilometrami  
zwiędłej młodości

Gorycz zasycha w ustach  
pragnieniem języka  
który milczeniem żegna  
zastygłą tęczęwkę starej żarówki

### Dla ciebie

Powiedziałam  
napiszę ten wiersz kalendarzowy  
dla ciebie

W zmarszczkach minionego  
zamknę niepotrzebne lata

Grabarze zimą klną wykopując  
zmarzlinowe groby  
i jęczą że mają piekło na ziemi

A ja szukam nieba ziemskiego  
z jeżyną ściekającą między palcami  
zapamiętanego lata  
i kwiatów lawendy które kropłą wody  
uratowałeś od śmierci

### Serce

Kamieniem serce to było  
A może ten kamień miał serce

Przemówił do mnie  
głucho jęczącymi brzegami

Kim jesteś

Nie zdążyłam zapytać

Zastygł z zimnym tętnem

Znikł pod lodem samotny

Poezja to osobliwa, jakby nieoglądająca się na mody i trendy, raczej śpiewająca do krzyku, niekiedy boleśnie własna. Twórczość Doroty Kwoki to nagła spontaniczność, szczerość; ekspresja ta pozwala plasować ją w kategoriach naturalności. Zatem to *poetessa natus*, choć nieoddalająca się od ludzkich dokonań, od ewokowania cywilizacyjnych faktów, szeroko pojętej kultury.

Wiersze tej poetki są jednocześnie poszukiwaniem swojego miejsca *hic et nunc*, są szeregiem oryginalnie postawionych pytań o początek i sens ludzkiego bytu. Tak było i w poprzednich jej tomikach, choć w obecnym [*Wodospadem*] nastąpiła jakby sublimacja tematów. Nastąpił pewien akt poetyckiej dojrzałości. Zatem wspomniana spontaniczność nie goni wraz z liściem na wietrze, ona poddana została przez autorkę rygorom poetyckiej formy, literackim kanonom. Jednocześnie wymykająca się schematom, jakby świadomie podkreślająca, że sztuka, mimo iż jest konwencją, potrzebuje brnąć na przelaj, tym samym tworzyć nowe ścieżki.

[...]

Chwile oczekiwania na dobre zdarzenia to także czekanie na wiersz. Bohaterka jednego z nich wyznaje: „Dziś wiersz nie przyszedł / Wersy nie wysuszyły kałuży // Może wiersz narodzi się / na liściu wtulonym / w igliwiu nostalgii poranka”. Ale czy oczekiwanie na wiersz nie jest figurą, która sprowadza się do naszego (zawsze i nieustannie) oczekiwania lepszego dnia? Może również tak. Dorota Kwoka w taki właśnie – osobny i osobliwy sposób – ożywia czytelnika. To empatia wrażliwości wobec wrażliwości innych; zwłaszcza nas, którzy czytają wiersze.

Stach Ożóg

*Na skrzydłach wiatru* to trzecia propozycja poetki rzeszowskiej poetki, grafika, animatora kultury, nadto recytatora. Pozwolę sobie na przypomnienie tytułów poprzednich zbiorów: *Otwieranie róży*, *Jestem*. Czynień to nie bez kozery, owo przywołanie ułatwi mi, choćby w sposób śladowy, prześledzenie aktu kreacyjnego problemów i podmiotów lirycznych. Otóż w dwóch powyższych zbiorach

dominantą twórczą stawało się „ja liryczne”, umiejscowione w bardzo małych, kameralnych przestrzeniach. Rzadko poetka odważała się wychodzić poza prywatność pokoju będącego metaforycznym pałacem wypełnionym komnatami miłości platonicznych, odwagą subtelnych dotyków, szeptem wyznań, komnat wyłożonych brokatem i batysem dorosłej miłości. I do takiego pałacu wyłożonego marmurem słowa zostawialiśmy zapraszani.

[...] Spróbujmy rozkodować metaforyczny tytuł tego zbioru. Zazwyczaj wiatr unosi rzeczy błahe, na tyle lekkie, by swoją siłą udowodnić majestat i potęgę. A cóż przynosi wiatr w wyobraźni artystycznej Doroty Kwoki?

Ten wiatr unosi o wiele więcej niż pierwotnie mógłby udźwignąć. Jest tak silny, że potrafi nanieść na dywan współczesności glinę wysuszoną ludzkimi łzami i spoconym czołem szlachetności przeszłość. Przeszłość imion, przedmiotów, zwyczajów, pamięci.

Często ów wiatr strzepuje ze swych skrzydeł na perski, martwy dywan teraźniejszości, żywą, swoimi kolorami i zapachem, łąkę. Co znamienne, nie kordianowską łąkę „kwietną

a odludną”, a przestrzeń zamkniętą polnymi drogami, cikliwością ptasich trelów, zwierzętami z przydomowej zagrody, lasem tajemnicy. Tajemnicy obrysowanej wiekiem drzew, obleczonej płaszczem kory, w której uwięziono pory roku, dotyki leśnych paproci i stuki dzięciołów wydłubujących miniony czas.

[...] Jestem przekonany, że wrażliwy czytelnik zobaczy nie tylko polany z owym samotnym drzewem, ale poczuje ów wiatr, choć tylko poetycki, ale to on przywieje mu jego prywatność związaną z dzieciństwem, młodością, rozczarowaniami i nadziejami. Wtedy właśnie odważy się wyjść poza znak graficzny i zamieszkać choć na chwilę na swojej prywatnej polanie przeszłości. Przeszłości z przydrożną kapliczką stworzoną niewprawną ręką wiejskiego snycerza, leksykonem imion dziecięcej arkadii i izbą nie pachnącą już dzisiaj chlebem piękna współczesności.

Wierzę nadto, iż ułatwi mu te powroty grafika Doroty Kwoki, która nie jest ilustracją, a jest przede wszystkim jedną z wielu propozycji interpretacji tej prywatności.

Takie konstrukcje artystyczne nadają temu zbiorowi poezji głęboki sens filozoficzny.



**Wernisaż malarstwa Doroty Kwoki połączony z prezentacją jej poezji (18.11.2016)  
w rzeszowskim Osiedlowym Domu Kultury „KARTON” RSM**



Dorota Kwoka na plenerze literacko-plastycznym w Rzeszowie (sierpień 2017). Od lewej: Monika Mazur-Mitrowska, Dorota Kwoka, Stanisław Nyczaj, Jadwiga Kupiszewska



## Autoprezentacja Ireny Stopierzyńskiej-Siek

Urodziłam się 1 września 1934 r. w Poskajściach, na Laudzie (Litwa). Wczesne dzieciństwo spędziłam w dworku moich dziadków, zasiedziałyh rodzin polskich stanowiących przez kilka wieków na Litwie warstwę dość zamożną, ceniącą wykształcenie dzieci.

Pod koniec II wojny światowej nasza rodzina znalazła się na liście Polaków przeznaczonych do wywózki na Syberię. Wywiezienia szczęśliwie uniknęliśmy, przemieszkując w Poniewieżu do zakończenia wojny. Po otrzymaniu odpowiednich dokumentów, ruszyliśmy pociągiem towarowym do „ziemi obiecanej”, do Polski. Osiedlono nas na Warmii, gdzie ojciec objął gospodarstwo rolne, a my nareszcie poszliśmy do polskiej szkoły. Był kwiecień 1946 roku.

Moja kariera szkolna toczyła się „zygzakiem” z powodu wrodzonej wady wzroku. Już w szóstej klasie szkoły podstawowej przestałam czytać druk podręczników szkolnych, a okulistyka powojenna nie dysponowała nawet lupami powiększającymi. Miałam więc przerwy w nauce i dopiero, gdy młodsza siostra znalazła się na tym samym, co ja poziomie nauczania szkolnego i zaczęła mi pomagać w nauce, mogłam kontynuować swoją edukację. Siostra nie tylko dyktowała mi to, co na lekcji było napisane na tablicy, ale także głośno czytała w domu zadane lektury. Dzięki temu „przemierzyłam” z nią klasy szkoły średniej, i w 1958 r. zdałam egzamin dojrzałości.

Pomimo silnego niedowidzenia, naukę szkolną pokonywałam z łatwością, stąd ze strony nauczycieli spotkałam się z zachętą do podjęcia studiów uniwersyteckich. Wybrałam filozofię na KUL-u. Szczególnie interesującą szkołą filozoficzną stała się dla mnie fenomenologia w ujęciu polskiego filozofa – Romana Ingardena. Pracę magisterską napisałam na temat poznawania wartości artystycznych i estetycznych dzieł sztuki w ujęciu Ingardena. Dyplom magisterski uzyskałam w r. 1964.

W trakcie mojej pracy w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej otrzymałam stypendium naukowe na dalsze studia w Belgii, na L'Université Catholique de Louvain. Jako kierunek studiów wybrałam środki masowego przekazu. Szczególne moje zainteresowanie wzbudziła analiza semiologiczna wytworów kulturowych w ujęciu semiologów francuskich. W swojej pracy magisterskiej zajęłam się analizą języka informacji dziennikarskiej. Studia ukończyłam w 1971 r.



Od prawej: Irena Stopierzyńska-Siek z mężem Januszem i Moniką Maciejczyk na plenerze w Polanicy-Zdroju w gościnnym „Różanym Dworze” Moniki Maciejczyk

Po powrocie do kraju podjęłam pracę w Centralnym Ośrodku Kultury. Po trzech latach przeszłam do utworzonego przy Ministerstwie Kultury – Instytutu Kultury. Znalazłam się tam w grupie socjologów, a naszym wspólnym zadaniem była analiza treści wybranych programów telewizyjnych. Jednocześnie pisywałam do „Literatury”, „Niedzieli”, „Przeglądu Powszechnego”, a regularnie współpracowałam z miesięcznikiem „Więź”, gdzie zamieszczałam artykuły publicystyczne, eseje, reportaże i recenzje. Stąd w r. 1981 pojawiła się propozycja, żebym przeszła do pracy w redakcji tego pisma. Zdecydowałam się na to z nadzieją, że swobodnie będę mogła zająć się publicystyką kulturalną. Jednakże w 1984 r. z powodu przeciążenia i tak już słabego wzroku, musiałam pożegnać się z pracą ściśle redakcyjną i przejść na rentę inwalidzką. Pisanie jednak nie zaprzestałam.

Wolny czas wypełniałam także nieuprawianą dotąd przeze mnie dziedziną sztuki – tkactwem artystycznym, a jeszcze później grafiką i malarstwem. Na konkursach dla osób niepełnosprawnych wzrokowo, moje gobeliny dwukrotnie otrzymały pierwsze miejsce.

Do pisania wierszy dość długo się nie przyznawałam, sądząc, że publicystyka jest rzeczą poważniejszą. Dlatego pierwszą obszerniejszą moją publikacją był wydany w 2000 r. przez Wydawnictwo „Biblioteka Więzi” wywiad rzeka ze znaną teolożką Stanisławą Grabską pt. *Ciekawość nieba – ciekawość ziemi* oraz cykl 21. felietonów radiowych dla I Programu PR – Radio Noca, pod wspólnym tytułem *Z taśmy mojej pamięci*.

Odwagi do zajęcia się pisaniem poezji dodało mi uzyskanie I miejsca w kilku konkursach literackich:

– I nagroda za poezję w konkursie literackim Fundacji Sztuki Osób Niepełnosprawnych w Krakowie (2000) za *Psalmy na koniec stulecia*, opublikowane w antologii utworów pokonkursowych pt. *Kraj Tada* (Kraków 2000, Fundacja Sztuki Osób Niepełnosprawnych) oraz przedrukowane w kwartalniku „Słowem i Kształtem”, 1(12) 2001; był to mój debiut poetycki,

– I nagroda za utwory poetyckie w III Mazowieckim Konkursie Małej Formy Literackiej Klubu Twórczości „ŻAR” (2003),

– I nagroda w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Śmiejba” w Tomaszowie Maz. (2004).

– znalazłam się też wśród laureatów ogłoszonego w 2004 r. Konkursu Literackiego o Pióro Prezydenta Warszawy – Powstańcze Piętno Stolicy – Wędrówki po mojej Warszawie 1944-2004.

Moje wiersze ukazywały się w wydawanych przez Krajowe Centrum Kultury Niewidomych w Kielcach antologiach pt. *Jesteśmy*, w zbiorach pokonkursowych oraz na łamach: „Więzi”, „Listu do Pani”, „Akantu”, dodatku literackiego „Myśli Polskiej”, „Sekretów ŻAR-u”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”.

Od 2000 r. aktywnie uczestniczę w działaniach Sekcji Literackiej Klubu Twórczości ŻAR przy Okręgu Mazowieckim PZN, a od 2005 kieruję tą Sekcją, która w 2007 przyjęła nazwę „Poetica”. Wybór utworów poetyckich członków Grupy został opublikowany w antologii *Słowo jak balsam na nienasylenie* (2011).

Jestem również zastępcą redaktora naczelnego kwartalnika „Sekrety ŻAR-u”, pisma Klubu Twórczości „ŻAR” przy Okręgu Mazowieckim PZN. Większość tekstów publikowanych na jego łamach zarówno poetyckich, jak prozatorskich jest autorstwa członków grupy „Poetica” oraz uczestników corocznego konkursu literackiego organizowanego przez nasz kwartalnik; dodam, że od kilku lat jestem członkiem Jury tego konkursu. Ale publikują tam również znani krytycy, pisarze i poeci ze Związku Literatów Polskich, jak: Jan Zdzisław Brudnicki, Stanisław Stanik i Andrzej Zaniewski. Wysoką ocenę naszemu kwartalnikowi za publikowaną na jego łamach twórczość literacką wystawiła, zajmująca się od wielu lat twórczością literacką osób niepełnosprawnych wzrokowo, prof. Małgorzata Czerwińska z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Swoje dotychczasowe wiersze opublikowałam w siedmiu tomikach: *Z koszyka słów wybranych* (Warszawa 2004), *Doskonałość Twą odgaduję* (War-

szawa 2006), *Powolne zmiernianie błękitu* (Warszawa 2007), *Pejzaże słowem oplecione* (Warszawa 2010), *Pod łukami gotyckiej alei* (Warszawa 2012), *Za oknem przemijania. Za światła prostokątem* (Warszawa 2015), *Za furką ogrodu kontemplacji* (Warszawa 2020). W 2016 r. ukazał się zbiór moich felietonów i esejów drukowanych w „Sekretach ŻAR-u” pt. *Wyprzeganie kultury*.

Moja działalność związana z twórczością literacką osób z dysfunkcją wzroku została zauważona i doceniona przez Zarząd Główny PZN, który z tego tytułu przyznał mi srebrną i dwukrotnie złotą Odznakę Honorową Polskiego Związku Niewidomych. Natomiast w 2018 r. otrzymałam, przyznaną mi przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Jestem członkinią warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Związku Literatów Polskich.



Gala Świętokrzyska w ramach Warszawskiej Jesieni Poezji w Domu Kultury na Pradze-Południu. Mąż autorki czyta jej wiersze

## Mędrcy ze Wschodu

jedynie Mędrcom był dany znak  
nowa gwiazda, co zgasiła blask  
niezliczonych starych gwiazd  
narodziny Króla zwiastowała...  
przejmie On władzę z wielką mocą  
wywróci trony, choć jedynie  
jeszcze jest Dzieckiem małym, słabym

Mędrcy nie wątpiąc w tą nowinę  
ruszyli, by powitać Króla  
zabrali kadzidło i złoto  
a karawana była długa

pustynia nocą się bielila  
wysokiej gwiazdy srebrnym snopem...  
znikła przed pałacową bramą  
bo Dziecka-Władcy tam nie było...  
a może Niebo im kłamało?

lecz oto jest zwiastunka Pana  
wielbłądy biegly ku izdebce  
przed wejściem kornie pokłękaly...  
to tu Król-Dziecko wśród biedaków?  
to Ono rozcięło taflę czasu  
na niepowrotne  
i na nowe

## ucieczka do Egiptu

jest coś zakrytego  
na co nie zważamy –  
program Ciemności  
ten sam od Genesis –  
życiu przeszkodzić  
i życia pozbawić  
tych, co otrzymali  
najwyższe Pokrewieństwo

SYNEK SIĘ URODZIŁ  
w betlejemskiej grocie  
Betlejem po hebrajsku  
znaczy Dom Chleba  
narodzony będzie karmił  
swym proroczym słowem  
i chlebem spożywanym  
z uczniami przed Paschą

ciemność w działaniu

nigdy nie ustaje  
próbuję podstępnie  
przeszkodzić planom Ojca  
Herodowi w ucho naszeptala  
że narodził się Władca  
silniejszy od niego

Już kłębią się rozkazy  
i słycać szczęk mieczy  
Księżę Ciemności pogania  
i zaciera ręce  
Wielu tej nocy zginie  
z potomstwa ludzkiego

uciekaj, Józefie!  
zabierz tych Dwoje  
bo zagłada jak tsunami  
pędzi w waszą stronę  
udaj się do Egiptu  
bo choć nie zna on

Obietnic zapisanych w Księgach  
jest tam bezpieczniej  
niż w Ziemi Obiecanej

ciemność przegrała  
dziecko ocalone...

Betlejem – niespokojne  
jak niegdyś ubogie  
jak wtedy znowu pełne  
strachu i zawiści  
przeoczyłeś gwiazdę  
i Księcia Pokoju  
kto może teraz  
z nieszczęścia  
ciebie wybawić?

## narodziłeś się Dzieckiem

dla tych, co drżeli  
przed Twoją potęgą  
przyszedłeś całkiem bezbronny

dla tych, co kryli się  
przed Twoją wielkością  
pojawился się jako Dziecko

dla tych, co uciekali  
przed Twoją obecnością  
ukryłeś się w ciasnej grocie

Słowo mocne, stwarzające  
zamieniłeś  
na nieme usta niemowlęcia

wkrótce uczyć się będziesz  
brzmienia  
naszej ludzkiej mowy...



Na plenerze w Ciekotach wśród grupy kieleckich literatów (2018)

### Koncert w parkowych półcieniach

na dębowych palach  
nad powierzchnią wody  
przybrzeżne moło  
czeka niecierpliwie

ławki wokół stawu  
już się zapełniają  
półszepty  
śmiej ściszone  
jeszcze dozwolony

zespół gitarzystów  
wbiega na tę scenę  
próbując swoich instrumentów  
dźwięki swobodnie  
objają się o siebie  
lub przypadkiem scalają  
w *impromptu*  
krótkie i nieznanne

chwila ciszy

na początek  
muzyka hiszpańska  
rytmy szybkie

mocne  
prawie jak perkusja  
pomiędzy nimi wplątana  
melodia znana  
to ona scala w jedno  
muzykę do tańca...

popłynęły jeszcze  
w parkową przestrzeń  
melodie greckie  
włoskie, francuskie  
także brazylijskie

wysłuchani  
nie tylko ludzie  
ptaki też słuchały  
dziwnie wyciszone  
jakby swych głosów  
pozapominały...

przy ścieżkach  
w głębi parku  
lipy kwitną obficie  
a zapach swój  
jak miodowe nutki  
przesyłają  
tanecznym rytmom  
gitar

słuchamy  
w największym skupieniu  
by ciszę wewnętrzną  
wypełnić  
tej skocznej muzyki  
brzmieniem

lecz koncert  
też ma swój koniec  
muzycy serdecznie dziękują  
za nasze skupienie  
i za tę zieleń  
bujną i świeżą  
że nuty tak długo uśpione  
do grania się obudziły...

a nasza odpowiedź?  
oklaski  
oklaski  
oklaski...

*Irena Stopierzyńska-Siek*

# Opinie o twórczości Ireny Stopierzyńskiej-Siek

Małgorzata Czerwińska

## Z zamysleń nad słowem...

[...] Poetyckie słowo Ireny Stopierzyńskiej jest dobrze słyszalne. To słowo poety-filozofa, intelektualistki, erudytki, malarki. Autorka ze czcią i pokorą kłania się słowu. [...] I „słowem-światłem” prowadzi nas przez świat – ten zewnętrzny, pełen meandrow, blasków i cieni... i ten wewnętrzny, własny, pełen głębokich przeżyć, przemyśleń. [...]

Niepostrzeżenie filozoficzna zaduma nad przemijaniem przechodzi w zachwyt nad naturą. A w poetyckim i malarskim wyrażaniu owego zachwytu Pani Irena jest Mistrzynią. Nie umknie jej wrażliwej uwagi las wysoki, jezioro w upalny dzień, tabuny chmur kłębiastych, chaszcze za płotem, złociste forsycje, pejzaż dojrzałego lata czy wiosenne roztopy. Odnotowuje wydawałoby się rzeczy nieistotne – gawrony na wielkomiejskim osiedlu, gołębie w dworcowej hali, tłok na plaży w Dziwnowie, mewy i latawiec na nadmorskim niebie. Ale nie jest to tylko malowany słowem poetycki świat przedstawiony. Jest w tych wersach filozoficzny przekaz, głębia egzystencjalnej myśli, zaduma nad samą sobą, nad stanem ducha. [...]

Poetycka i plastyczna twórczość Ireny Stopierzyńskiej dowodzi, że jest to istotna odmiana bycia człowiekiem, podstawa estetycznej samowiedzy i punkt wyjścia dla bardziej świadomego kierowania własnym życiem. [...]

Jest to poezja w pełni profesjonalna. Wypełniają ją poetyckie felietony, poetyckie reportaże, poetyckie opisy odległych i bliskich zdarzeń, odniesienia do własnych doświadczeń i przeżyć, tezy filozofii osobistej, wypowiedzi o charakterze uniwersalnym – zamknięte w liryce bezpośredniej i pośredniej, budowanej na sytuacji wyznania, apelu, narracyjnej. Wiersze są zmetaforyzowane, sięgają do głębi, która pozwala zmierzyć się ze swoistą filozofią poetki. Na poziomie opisu przedstawiają bogatą rzeczywistość. Z tego poziomu wynikają ciekawe przemyślenia, konstatacje, idee, przesłania. Filozoficzna, społeczna i religijna liryka Ireny Stopierzyńskiej jest ciekawa i mądra, ponieważ przemawia głębią sytuacyjną. W poezji tej ekspresja wynika przeważnie z przesłanek intelektualnych, uzupełnianych przez kon-

trolowaną grę myśli i wyobraźni, wnioski natomiast mają często charakter etyczno-moralny. Twórczość ta oparta jest na ugruntowanym warsztacie artystycznym, który cechuje dążność do ideału wiersza – dopracowanego, zaplanowanego, zamkniętego – wiersza białego.

Małgorzata Czerwińska, *Z zamysleń nad słowem*, [wstęp do] Irena Stopierzyńska-Siek, *Powolne zmierzchanie błękitu*, Warszawa 2007.

Jan Zdzisław Brudnicki

Autorka tomu *Za oknem przemijania / za światła prostokątem* odwołuje się najczęściej do Czesława Miłosza i Pascala. Poetycko wyekspluatowane pojęcie *duszy* wznawia za pomocą *paradoksów* Pascala, który uczynił zeń rodzaj gry z nieskończonością i sposób na poszukiwanie ducha epoki.

Jednak Irena Stopierzyńska nie *uładnia* świata. Równoległe do rzeczywistości harmonijnego i obdarowanego (choćby darem wolności) świata, rozciąga się obszar ciemności, chaosu, negacji, spojrzienia bolesnego, oznaczonego językiem grzechów: chciwości, pychy, gniewu i nieposłuszeństwa wobec racji wyższych.

Dobrym prawem poezji jest możliwość mówienia nie wprost. Tu odnajdziemy rodzaj przypowieści. Bardzo są atrakcyjne czytelniczo, czasem możliwe do śpiewania: o psie bez smyczy, o domku z rysunku dziecka, dawnej chacie, w której lekko dusza oddycha, o upostaciowanym, *zniecierpliwionym* stawie, o wiejskiej kapliczce zaprzyjaźnionej z ludźmi.

Są tematy podróżne, krzepiące, ocieplone, codzienne, jak też filozoficzne, naznaczone nutą pokorną i dumną jednocześnie. Autorka raz stwarza rzeczywistość, innym razem identyfikuje się z gestem rezygnacji, wdzięczności i namysłu. W pokoleniu autorki był to znaczący nurt *stachuriadą* zwany.

Andrzej Zaniewski

## Lekcje ze słów wybranych<sup>\*)</sup>

[...] Autorka proponuje nam nowe zakreszenie granic pojęć pozornie przeciwstawnych: „wszyscy” – „nikt”, „dokądś” – „donikąd”, „zawsze” – „nigdy”, „wszędzie” – „nigdzie”... To ostatnie pojęcie

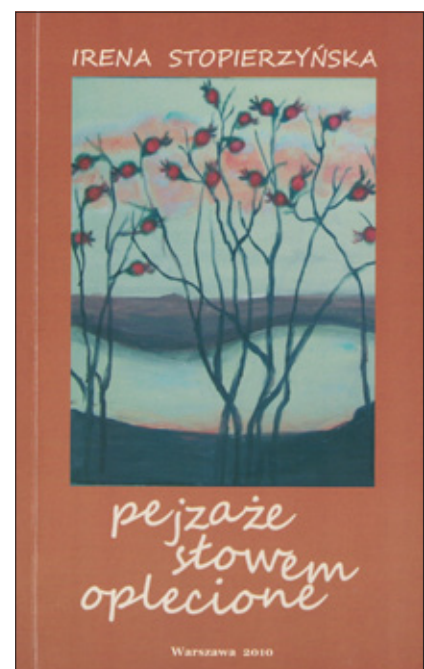
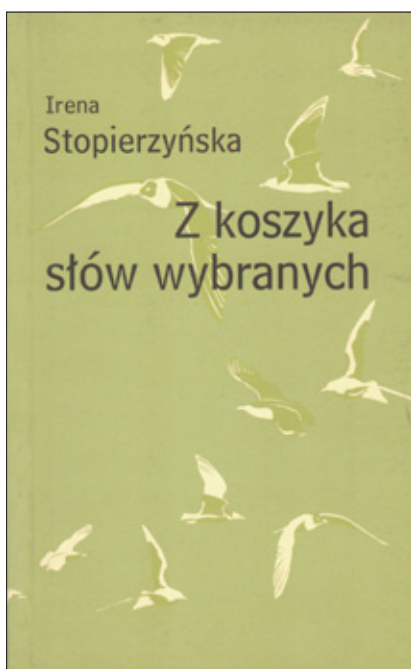
przestrzenia jest  
której nie ma  
nie-miejscem  
pustką nie do wypełnienia.

Przyznam, że dawno nie czytałem wiersza tak znakomitego, prostego w swej konstrukcji, a opisującego przecież materiał abstrakcyjny, jakim są pojęcia o charakterze wyrażnie ogólnym.

[...] W poetyce Ireny Stopierzyńskiej ekspresja wynika przeważnie z przesłanek intelektualnych, uzupełnianych przez kontrolowaną grę myśli i wy-

obraźni, wnioski natomiast mają często charakter etyczny, niekiedy z pogranicza zakamuflowanego moralitetu. [...] Zastanawiałem się nad rytmem tych wierszy, podziwiałem wewnętrzną kadencję wpisaną w każdą niemal niby wolną frazę białego wiersza; to przecież efekt zamierzony, prośba do czytelników – myślcie moimi myślami, czy się spełni?

Andrzej Zaniewski, *Lekcje ze słów wybranych*, [wstęp do] Irena Stopierzyńska-Siek, *Z koszyka słów wybranych*, Warszawa 2004.



## Autoprezentacja Janusza Szota

Pierwsze wiersze powstały jeszcze w szkole podstawowej. Były to rymowane teksty, które czytałem mamie. Potem usłyszałem w radio Demarczyk, Grechutę i zacząłem się wsłuchiwać w teksty przez nich śpiewane, które mnie inspirowały. Potem pojawiło się Stare Dobre Małżeństwo, Wolna Grupa Bukowina, Okudźawa, Cohen, poznałem wtedy tzw. biały wiersz i zacząłem pisać w tej formie.

Cudownym zbiegiem okoliczności poznałem Janusza Pacewicza, któremu pokazałem swoje wiersze i On przeprowadził mnie przez pierwsze warsztaty i meandry poezji. Brałem również udział w plenarach plastycznych; na jednym z nich zostałem laureatem konkursu.

W międzyczasie w Tarnowie powstał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy Młodzieżowej Agencji Kulturalnej, do którego zgłosiłem akces. Organizowane były przez KKMP warsztaty literackie, zapraszano uznanych poetów, którzy dzielili się z młodymi adeptami pisarstwa swoim doświadczeniem i dawali nam wskazówki.

W tarnowskim tygodniku TEMI publikowałem swoje rysunki satyryczne, a w MGOK Brzesku miałem wernisaz akwarel grafik i tempery.

Na początku lat osiemdziesiątych grałem w zespole rockowym ERSATZ na saksofonie tenorowym. Graliśmy, tzw. NEW WAVE ROCK (patrz Wikipedia Niemiecka nowa fala rocka). Występowaliśmy pod Estradą Krakowską, gdzie byliśmy zapraszani na koncerty organizowane przez estradę, m.in. w Kino-Teatrze Związkowiec w Krakowie, gdzie nagraliśmy koncert dla TVP-2 oraz na XXV-lecie Klubu Studenckiego „Zaścianek” w Krakowie, do którego też był zaproszony Marek Niedźwiecki.

W zaciszu domowym próbowałem swoich sił na gitarze klasycznej i zaczęły powstawać pierwsze piosenki autorskie. Równolegle pracowałem w MGOK Brzesko, GOK Rzezawa oraz MGOK Stary Sącz.

W 1996 roku w Nowym Sączu powstał Klub Literacki SADECCZYŻNA przy Civitas Christiana, do którego należałem od momentu powstania. Mój debiut literacki miał miejsce w almanachu wydanym przez klub: *Pierwsze spotkanie* (1997). Potem wydano kolejne almanachy, w których drukowane były moje wiersze, byłem też autorem okładek do kilku pozycji almanachów i grafik do tomików. W roku 2002 miał miejsce mój debiut książkowy, wydałem tomik pt. *Ścieżki nocy*. Zrecenzował go na łamach „Literata Krakowskiego”



Stanisław Ignacy Fiut. W 2014 wydałem drugi tomik pt. *Kuszenie licha*.

Z żoną Joanną Babiarcz-Szot utworzyliśmy Sądecki Klub Literacki (2016), który ma siedzibę przy Sądeckiej Bibliotece Publicznej (logo klubu jest mojego autorstwa). W ramach działalności klubu jestem inicjatorem wielu wydarzeń artystycznych. Organizujemy wieczory poetyckie poświęcone różnym poetom, cykliczne spotkania pn. Sądecki Klub Literacki i Przyjaciele, Autobus Poezji z okazji setnej rocznicy Odzyskania Niepodległości (2018), Pociąg Retro Pełen Poezji, Autobus Retro dla upamiętnienia Osiemdziesiątej Rocznic Wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Nasz Klub wydaje również kwartalnik artystyczno-literacki POEZINE oraz został wydany almanach klubu pt. *Na szlakach poezji*.

W 2017 roku wydałem kolejny tomik pt. *Bez sztucznej pozy*. Moje wiersze ukazywały się w ogólnopolskiej prasie literackiej i regionalnej oraz almanachach międzynarodowych, gdzie były tłumaczone na język angielski i telugu. Uczestniczyłem w wielu konkursach literackich, w których byłem też laureatem.

Razem z żoną jeździmy na plenery literackie organizowane przez ZLP O/Kielce. Wraz z oddziałem byliśmy uczestnikami Warszawskiej Jesieni Poezji. Byłem też uczestnikiem Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie jako autor oraz Sądeckich Targów Książki. Wraz z żoną założyliśmy zespół Dookoła i wykonujemy piosenki autorskie, swoje wiersze oraz wiersze naszych przyjaciół poetów, do których komponuję muzykę. Jesteśmy zapraszani na różne plenery i imprezy poetyckie.

Nasz zespół Dookoła wydał debiutancką płytę autorską pt. *Wędrowanie 2020*, na swoim koncie ma również nagrane dwa teledyski pt. *Pomruki Bieszczad* i *Ballada z Ogrodowej* (patrz YouTube).

W przygotowaniu mam następny tomik poezji.

## Galerya F...

*Pamięci Janusza Pacewicza „Tobiego”*

Ze ścian  
skrzydlate fallusy  
zeskakiwały do oczu  
żółtodziobów

powtórka z rozrywki  
zalewała czaj  
uwalniała  
inspiracje  
otwierały się wszystkie  
pory na ciele

siedzieliśmy  
na rozgadanym chodniku  
z obnażonym torsem  
łapiąc radioaktywne  
pozdrowienia  
słane przez sąsiadów

świerszczyki  
tańczyły na stole  
rzeczywistość  
wódeczka z guajazylem  
otwierała  
filozofię chwili

a radio nadawało  
spóźniony komunikat  
gdzie podają  
płyn Lugola

## Jabłko

Na drodze  
leżało jabłko

głodny  
nie podniosłem

pamiętając  
Stary Testament

## Segregacja

U żywaniego  
znoszone dni  
czekały na drugie życie

chciały jeszcze wrócić

krzyczały  
tutaj jestem  
zabierz mnie

zmieszane  
śmietanka z plepsem  
niczym się nie różniły  
w worku  
przeznaczenia

## Nie tu

Na pewno  
wybrałbym  
lepsze wszystko  
niż jest

wybrałbym  
gdziekolwiek  
tylko nie tu

miliony lat  
świątecznych  
bym szukał

by trafić

## Kula

Ledowy Bóg  
omamił  
zagubione dusze

wprowadził  
swoje przykazania

i przykuł



## **Szamotanie**

Rodząc się  
budzimy  
swoje anioły  
i demony

uruchamiamy  
wszystkie procedury  
śmierci

na tę wycieczkę  
dostajemy zestaw  
wydarzeń w których  
uczestniczymy  
świadomie  
lub nie

i nie wiemy  
że to wszystko zostało  
dla nas

wyreżyserowane

## **Wino truskawkowe**

Panie z koła  
gospodyń nie wyjdą  
na wybieg  
w strojach kąpielowych

na wiejskiej  
świątlicy  
nie wystawią prac  
Hasióra

w domu parafialnym  
nie odbędzie się  
pokaz filmu  
Ostatnie kuszenie Chrystusa

Świątlickiego  
nikt nie przeczyta  
na szkolnej akademii

Moździerz  
nie zagra koncertu  
na festynie  
ludowym

zadupie pozostanie  
zadupiem

a słodkie  
wino truskawkowe  
nadal będzie  
poszerzać horyzonty

## **Rozbłąsk**

Codziennie zaciągam  
dziewicze słowa

niech rodzą  
kolejne

## **Odkrycie X**

Ile przemierzymy

w którym miejscu będziemy

odległość piekła  
do nieba ta sama

## **Ogłoszenie**

Rzeczywistość  
codziennie  
w promocji

sentencje wielkich  
w koszyku na zakupy

a wadliwe  
akta urodzenia  
zawsze będą  
fruwać

## **Muzykant**

Dziś pod Biedronką  
spotkałem Homera  
grał –

na odciskach

## Opinie o twórczości Janusza Szota

Stanisław Nyczaj

### Jak „wypowiedzieć niewypowiedziane”

Janusz Szot zwierzył mi się, że ten tomik jest w jego zamierzeniu na tyle samoswój, iż nie ma istotnych odniesień do własnych wcześniejszych poetyckich dokonań. Trzeba zatem widzieć go jako integralne *novum*, mające dlań znaczenie specjalne. Przyznał, że pracował nad nim, odkrywając niepożytkowane dotąd wrażliwe przemyslenia. Przemawiałby za tym liryk *Rozbłysk*:

Codziennie zaciążam  
dziewicze słowa

niech rodzą  
kolejne

Takie „pierworództwo od słowa do słowa” wydaje się być czymś właściwym przede wszystkim poetom od zawsze. Ich niejako słowo-kreatorskim powołaniem. Są poeci bowiem, jak mawiał często Julian Przyboś, „słowiarzami”. Zatem uświadomienie sobie tej ich słowiarskiej powinności nakazuje czytelnikom zwracać baczniejszą uwagę na leksykalne tworzywo poezji, które wcale nie musi być jako przekaznik wyłącznie „semantycznie przezroczyste”, otwarte na treść – za czym obstawał Zbigniew Herbert, upatrujący sens poetyckiej wypowiedzi w jej znaczeniach, zwłaszcza przesłaniach etycznych. Wszczął się po wystąpieniu autora *Pana Cogito* w dyskusji kilku odważnych spór (jakiego osobiście byłem świadkiem na sympozjum podczas Kłodzkiej Wiosny Poetyckiej w 1971 r., kiedy to starli się adwersarze, o czym wspominam w mojej *Metafizyce tworzenia*).

Słowno-wyrazowe tworzywo (w całej gamie walorów brzmieniowych i wizualnych) jest nie tylko środkiem, lecz i niekiedy, obok treści, współtematem poetyckiej wypowiedzi, jak np. u poetów lingwistów: Tymoteusza Karpowicza czy Mirona Białoszewskiego. Bądź, jeszcze inaczej, treść widziana jest przez filtr silnie wyeksponowanych form językowych (pomysłowych, łamiących sztafpę utartych zwrotów i wyrażeń, popisów słowotwórczych, eksperymentów gramatycznych czy składniowych), które prócz semantycznej funkcji dla przesłania całego utworu, mają też znaczenie same dla siebie.

Cieszę się, że Janusz Szot jest – wedle mojego nastawienia – smakoszem słowa, jego wspaniałej kontekstowej homonimiczności, jego elektryzujących niuansów wydobywanych ze styku zapisu i brzmienia, kiedy właściwości graficzne „igrają” ciekawie z fonicznymi (w czytaniu głośnym). Tak to jest – w pewnym przybliżeniu – u Janusza Szota. Oto w wierszu *Ogłoszenie* odnajdujemy „codziennie/ w promocji// sentencje wielkich/ w koszyku na zakupy” [tj. np. wiktuały z książkami klasyków]; w wierszu *Muzykant* Homer spod Biedronki „gra// – na odciskach”; w wierszu *Niepokorni* „Plakatowi/ prorocy/ jednego słowa/ chcieli/ kreować rzeczywistość// a tłum/ jak rzeka/ miał swoje meandry”.

Janusz Szot, którego poetyckich songów, wykonywanych w ciekawie zgranym instrumentalnie i głosowo duecie z żoną poetką Joanną, z emocją nieraz długo słucham, gdy odkłada gitarę, w skupieniu nad kartką bardzo jest w słowach oszczędny. Dąży do wyrażenia swoich myśloobrazów zapisem skrótowym. Czasami niemal sztyfrem wymagającym od czytelnika współpracy przy dociekanii inspiracji, zamiaru i znaczenia puenty. I, przyznając, opłaca się ten wysiłek koncentracji, bowiem nagradzany jest nie tylko rozpoznaniem sensu, ale i wzruszeniem. Dla przykładu przytoczę wiersz *Żniwa*:

Skosimy chaszczce

odkryjemy ścierniska  
epitafiów

wypowiemy  
niewypowiedziane

macewy  
uniosą głowy  
zrzucając  
mech  
zapomnienia

Toż to zapis dramatu wstrząsającego odkrycia, kiedy podczas prac polowych niespodzianym „plo-nem” żniw okazuje się bolesny widok zapomnianych pozostałości po żydowskim kirkucie. Musimy nagle zmierzyć się z czymś „niewypowiedzianym”, niedającym się ogarnąć w drastyczności możliwych skojarzeń („ścierniskach epitafiów”) na wołających o pamięć („unoszących głowy”) macewach. Sielski obrazek, jaki mógłby nasuwać z zasugerowanych tytułem tak częstych w poezji opisów żniw zaskakuje porażającym pokłosem dopominającej się ujawnienia przeszłości. Przeszłości, która zakrada

się w terażniejszość, jak choćby ujawnia bardzo swoiście, bo jakby na przekór chęci przywoływania w wierszu *Miraż*, w którym „Weekendowe krematoria”, co „mają się dobrze”, czyli jakby wciąż istniejące, obecne w „jałowych rozmowach”, że, zapewne, dawno mamy je za sobą, „wylewają się [smrodliwą] czarną pianą/ w kolorowe ulice”.

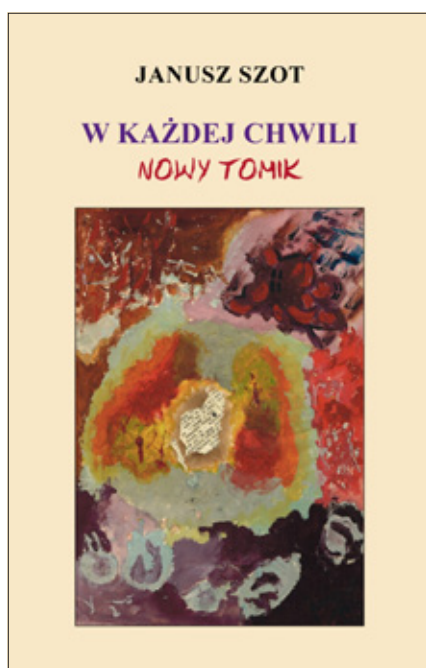
Do maksymalnej zwięzłości autor dochodzi w wierszach, jakie nazwałbym poetyckimi sentencjami. W tym kunszcie zwięzłości perełkami są zapisy z cyklu *Odkrycia*: „Ile przemierzamy/ w którym miejscu będziemy// odległość piekła/ do nieba taka sama” (*Odkrycie X*), „Wierni/ rozumowi// jesteśmy prawdziwi” (*Odkrycie XI*).

Wreszcie, przymila się oku i sercu Czytelnika erotyki Janusza Szota. Wiersz *Bibliofil* kończy się słowami: „czytam cię/ jak bestseller// i tonę w tobie”.

Poeta z Nowego Sącza, gdzie i w poetyckich autobusach – jak nigdzie w Polsce – deklamuje się wiersze i śpiewa je dla odbiorców-pasażerów – zdobywa liczne grono fanów. Z przyjemnością im ten jego najnowszy tom – po wcześniejszych: *Ścieżki nocy* (Warszawa 2012), *Kuszenie licha* (Stary Sącz 2014), *Bez sztucznej pozy* (Kraków 2017) – polecam.

Stanisław Nyczaj

Janusz Szot, *W każdej chwili nowy tomik*. Kielce 2020, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 72.



***Z pięknej okazji przyjęcia do ZLP – Oddziału w Kielcach – serdecznie gratuluję!***



Noworoczne spotkanie pisarzy w Oddziale (DŚT 2016). Od lewej: Janusz Szot z żoną Joanną, Szczyśny Wroński, Joanna Rządziejewicz



Janusz Szot czyta swoje wiersze na plenerze w Busku-Zdroju (2017)  
Fot. Maria Gibała

## Autoprezentacja Władysławy Szproch

„urodziłam się  
pomiędzy latem a zimą  
nie wybierałam miejsca  
chętnie bym się urodziła w trawie  
– trawy rosną wszędzie”

...a więc była piękna, złota jesień A.D. 1951.

Dzieciństwo spędziłam w Stanisławowie (pow. Końskie) w małym wiejskim domku, w rodzinie trzypokoleniowej, pośród opłotków, pól i lasów. „Czytałam świat poprzez pracę i naturę, poprzez każdą drobinę istnienia: źdźbło trawy, stokrotkę, ważkę, motyla, ptaka, żyłkę liścia w zuchwach gąsienicy, skowyt psa, miauk kota, plusk ryby... Po ukończeniu szkoły podstawowej wyjechałam do miasta Końskie, by poszerzać wiedzę o otaczającym mnie świecie. Przez pięć lat zapępniałam pamięć zawilosciami techniki, wzorami i logiką matematyczną. Działo się to w Technikum Mechaniczno-Odlewniczym, a po jego ukończeniu podjęłam studia w Politechnice Świętokrzyskiej na Wydziale Elektrycznym. Uczelnię ukończyłam w 1975 roku. Zostałam inżynierem ku wielkiemu zdziwieniu, ale i radości mojej biednej rodziny, a nawet całej parafii.

Moją dewizą życiową było motto: „Życie jest diabła warte, jeśli nie jest uparte”. Ono pomogło mi przetrwać najgorsze. W latach 1975-79 pracowałam w „Elektromontażu” w Kielcach, a następnie w Przedsiębiorstwie Budownictwa Kolejowego w Kielcach. Niezbyt usatysfakcjonowana pracą na budowach, w ciężkim przemyśle technicznym, postanowiłam zmienić zawód na taki, gdzie ma się bezpośredni kontakt nie z maszyną, a z żywym człowiekiem. Poszerzyłam więc zdobytą już wiedzę o wykształcenie pedagogiczne, kończąc roczne studia podyplomowe w Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Od roku 1984 podjęłam pracę jako nauczycielka w Szkole Podstawowej Nr 30 i Gimnazjum Nr 14, a od roku 2002 w Gimnazjum Nr 7 w Kielcach, gdzie pracowałam do emerytury (2006).

Mieszkam w Kielcach. Kocham moje miasto. Często powtarzam w myślach słowa S. Żeromskiego: „Gdzie mnie los rzuci, tam się zaszczepiam i gdy przyjdzie mnie przesadzić, trzeba albo wyrwać z korzeniami, albo rozerwać, pokrwać”.

Odkał pamiętam, tworzę. „Sztukę ma się w sobie” – powiedziała kiedyś Magdalena Abakanowicz. Może i mnie się tyczą te słowa, gdyż uprawiam nie tylko twórczość literacką, ale także plastyczną. Obdarzona niespokojnym duchem, „dotykam” w pro-



cesie twórczym różnych form twórczej wypowiedzi. I trudno mi w tym momencie powiedzieć, co jest moją największą pasją: Poezja? Malarstwo? Rzeźba? Rysunek? czy też sympatia do ludzi? Chyba jedno warunkuje drugie, stanowiąc zespoloną harmonię i składa się na moją skromną, ale i skomplikowaną naturę.

„Zatrzymać w słowie, w obrazie, kresce, w rzeźbiarskiej formie – czas. Przedłużyć pamięć poprzez ich trwanie, uczynić drugiego człowieka szczęśliwszym, bogatszym o piękno doznań w obcowaniu ze mną i moimi twórczymi wytworami” – oto moja dewiza na wczoraj, dziś i jutro.

### Twórczość literacka

Jestem poetką, prozatką, satyryczką, recenzentką, wielokrotną jurorką konkursów poetyckich i ilustratorką tomików poetyckich, plastyczką (uprawiam rzeźbę, malarstwo olejne, akrylowe, akwarelowe, collage i rysunek), animatorką życia kulturalno-artystycznego na Ziemi Świętokrzyskiej. Jako poetka debiutowałam w „Przemianach” (1/1982) nagrodzonymi wierszami w konkursie regionalnym, po czym drukowałam wiersze, opowiadania pisane gwara świętokrzyską, recenzje i artykuły publicystyczne w kilku czasopismach regionalnych, a także m.in. w „Głosie Nauczycielskim”. Moje wiersze, fragmenty pamiętników i opowiadania ukazywały

się od r. 1988 (*Raptularz Kielecki*) w wielu almanachach, m.in. *Wigilie polskie* (1990), *Żywieckie doliny i szczyty* (1994), *Wiosna w poezji i malarstwie* (1994), *Talenty Józwicka z Wąglan* (1994), albumie *Karczówka* (1995), czasopiśmie naukowym „Język polski w szkole” (3/1992), albumach *Chmielnik i okolice* (2000), *Złote myśli ludzi wielkiego talentu i serca – twórcy wizerunku Polski* (2003), „Poezja dzisiaj” (wyd. polsko-angielskie 2003, Nr 29/30), almanachach z serii *Bazar* (1993, 1995, 1998), *Zostałeś w nas Ojczyźnie Święty* (2005), *W stronę Świętego Krzyża* (praca naukowa, 2006), *Kielce w słowie i obrazie* (2007), *Słowo i obraz* (2009), w wydawnictwach zbiorowych Grupy Literackiej „Gronie” w Żywcu (do której należałam przez 25 lat) i w kilkudziesięciu innych almanachach poetyckich, czasopismach literackich i pracach zbiorowych, które znajdują się w szczegółowym opracowaniu mojego dorobku literackiego.

### **Ważniejsze nagrody w konkursach literackich:**

*Drogi Radków* (Kielce 1984), *Życie Akademickie Kielc Powojennych* (1986), *Wspomnienia z wakacji w Bułgarii* (Warszawa 1987), *Moje strony rodzinne dawniej a dziś* (Góry Mokre 1984), *34. Wąglanowski maj poezji* (2015), *XIV Ogólnopolski Konkurs Pamiętnikarski* (Góry Mokre 1998), *I i II Ogólnopolski Konkurs Literacki im. L. Staffa* (Starachowice 1998, 1999), *Życie z przeszkodami* (Kielce 2005), *IV Ogólnopolski Konkurs Literacki Godność człowieka* (Kielce 2007), *Wojewódzki Konkurs Różne oblicza kobiet* (Kielce 2009).

### **Wydałam następujące książki w większości we własnym opracowaniu graficznym:**

*Dotknęłam ciszy drzew* – wiersze (1988), *Byłam na wrzosowisku* – wiersze, posł. H. Wolny (1992), *Sentymentalny niepokój* – wiersze, posł. H. Wolny (1993), *Jeszcze nie jestem ciszą* – wiersze, posł. H. Wolny (1993), *Grudki milczenia* – wiersze, grafika Maria Król, posł. Z. Antolski (1994), *Prześmiewki Kundzi Jojko* – opowiadania gwarowe, wstęp J. Wróblewski (1996), *Usypywanie cienia* – wiersze, pastele Marii Król, posł. S. Rogala (1997), *Fraszki – igraszki czyli notowania wewnętrzne na tematy zewnętrzne* (1998), *Przylądek zielonego nieba* – wiersze, wybór opinii krytyków (1999), *Portret słowoczuły* – wybór wierszy, posł. A. Smaga (2000), *Przenikanie światów* – poezja i malarstwo autorki,

wyбір opinii krytyków (2002), *Wpisuje się w sen liścia* – poezja i malarstwo autorki (wyбір opinii krytyków, 2005), *Fraszkozdieje i myślochwile* – wybór fraszek i myśli z lat 2004–2007 (2007), *Siódmy balkon światła* – poezja i malarstwo autorki, posł. Z. Antolski (2009), *Od batiara do Tatara. Ukraina w poezji i malarstwie* – wiersze, malarstwo (2009), *Kundzine Szprośniki* – opowiadana gwarowe (2010), *Po tej stronie błękitu* – poezja i malarstwo (2011).

Przez wiele lat byłam związana z Kielecko-Radomskim Klubem Literackim, w ramach którego reprezentowałam kieleckie środowisko literackie na forum ogólnopolskich zjazdów, plenerów, miotyngów literackich.

Jestem członkinią Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych od kilkudziesięciu lat, wiceprezes Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach oraz członkinią Związku Literatów Polskich (od 1994). Przez jedną kadencję byłam sekretarzem w ZLP O/Kielce i tamże jedną kadencję – wiceprezes.

### **Odnaczenia państwowe:**

Brazowy Krzyż Zasługi (1996), Zasłużony Działacz Kultury (2002), Srebrny Krzyż Zasługi (2003), Złoty Krzyż Zasługi (2012), Brazowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2007).

### **Nagrody regionalne:**

Nagroda Wojewody Kieleckiego (1995), Nagroda Prezydenta Miasta Kielce (1999), Nagroda II Stopnia Prezydenta Miasta Kielce (2007), Nagroda Marszałka Województwa Świętokrzyskiego z okazji 25-lecia twórczości literackiej i 30-lecia twórczości plastycznej (2007), Świętokrzyska Nagroda Kultury (2010), Nagroda II Stopnia (2012, za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej oraz upowszechniania i ochrony kultury), Statuetka „Świętokrzyskiego Gustawa” (2014).

### **Fragmenty wypowiedzi krytyków literackich**

Bogumiła Truchlińska

Słowo i milczenie: Człowiek w pułapce milczenia

Co uderza w tej poezji, stanowi jej istotę?

Bliższy wgląd pozwala na sformułowanie tezy: jest to poezja egzystencji, ale zawarta w niej filozofia egzystencji nie jest filozofią egzystencjalną. Jedyna prawda, „prawda prawd”, początek i koniec naszej

egzystencji, nie stanowi źródła rozpacz, tragedii, poczucia bezsensu, chociaż niekiedy autorka stawia pytanie: „krzyczeć czy milczeć?” (stąd, być może formuła stanowiąca tytuł jednego cyklu wierszy – Szeptokrzyki). Generalnie rzecz biorąc, człowiek – wędrowiec, *homo viator* tej poezji, nie jest zarazem Heideggerowskim „bytem ku śmierci”; śmierć otwiera inną – transcendentną perspektywę. Początek i Koniec to także (gdy autorka używa dużej litery) synonim Istoty Boskiej, nadającej sens wędrowce i cierpieniom.

W tej poezji brak buntu, owego „wadzenia się z Bogiem”, obecnego w poezji i filozofii odwołującej się do tradycji judaistycznej. U Władysławy Szproch jest natomiast ewngeliczno-chłopska pokora, pogodzenie się z losem (wyrokami boskimi) oraz wiara, iż prawdziwa historia człowieka toczy się w supernaturalnym wymiarze. [...]

Twórczość W. Szproch jest także odpowiedzią na apel wartości: piękno, prawda, dobro, istnienie, świętość zdają się być tym, co nawołuje do tworzenia, co stanowi o człowieczeństwie naszym tu i teraz, „zanim umrze metafora”. Czym jest wiersz, poezja Władysławy Szproch, jeśli nie zatrzymaniem i „pomnażaniem czasu?”.

**Zdzisław Łączkowski**

Poza tym, co nijakie i bez barwy

*Grudki milczenia* Władysławy Szproch należą do jednego z ciekawszych zbiorów poetyckich ostatnich lat. Jest to poezja bardzo mądra i odważna. Bo jest dzisiaj niewątpliwie odwagą mówienie poprzez wiersz o tradycji ziemi, bo jest odwagą sięganie do kultury wsi, a autorka to czyni wszystko bardzo dyskretnie i mądrze. Bo jest wreszcie odwagą mówienie pełnym głosem o przyrodzie i jej ścisłych związkach z człowiekiem. Człowiek, jego korzenie, natura – to *credo* Władysławy Szproch. Poetki czulej na wszystko właściwie, co nas otacza. Ale to wszystko ma swoją ciągłość i ma swój wielki sens tylko wtedy, jeżeli wypływa z miłości do świata i ludzi [...]. Władysława Szproch (i to chciałbym w szczególności podkreślić) ogromną wagę przywiązuje do kształtu i znaczenia słowa. Jest tym słowem urzeczona, ale ma również i wielki dla niego szacunek. Wie ponadto, że słowo niesie miłość, lecz i rani, a nawet zabija. Wie, że każde jej słowo powstaje z szacunkiem dla siebie samej i innych.

**Mirosław Wójcik**

W głąb kosmosu

[...] Najbardziej oczywistą, najmniej kwestionowaną cechą tej poezji jest totalność i wielowymiarowość artystycznej wizji świata, wytrwale penetrowanego wyobraźnią autorki. W tej poezji konsekwentnie i niezmiennie współistnieją najszerze wymiary ludzkiej egzystencji; podmiotowe „ja” i wieczność wszechświata. Dopiero w tak zarysowanej perspektywie spostrzec można niewyobrażalnie intrygujący fenomen życia człowieka, owej istniejącej drobinie materii, obdarzonej świadomością i ciśniętej w otchłań kosmosu [...].

**Stanisław Żak**

Poszukiwanie minionego czasu

Temat dyżurny w wierszach poetki to czas i skutki jego przemijania, stąd chyba głośne wołanie w tytule jednego z wierszy: „zatrzymajmy ten czas”. Po co? Czy po to, aby „zobaczyć ciszę”, albo też po to, „co jest między ciszą a słowem?”. Cała ta poezja jest pełna ciszy i spokoju, ale zarazem nostalgii i smutku za rzeczami, ludźmi, którzy wyłamali się z czasu, przekroczyli progi „ziemi obiecanej” i są „poza czasem nadzieją modlitwą” [...]. To eschatologia staje się niemal dominantą kompozycyjną, filozoficzną, która narzuca czytelnikowi określone wyobrażenia, a nade wszystko uświadamia mu, że „życie ludzkie zmienia się, ale się nie kończy”.

**Stanisław Rogala**

Usypywanie cienia

Egzystencjalizm tych wierszy (o zabarwieniu chrześcijańskim) jest wzmocniony specyficzną metaforą, w której często pojawiają się takie określenia, jak Początek i Koniec, ból, czas, śmierć, istnienie, ale również anioły, Bóg. Przeszłość objawia się poprzez coraz częstsze w tej poezji powroty do dzieciństwa. [...] Powroty odbywają się na wyższym szczeblu, na płaszczyźnie świadomości, w której poprzez odwołanie do ojca, matki, siostry, cmentarzy – usiłuje zrozumieć sens bytu, a przede wszystkim konieczność przemijania natury. [...]

## Wybrane wiersze

### Bosobieganie

Ścieżko ciekawości pełna  
i bosonogich wspomnień  
wijesz się dotąd we mnie  
jak stróżka czerwieni w żyłę

Nadziei pełna ścieżyno  
biegnąca samopas poza opłotki  
nawinięta na horyzont oczu  
jak zbawcza nić Ariadny

Bądź pozdrowiona drożyno  
na progu każdego wiersza  
bo jesteś godna śladu słowa  
jak tamtych dziecięcych stóp

### Homo viator\*

Oto ja  
Byt cielesno-duchowy  
Jedyna osobliwość  
Rozumnego świata

Jest we mnie  
Genetyka dziedziczenia  
Topografia dzieciństwa  
Kosmologia marzeń  
Filozofia bytu  
Optyka postrzegania  
Ekonomia czasu  
I chemia miłości

Jest we mnie  
Fizyka ciężenia ku ziemi  
I eschatologia nieznanego  
Jutra

Oto ja  
Tajemnica stworzenia  
Homo viator  
W drodze do Prawdy  
Ukrytej przede mną  
I przed całym światem

\* *Homo viator* – łac. Podróżny, pielgrzym

### Na śmierć lipy

wzięłam w dłonie polano  
ukłuła mnie w serce  
drzazga bezmyślności  
zgrzytnęła w uszach  
tartaczna piła  
zlepiły się słowa  
w bezkształtny ścier myśli  
zaszeleściła kartka  
wiórkami smutku

i cóż że pióro kreśli  
pszczoły drżących liter  
odurzonych miodnym kwieciem  
niedoszumiącego drzewa  
gdy na papier kapią  
ugry brązy popiół  
i gryzie w oczy dym  
zasilający chmurne niebo  
siwymi smużkami żalu

wycięto mi zdrową lipę  
– jaka głupia ta śmierć  
.....  
nie zdążyłam pozbierać  
spadzi słodkich słów  
ani wydłubać żałości  
frasobliwego świątka

### Jesienny podszept

muzykant wiatr jak Amfion  
przygrywa na strunach gałęzi  
tańczącym Eurydyko liści

frunie plejada latawców  
garściami rozsypanej tęczy

w taki malarski czas  
podaję ci poranek  
w ciepłej barwie ust  
i nagi kolor  
błękitnego  
spojrzenia

wejdź radośnie  
w paletę dnia  
w jesienny szelest  
pędzla

wylej na płótno  
ugier duszy  
wszelkie ochry smutku  
i namaluj *alla prima*  
słowny pejzaż  
w kolorze  
mojego  
szeptu

### Nutopejzaże

Zamykam oczy  
Przed trucizną ekranów  
Zatykam uszy  
Przed jazgotem polityków  
Zamieniam nostalgię Chopina  
Na płótnonuty  
Świątokrzyskich  
Oberków

Wystukują rytm pędzle  
Po klawiszach sztachet  
Wirują pasiaki kolorów  
Po pięcioliniach zagonów  
Osiadają na nutopejzaże  
Werniksy porannych  
Mgieł

Zamieniam plenerochwile  
Na m a r t w ą n a t u r ę c i s z y  
Własnego życiorysu  
I barwne płaszczyzny historii  
Małej Ojczyzny  
Kielecczyzny

### Przylądek zielonego nieba

nie bój się pory  
dojrzałych poziomek  
i nagłej wzajemności

popatrz

już każde źdźbło zieleni  
napięte jak struna harfy  
las nabrzmiwa muzyką  
i dłonie pełne zażyłości

przenieśmy te chwile  
na drugą stronę  
doliny s n u

gdzie z podskórnych rzek  
tryskają źródła  
wszelkich  
nieskończoności

### Wdzięczność

Mam zbyt krótkie ręce  
By objąć twoją dobroć  
Więc otulam ją  
Bluszczem słów  
Głębokosiężnym  
Spojrzeniem w oczy  
Pieczęcią dosytu  
Na ustach

Mam tylko jedno życie  
Więc wybacz proszę  
Że objąć nie zdążę  
Kosmosu twojej duszy  
Ale na pewno zdążę  
Rozjaśnić mrok  
Pomnożyć radość  
Otrzeć łzę  
Sercem otworzyć  
Niebo

Mam zbyt ubogi język  
By wypowiedzieć wdzięczność  
Kromką czerstwego wiersza  
Choćby odkrojoną  
Z pszenicznego bochna  
Najpiękniejszej  
Poezji

### Z podróży do źródła

zasypano mi w studni księżyc  
i roześmianą dziecięcą twarz  
próżno szukać gwiazdom  
odbicia swoich oczu  
próżno rozbłysnąć słońcu  
w mokrej blaszce wiadra

Zabito mi żywy zdrój  
i echo pierwszych słów  
drewnianym całunem nocy

wrasta czas cembrowiną  
w świeżą czeluść ziemi  
a tak nie przystoi studni



wieczny odpoczynek  
jeszcze mogła pracować  
na suchy oddech dnia  
jeszcze spijać z chmury  
bure grzywy deszczu  
jeszcze wygładzać lustrem  
moją zmarszczoną twarz

żegnaj czarna głębino  
(w mroku też jest światło)



Z Julianem Kawalcem



Kieleccy literaci na jednym z plenerów literacko-plastycznych.  
Od lewej: Kazimiera Szczukutowicz, Romuald Bielenda,  
Władysław Szproch



Anna Błachucka prowadzi spotkanie z Władysławą Szproch w roli Kundzi Jojko

Prezes Stanisław Nyczaj i wiceprezes Władysław Szproch odbierają  
Nagrodę Honorową dla Kieleckiego Oddziału ZLP (2014)

Fot. z archiwum WBP Kielce



## Autoprezentacja Zbigniewa Toborka

Urodziłem się w 1956 r. w Kielcach. W wieku kilkunastu lat uległem tragicznemu wypadkowi. W wyniku niefortunnego skoku do wody zostałem sparaliżowany. Lekarze nie dawali mi szans na przeżycie, a później na normalne samodzielne funkcjonowanie. W tym najtrudniejszym okresie życia nie otrzymałem wsparcia ze strony ojca. Zawiodł mnie też najbliższy przyjaciel, rówieśnik, o czym z goryczą do dziś wspominam w wierszach.

Tylko dzięki niezachwianej wierze w wartość życia i uporowi w ćwiczeniach wróciłem do społeczeństwa. Mimo utykania, poruszam się samodzielnie, pracuję od wielu lat jako logopeda z niepełnosprawnymi dziećmi.

Mam kochającą żonę Elę i syna Pawła. Nie oznacza to jednak, że moje kłopoty skończyły się całkowitym *happy endem*. Po przebytych urazie zmagam się ze stanami depresyjnymi i licznymi dolegliwościami będącymi smutnym dziedzictwem wypadku i późniejszym życiem z niepełnosprawnością. Ale wiersze moje są świadectwem walki z nastrojami pesymizmu, poczuciem odrzucenia czy chorobami somatycznymi, jakich los mi nie oszczędza. Są one wprost hymnem do życia, pochwałą istnienia. Są świadectwem, jak nieszczęście można zamienić w sukces, nawet ten zawodowy, że zostałem cenionym logopedą, co zawdzięczam swojemu jękananiu się w dzieciństwie i wytężonej pracy, aby pozbyć się tej dolegliwości, jak również dodatkowo móc pomagać innym. Gdyby mi przyszło scharakteryzować moje życie lapidarnym



stwierdzeniem, to powiedziałbym, co napisałem: „skazany na heroizm”. Moje wiersze z założenia mają służyć innym, dodawać ludziom otuchy i wiary w siebie. Trzeba walczyć z niesprawiedliwym losem, a przede wszystkim ze swoimi słabościami. Może właśnie dlatego moja ostatnia książka *Pozdrowienia dla wieczności* ma wydźwięk optymistyczny, jest tarczą przed niepokojem i rozpaczą – męską odpowiedzią na dokuczliwość losu dotykającego niesprawiedliwością cierpienia.

Debiutowałem w roku 1986 nagrodzonym arkušem poetyckim pt. *Nauka chodzenia*. W 2006 wydałem tomik wierszy *Zaproszenie do radości*, następnie w 2014 ukazały się aż trzy zbiorki: *Zaczarowany sen*, *Dzieci Pana Boga*, *Uczę się chodzić*, zaś w 2015 tomiki *Alter ego* oraz *Dziennik podróży*. Wspomniane *Pozdrowienia dla wieczności* wyszły w 2016 r., opatrzone wstępem Zdzisława Antolskiego i obszernym posłowiem Andrzeja Zaniewskiego.



Zbigniew Toborek z żoną Elżbietą na spotkaniu noworocznym Oddziału ZLP w kieleckim DŚT (2019)



Beata Kępińska udziela koledze autografu po swoim spotkaniu promocyjnym w DŚT (2019)

## Nie zgadzam się

Nie zgadzam się na umieranie  
na pustkę po sobie  
na brak ciała i myśli  
miłości tęsknoty  
na wyschłe piszczele otwarte oczodoły  
w których zamieszkają pająki  
na brak rąk i nóg

Boję się nieuchronności  
Bożego przeznaczenia  
niehumanitarnego końca  
ostatniej myśli zawisłej w bezkresie  
ataku lęku który mnie oślepi

Zawsze bałem się ślepoty  
nie wiem co będzie kiedy nic nie zobaczę  
na palcach poczuję lepką mgłę  
a pod językiem pieniędzy

*Kielce, 10.11.2013*

## Uczę się chodzić

Tracę wiarę w ludzi  
kręcę się w kółko jak ogłupiały  
zapominam o miłości bliźniego  
potykam się o drobne złośliwości  
tracę równowagę od pustych spojrzeń  
i wpadam w bezruch widząc ciągły pośpiech  
brakuje mi powietrza  
więc modlę się o zwykłe dobre słowo  
jak o chleb nasz powszedni

---

Głuchoniemy ociemniały  
stoję sparaliżowany na środku drogi

Uczę się chodzić

*Kielce, 4.11.2013*

## Życie

Przeleciało życie nie wiadomo kiedy  
jak trzaśnięcie drzwiami  
Nagie i nieoczekiwane  
i tylko mała szczelina między powiekami  
świadczy że żyję

Boję się że kiedy zrobi się przeciąg  
między nicością a wiecznością  
drzwi zamkną się jak moje oczy  
na zawsze

Zbieram się do podróży  
jak ptak jesienią do ciepłych krajów  
Pewnej nocy niepostrzeżenie odejdę  
i wiem że nie wrócę na wiosnę  
Bo nie będzie już pół roku świata i mnie

*Kielce, 18.11.2013*

## Wiekuiście szczęście

Nie wierzę w przypadki  
wszystko ma swoją przyczynę  
urodziłem się więc umrę  
umrę więc...

Nie rozstrzygam tej kwestii do końca  
zostawiam lekko uchylone drzwi

W sam raz  
na prześlizgnięcie się w wieczność  
na obłoki Pana  
na niebiańskie polany  
W wiekuiście szczęście

*Kielce, 6.11.2013*

## Spiesz się kochać siebie

Zasługujesz na swoją miłość do siebie  
to nic że nikt ciebie nie kochał  
właśnie dlatego pokochaj siebie  
na przekór wszystkiemu  
wbrew Losowi

Znajdź odwagę – wybierz siebie  
bo życia zostało niewiele  
i czasu niewiele na miłość  
Więc spiesz się  
spiesz się kochać siebie

*Kielce, 12.08.2015*

## Szczęście nie wiekuiste

Marzenia się spełniają  
trzeba tylko cierpliwie czekać  
długo czasem bardzo długo  
często całe życie  
więc czekałem

Każdego dnia wypatrywałem  
wśluchiwałem się w ciszę której było coraz więcej  
nie zamykałem drzwi na klucz  
buty stały gotowe  
i doczekałem się

Nagle wszystko stało się Poezją  
dnie zaczęły boleć i pięknieć  
(przez to że bolały były piękniejsze)  
słów wciąż brakowało

Wszedłem w jesień w szaleństwo kolorów  
świat stał się nierzeczywisty w przepychu umierania  
i ja nieoczywisty w ciągłej podróży w wędrowaniu  
Krok za krokiem dzień za nocą  
za wierszem wiersz

Mówią że marzenia długo wyczekiwane nie smakują  
tchną goryczą i pleśnią  
Nieprawda właśnie zakwita we mnie kolejny dzień  
wzbiera radością  
i szczęściem wcale nie wiekuistym

Kielce, 24.03.2014

## Czas na nadzieję

Jestem ja –  
jest cierpienie  
i jest samotność  
i niczego zmienić nie można  
gordyjski węzeł

Cóż znaczy mój ból gniew i żal  
cóż znaczą porywy serca i wzniosłość myśli  
I co pozostaje oprócz modlitwy  
i wiary że będę wysłuchany

A jednak cieszę się bo zabieram się za pisanie  
sięję słowa i czekam na wiersze –  
kiełkują we mnie jak wiosenna trawa

Kielce, 19.06.2015

## Opinie krytyków o twórczości Zbigniewa Toborka

Zdzisław Antolski

Wiersze Zbigniewa Toborka mówią o potrzebie rozmowy z drugim człowiekiem, o chęci zrozumienia jego racji. Miłość bliźniego w jego wierszach nie jest pustym frazesem. Dopiero obcując z bliźnim zaczynamy rozumieć sami siebie. Odrzucenie świata jest bowiem odrzuceniem siebie samego. Przejmująco mówi o tym wiersz *Cierpienie*:

Dostałem cierpienia  
i jak wielki grzesznik  
w gniewnym buncie odtrąciłem świat  
a później szukałem siebie –  
daremnie...  
w pokorze tęskniłem za najzwyklejszą rozmową  
i długo nie było mi dane...

Bardzo to mimo wszystko optymistyczne przesłanie. I choć wiersze Zbigniewa często mówią o cierpieniu i o samotności, to dają nam także nadzieję, że w serdecznym spotkaniu z drugim człowiekiem można odnaleźć szczęście i sens własnego istnienia. Lektura tych wierszy daje nam szansę na takie właśnie serdeczne spotkanie ze słowami poety, zwykłego człowieka, który jednak nie minie nas obojętnie.

Dlatego warto sięgnąć po te wiersze. Można z nich dowiedzieć się wiele o ludzkim losie, przemijaniu i wartościach, jakie niesie ze sobą przyjaźń, miłość i wspólne przeżywanie.

Ze wstępu do tomiku *Zaproszenie do radości*.

Andrzej Zaniewski

[...] Leży przede mną pięć zbiorów wierszy – pięć tomów najgłębiej osobistych przemyśleń, zwierzeń, wyznań, obrazów z przeszłości i obrazów nadziei.

[...] Poetyckie notatki, impresje, reminiscencje z czterdziestu lat życia, bowiem najwcześniejsze utwory z pierwszego opublikowanego w 2007 roku tomu *Zaproszenie do radości* pochodzą z roku 1975. I oba, zarówno *List* jak i *Nie było lata* posiadają przemyślaną kompozycję, świadcząc o profesjonalizmie zapisu i pełnej dojrzałości intelektualnej autora. Sprawdza się tu – jak i w całym zbiorze – forma wolnego wiersza, zwięzłej notatki z rozmyślań – doświadczeń – przeczuć – przeżyć ekscytującej, ekspresyjnej i pobudzającej wyobraźnię zaciekawionego czytelnika. Czy adresatem tych wierszy, świadczących o wielkiej wrażliwości i subtelności uczuć jest kobieta? Czy autor chce nas przekonać do

swej drogi życia i metafizyki tworzenia? Czy też jest to obszerny wykład o *ars poetica* Zbigniewa Toborka. A może manifest o potęgze uczuć, o sile miłości?

[...] W wierszach adresowanych do przyjaciela lirycznego – a raczej lustrzanego – tworzę tę nazwę, bowiem „bohater liryczny” brzmi już banalnie, przy ciężko i zbyt patetycznie – uderza nas właśnie taki spokojny, a nawet optymistyczny obraz nieuchronnych zjawisk przecież nieodwracalnych: pędzącego czasu, starości, przeznaczenia, obraz odmienny od pesymistycznych, katastroficznych wizji większości współczesnych pisarzy. [...]

Ta wyjątkowa – bo pogodna i radosna – interpretacja zarówno procesów dziejowych, jak i tych dotykanych, wewnętrznych, bezpośrednio dotyczących naszych starzejących się organizmów, wzbudzają zrozumienie i szacunek.

I tu zbliżamy się do słowa-pojęcia-klucza, do archetypu samotności – postrzeganego przez poetę wszechstronnie, przywoływanego w wielu wierszach we wszystkich pięciu książkach, niekiedy z pogranicza antynomii. [...] Konkretnej, a jakże gorzkiej samotności uczył się poeta w salach operacyjnych, w szpitalnych korytarzach, w chwilach załamania, oczekiwań i tysięcy drobnych klęsk i zwycięstw nad bezwładem, bezradnością, słabością... Strategia tej walki wymagała cierpliwości i uwagi, siły charakteru i oporu psychicznego, i oczywiście woli życia i przetrwania. Zmaganie z codziennymi lękami, a może i depresją, dla większości z nas niewyobrażalne, tu było codziennością, a przyszłość wciąż wydawała się ziemią nieznaną. Dziś znany już jest epilog, a te niezwykle w ustach poetów słowa „Jestem szczęśliwy” świadczą o pełnej wygranej z losem. Te wiersze są przecież notatkami ze stanu choroby, dowodami jej przezwyciężania, rozliczania z chwil rozpaczki, wyobcowania, odtrącenia, lęku...

[...] Zbiór *Dzieci pana Boga* – to następne ogniwo w dziele poety, w misji wyjaśnienia zaga-dek losu, celu i sensu życia, a mówiąc prościej: wzruszająca, liryczna opowieść o codziennej pracy z niepełnosprawnymi umysłowo i fizycznie. Autor przedstawia nam barwne sylwetki swoich podopiecznych, tłumaczy ich uczucia, zachowania, zachwyty i bunty... Ale jak przedstawia! W alfabetycznym porządku stają przed nami dziewczęta i chłopcy... Niezwykli, wrażliwi, pełni wewnętrznego ognia i nadziei, tęskniący, pokrzywdzeni przez los, a przecież niepoddający się, ufni, świadomi siebie... Po mistrzowsku rysuje poeta ich osobowości, charaktery, sylwetki... Kilkunasto-, lub kilkudziesięciowersowy utwór staje psychologicznym portretem osobowości, dokumentem-relacją ze spotkania-rozmowy-zdarzenia... i sekwencją kadr za kadrem... z nigdy nie nakręconego filmu... [...]

W tym samym owocnym roku 2014 ukazał się jeszcze zbiór zatytułowany *Uczę się chodzić* – czwarty w dorobku Zbigniewa Toborka. Zastanawiałem się, skąd ta potrzeba powrotu, ponownego nawiązania do tragicznych wydarzeń sprzed kilkudziesięciu już lat – tragicznego skoku i upadku, złamania kręgosłupa, wieloletniej rehabilitacji? Przecież zostały napisane już po... w chwili zwycięstwa, przełamania nieszczęścia, powrotu do normalnego lub w miarę normalnego życia. Po gruntownej lekturze rozumiem – to opisanie życia było konieczne, trzeba wyjaśnić niewyjaśnione, uzupełnić prawdę i stanąć odważnie twarzą w twarz z przeszłością, znając już przyszłość.

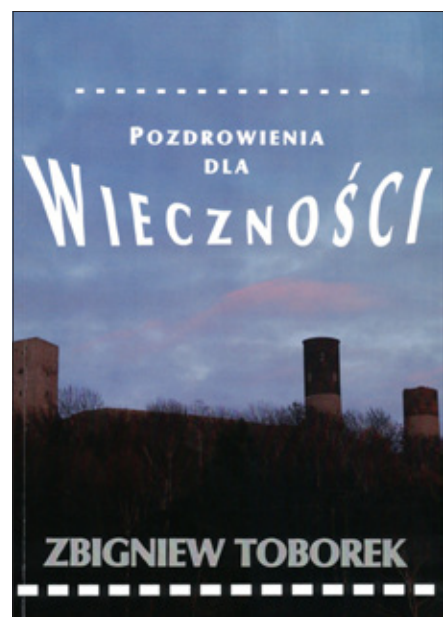
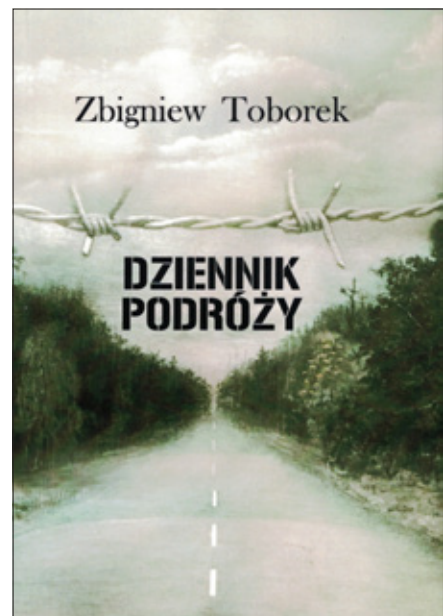
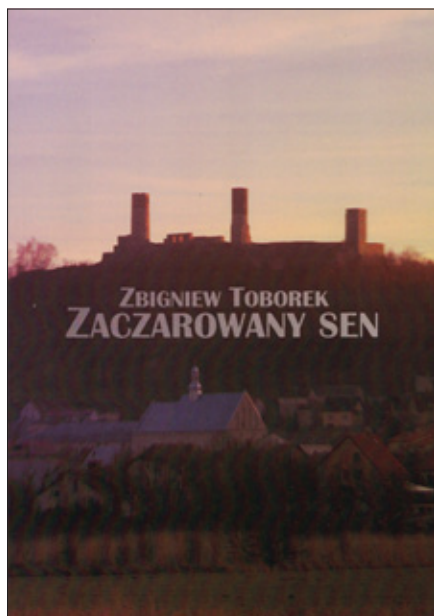
[...] Zbiór *Uczę się chodzić* to nie tylko przywołany z pamięci dokument zwycięstwa nad chorobą, ale również kronika dojrzewania poety-artysty-człowieka, dziennik, niemal scenariusz wzruszający precyzją zapisywanych doznań i uczuć, upokorzeń i zwycięstw, po prostu znakomicie napisana, wyjątkowa książka o stawaniu się pisarzem i nauczycielem, o hartowaniu talentu i wrażliwości.

Fragmenty posłowania z tomu poetyckiego *Pozdrowienia dla wieczności* (Kielce 2016).

Elżbieta Musiał

## Prozja Zbigniewa Toborka

Zbigniew Toborek w swoich wierszach pochyla się nad ludźmi pokrzywdzonymi przez los, ale którzy nie zawinili. Przygląda się im, jak nieciekawie prezentują się w krajobrazie tego świata. Jest to refleksja nad ich psychofizycznym stanem. Bo to, co dla większości z nas jest mechanicznym działaniem, dla nich staje się wyzwaniem lub czymś nieosiągalnym. Oni nie są pięknoduchami. Nie sposób więc o nich pisać poetyckimi ozdobnikami. Byłoby to wręcz niestosowne. Toborek używa do tego mowy zwyczajnej, prostej, najcichszej, jaka przystaje do ICH prozy życia. I nie ma tam uzalania się, litowania nad krzywdą czy epatowania nią. Jest za to życie opowiedziane w stonowany, a nawet szary sposób. Tak, szary jest tam kolorem dominującym. Ale czy zrodzonym z tej mowy obrazom można odmówić poetyckości? Różewicz raczej by się temu sprzeciwił. Bo nie można wykluczyć spod prawa poezji obrazów o ludzkiej niedoskonałości czy wręcz ułomności, ani nie można wykluczyć pewnych „bezskrzydłych” tematów. Zresztą, gdzie przebiega granica między poezją a prozą? Dziś poezja przechyliła się w kierunku prozy. Takie są trendy. Nie bez powodu weszło w użycie określenie „prozja”. I propozycja Toborka właśnie się w nie wpisuje, czyniąc ją przez to niesztampową.



## Autoprezentacja Anny Zielińskiej-Brudek

Anna Zielińska-Brudek w przeszłości nauczycielka, dziennikarka i policjantka. Wydała 4 tomy poezji: *Gorzkie owoce*, *Tymczasowi*, *W oknie zaufania* oraz *Ugina się dzień*. Współredaktorka książek: *Duszpasterstwo Policyjne* oraz *Policjanci wczoraj i dziś*. Autorka tekstu *Kolędy od policjantów*, pierwszego tego typu utworu w kraju. Kompozytorem muzyki do najnowszej wersji kolędy był Romuald Lipko założyciel Budki Suflera. Napisała teksty 3 hymnów: dla Zespołu Szkół Powiatowych w Bodzentynie *Mowa ojczysta jest tu*, LO im. ks. kard. Stefana Wyszyńskiego w Staszowie *Pieśń dla mojej szkoły* oraz dla Zespołu Szkół Nr 1 we Włoszczowie pt. *Nasza szkoła, to nasz kraj*. Jest autorką słów do hymnu dla niepełnosprawnych *Od miłości do świętości* oraz pieśni *Niejedno serce* poświęconej Papieżowi Janowi Pawłowi II. W 2020 r. zajęła I miejsce za wiersz *Czas mój jest bliski* w konkursie poetyckim XVI Festiwalu Wielkopostnego organizowanego przez WDK w Kielcach.

Należy do Związku Literatów Polskich. Odznaczona Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz Brązowym Krzyżem Zasługi. Za osiągnięcia twórcze dwukrotnie nagrodzona przez Prezydenta Miasta Kielce (2015, 2020). W 2019 otrzymała odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przyznaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

### Od siebie: Dzięki pisaniu świat nie ucieka

Urodziłam się w Bogorii. Pochodzę z Łazisk, małej, malowniczej miejscowości w Świętokrzyskiem. Było nas pięcioro rodzeństwa. Z dzieciństwa pamiętam zapach chleba, który piekła mama, samowar przywieziony przez ojca z byłego Związku Radzieckiego i ciężką pracę na roli.

Po ukończeniu LO w Staszowie nie dostałam się na studia. Marzyłam od dziecka, żeby zostać nauczycielką. O takiej możliwości dowiedziałam się z radia. 10 sierpnia 1980 roku spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i wraz z koleżanką pojechałyśmy do dawnego województwa białkopodlaskiego, gdzie zatrudniano takich jak my, niewykwalifikowanych nauczycieli.

Wysiadłyśmy na pierwszym przystanku za Lubartowem i idąc pieszo 3 km dotarłyśmy do szkoły w Siemieniu. Dyrektor zaproponował nam pracę w pobliskim Amelinie, gdzie uczyłam języków polskiego i rosyjskie-



go oraz WF-u. Podnosiłam kwalifikacje pedagogiczne w Studium Wychowania Przedszkolnego w Białej Podlaskiej, studiując jednocześnie w bydgoskiej WSP. Wracając ze studiów do podlaskiej wioski nad ranem, przebierałam się i z marszu, bez odpoczynku rozpoczynałam lekcje. Przygotowanie konspektów bez maszyny do pisania, ale z troską o wymawiane i pisane słowo, która do dzisiaj pozwala unikać błędów ortograficznych. Czy niewiele starsza nauczycielka mogła przekazać coś wartościowego i zapadającego w pamięć swoim uczniom? Przyznam nieskromnie, że chyba tak, bo do dzisiaj już po 40 latach jestem zapraszana na spotkania ze swoimi wychowankami. Miejsce mojej pierwszej pracy to przysiółkowa wioska zabita deskami. Brak jakichkolwiek rozrywek powodował ucieczkę w świat, jaki rysowała w mojej głowie wyobraźnia i dziecięce marzenia – poezja! Do niej uciekałam. Zaczęłam pisać. Los się uśmiechnął czy może było to przeznaczenie, bo w ogólnopolskim konkursie poczytnego „Słowa Podlasia” mój wiersz *Zdążyysz* zdobył I nagrodę i to zdecydowało o moim późniejszym życiu. Radość nie miała granic! Znalazłam swoje powołanie. Pisać! Był rok 1983. Pamiętam do tej pory słowa krytyka literackiego Zygmunta Mikulskiego z Lublina, który powiedział: „Pisz, dziewczyno, jesteś jak nieoszlifowany diament”.

Dostałam propozycję pracy jako korektorka w „Słowie Podlasia” w Białej Podlaskiej. Tam zdobywałam dziennikarskie szlify. Doskonaliłam także warsztat twórczy, poddając ocenie swoje wiersze opiniom

znanych krytyków literackich m.in. Piotra Kuncewicza czy Stanisława Jana Królika. To oni decydowali o ich wartościach i wyborze do publikacji w almanachu „Prezentacje” wydanego w 1984 r. przez Klub Literacki „Maksyma” w Białej Podlaskiej. Rok później moje wiersze zamieszczał również Dwutygodnik Społeczno-Kulturalny „Kamena”, „Sztandar Ludu”. Wiersze prezentowane były także na antenie Polskiego Radia. W tym samym czasie współpracowałam ze „Sztandarem Młodych” i gazetą „Nowa Wieś” dzieląc się konkretną wiedzą o wydarzeniach trudnych, bolesnych, wymagających wsparcia i pomocy.

Tęskniłam za rodzinnymi stronami. Po pięciu latach tułaczki, w 1985 r. wróciłam do ukochanych sandomierskich nizin. Rozpoczęłam pracę w „Tygodniku Nadwiślańskim”. Zarzuciłam pisanie wierszy, wciągnęłam mnie dziennikarstwo. Najbliższa była mi tematyka społeczna i kryminalna. Pomoc przez nagłośnienie w gazecie zjednywała mi sympatię czytelników. Materiały „Nie było miejsca dla Ciebie” czy losy narkomana z Nowej Dęby, którego nocne wycie niosło się przez miasto zapadały w pamięć czytelników, powodowały lawinę bardzo osobistych listów. Tak, faktycznie, wtedy interwencje prasowe miały wpływ na kreowanie i poprawę rzeczywistości. Nie ominęła mnie polityka. W 1990 r. pisałam cykl materiałów o ludziach Solidarności. Nie było ich tak wielu: Stanisław Kielek, Stanisław Krupka, Jacenty Jędruch, Marek Chruściel czy Anna Żmijewska internowana w Gołdapi razem z Izabelą Cywińską. Dziś żyjąc w zapomnieniu patrząc ze zdziwieniem i pobłażaniem na obecnych, nieznanych wcześniej pseudoopozycjonistów piastujących dzisiaj funkcje starostów czy inne wysokie urzędy i z wielką ochotą wypinają piersi do orderów. Pytałam o tych ludzi bohaterów moich artykułów; nikt o nich wówczas nie słyszał. To przykre, jak pod wpływem politycznej koniunktury rodzi się w takich głowach ideologia i dbałość o własną karierę i kieszeń.

Interesowała mnie także ciemna strona życia. Głośne na całą Polskę podwójne zabójstwo w Stalowej Woli, gdzie po materiale musiałam zeznawać w Prokuraturze, skąd znam fakty, o których prowadzący nie mieli pojęcia? A na rozprawie sądowej jeden z oskarżonych wskazując na mnie krzyknął „Przez Ciebie k... tu jesteście!”. Zabójstwo tarnobrzegskiego cinkciarza i kilka innych, a potem wywiad z Komendantem Wojewódzkim Policji w Tarnobrzegu, który znając już moje zainteresowania kryminalne zaproponował stanowisko rzecznika Policji. Zastanawiałam się nad podjęciem decyzji przez trzy miesiące. Środowisko dziennikarskie zniechęcało mnie. „Zostaniesz szarą

masą policyjną”, słyszałam. Podjęłam decyzję, kiedy nieodżałowany senator Zbigniew Romaszewski, oprowadzając mnie po Sejmowych korytarzach, powiedział: „Idź do tej policji, bo potrzebni są tam nowi, nasi ludzie”. Poczułam się jak zdrajczyni, wmawiając sobie oraz innym, że do policji pchnęła mnie ciekawość i chęć przeżycia przygody. Początki służby, założony mundur bardzo ograniczały moją wolność, obcy wojskowy dryl, podpisywanie listy, stanie na baczność przed przełożonymi, wykonywanie rozkazów bez dyskusji. Traciłam pewność, kiedy dziennikarze zadawali kłopotliwe pytania, a ja po drugiej stronie jako „tarcza” komendanta.

Upłynęło wiele czasu nim doszłam do wniosku, że przejście do policji to nie eksperyment, ale dobry wybór kolejnej drogi zawodowej. Nowo powstała Policja nie miała jeszcze dobrych notowań. Mimo to czułam, że tam jest moje miejsce. I znów nie mogę ukryć swoich zasług, bo do niedawna ta znieawidzona przez społeczeństwo instytucja zaczęła odzyskiwać ludzką twarz. Na konferencje prasowe często organizowane przeze mnie przychodzili wszyscy ówczesni postowie i senatorowie, dzisiaj już zapomniani, ale na trwale zapisani w walce o lepszą Polskę: Marian Dojka, Jacek Bujak, Władysław Liwak. Po raz pierwszy też na jednym ze spotkań poznali się ze sobą polityczni antagoniści Jerzy Jaskiernia i Zbigniew Romaszewski. Wspólnie podjęli wtedy decyzję o interpelacji poselskiej, bardzo ważnej dla służb mundurowych.

Nie ukrywam, że byłam za to doceniana. Nagrodą było skierowanie do Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie, którą ukończyłam w 1998 roku. To były szczególnie ważne lata, które wspominam jako dające spełnienie w służbie człowiekowi. Nie zapominałam o pisaniu artykułów, współpracując z różnymi gazetami. Świat zdarzeń policyjnych znałam już doskonale i dzieliłam się nim z czytelnikami. Aż przyszedł 1999 rok, administracyjna reforma. I znów trzeba było podjąć trudną decyzję. Zostać w powiatowym Tarnobrzegu czy iść za głosem ówczesnego Komendanta Wojewódzkiego Policji w Kielcach, Jana Pola, który wskazywał Kielce i Biuro Prasowe. Dokonałam wyboru i przeniesiliśmy się z mężem do Kielc.

Wszystko uległo zmianie. Trudne lata, kiedy zabrakło pomocnej dłoni. W kieleckiej Komendzie przez wiele lat wszystko było „mane, tekel, fares”, a ja nie pasowałam do Biura Prasowego i zamieniłam je na Wydział Ruchu Drogowego, zajmując się profilaktyką i edukacją. Tak jak w każdej pracy, oddałam jej serce i umiejętności, jakich coraz więcej zdobywałam. Starłam się docierać do przeciętnego człowieka:



młodzieńca, dzieciaka, wskazując na postawy i zachowania, jakie powinien prezentować odpowiedzialny kierowca czy pieszy. Sądzę, że choć w małym stopniu, to jednak cel osiągnęłam; znów wyrazem tego są liczne dowody uznania.

Służąc w policji, na kilka lat porzuciłam swoją pasję – pisanie wierszy. Raporty, meldunki, notatki, urzędowy język odzierają ze złudzeń, że w policji będę mieć coś wspólnego z poezją. Przełomowy okazał się rok 2008, kiedy to w kieleckim Pałacyku Zielińskiego natknęłam się na Stanisława Nyczaja, Prezesa ZLP w Kielcach. Podeszłam przerywając mu ożywioną rozmowę z żoną przy kiermaszu książek. Przypomniałam wspólny pobyt na literackim seminarium w 1984 roku w Gdańsku i jego pamiątkowy wpis na tekturowej okładce: „Poczekaj, Aniu! Jeszcze te najlepsze wiersze przyjdą tłumnie i Cię nie opuszczą”. Wtedy to po kolejnym, twórczym spotkaniu w domu Irenki i Staszka Nyczajów postanowiłam pogodzić dwa odległe światy i służąc w policji otworzyć drzwi do poezji. Otworzyć w sensie dosłownym: szufladę, w której nagromadziłam mnóstwo wierszy, w sam raz na wydanie tomiku. Kiedy mąż Mirosław wyjechał na kilka miesięcy do Anglii, zebrałam w całość napisane wiersze. To także dzięki niemu ukazał się w 2009 roku mój tom poezji pt. *Gorzkie owoce*. Poczułam ogromną ulgę, bo powrót do pisania zaspokoił moją wewnętrzną potrzebę wolności, uwolnił ze złych emocji i stał się przywilejem, którego nikt nie jest w stanie odebrać. Kolejne tomy poezji powstały w latach 2015-2018. W lutym 2018 roku, po 27. latach służby w policji pożegnałam się z mundurem wierszem *Pora na do widzenia*.

Myśląc o kolejnych publikacjach, przypominam sobie słowa, które Wiesław Myśliwski powiedział na jednym ze spotkań autorskich: „Ktoś, kto pisze książkę powinien się zastanowić, czy na tę książkę warto ścigać sosnę”. To pytanie nurtuje mnie cały czas.

Będę jednak pisać, utrzymywać moją ojczyznę, którą mam w sercu, to są wszystkie doznania, jest to moja przeszłość, a także wstyd i duma. Próbuję zrozumieć w Polsce to, co mi się nie podoba, i jestem dumna z tego, co mi przynosi radość. Polska to są tradycje, patriotyzm, moje korzenie, mowa ojczysta. I to niebo... My się zmieniamy, a niebo jest to samo. Kołysze się nad nami, układa historie. Choć wydaje się dalekie i często groźne, to jednak znane, kochane, bo moje, polskie...

## Może być Ania

Taka malutka,  
w buciorach szarpanych  
wątpliwościami,  
opuściła oślą ławkę  
i człapie po ulicach miast  
w oczekiwaniu na egzaminy.

Te częste podróże  
po rozum do głowy,  
to bruzdy na sercu  
z niepotrzebnych  
i potrzebnych namiętności,  
to odwrócone plecy  
od ludzkiej głupoty  
i ciepłe spojrzenie  
za odchodzącym czasem.

Taka malutka,  
może być Ania.

## Kulawy Anioł

Potknął się o mój oddech.  
To było w ubiegłym wieku.  
Porzucił na jałowej glebie.  
Sprawdza do dziś obecność.  
Jestem jego kulą u nogi.

Zmienia wciąż pieluchy,  
wystawia liche cenzurki.  
Za wagary, błędne ściagi,  
skorupy rozbitego dnia  
i pokruszoną miłość.

Za te uskrzydłone randki,  
z jednookim snajperem,  
co nosi klepsydre białą.  
strzela umyślnie złem  
i w czarnej zamyka ramce.

A mój anioł nosi kulki,  
zmienia tor pocisków.  
I turla się ze śmiechu.  
Dał mi swoje piórko,  
kazał napisać „nic darmo”.

## Pustka

To matecznik samotności  
i próchno bez trzewi.  
Gangrena do wycięcia,  
co poci się ze strachu.  
I zna słowo „gore”.

Pustka to czyścić,  
tarzanie się w ogniu.  
Drogowskaz odkupienia,  
ze śwędem popiołu.  
A po niej tylko Feniks.

## Poduszka

Przyjaciółka, białym snem napełniona,  
pierwsze i ostatnie czuje tchnienie.  
Jak spowiednik od kołyski po zgrzyt wieka,  
nadziejami zabrudzony rozum szoruje.

Turlają się zbłąkane zapachy miłosne  
moje, twoje i nasze gorące spełnienia.  
Rzednieje poduszka i to psie przywiązanie,  
daje się potarmosić, przynosi też zdradę.

Kwili sumieniem – taka naga poniewierka,  
poci się porzucona nałożnica, wala  
gdzieś tam po cudzych kątach wprost  
[bezwstydną czasem,  
przywiera na jutro aż do zmęczonej ściany.

Spod konającej głowy często wyrywana,  
czeka, powiernica, na sekretne wyznania.  
Ciekawością nadęta, układa marzenia.  
Takie to życie od poduszki do poduszki.

## Pył słów

Poklepujący się po plecach  
politycy krótkiego żywota  
wszczynają tumany kurzu.  
Każą się nosić na rękach,  
kichać za ich zdrowie  
w podzięce za katar,  
rybie oko i długie nosy.

W ciasnym kurniku,  
słabo oświetlonym,

proszę państwa,  
zbłąkany pył słów  
polityków ulotnych  
dodaje, mnoży, dzieli.  
Rządzi kurzą ślepotą.

## Natura kałmuka

Jaśnie panie, w dechę jest!  
Język mam giętki do gadki  
i kark do czapkowania.  
Puszczam oczko,  
na dorobku jestem.  
Przy każdej pogodzie,  
od zawsze i teraz  
ćwiczę ukłony.

Datki, jaśnie panie  
w samej rzeczy tak.  
Pospołu z tobą cierpię  
na wrodzoną chorobę  
głaskania po plecach  
i stopach pomagierów,  
czarta rozdającego karty.  
Taka Polska właśnie.

## Jest we mnie ten Bałtyk

W słonecznej melancholii  
jaśnieje fala za falą.  
Płynie bez uwięzi  
łagodny śpiew morza,  
rozlewa przyszłość.  
Z wdziękiem promieni  
dodaje, mnoży cuda  
na wyspie codzienności.

Nie mniej, niż chmury  
spojrzenia przyciągają  
sztorm i skulone mewy.  
Ponaglone wiatrem,  
szumią gniewnie skrzydłami.  
Ostrzą sobie zęby i pazury  
na chwilę słabości  
rozkołysanej żaglówki.

Jest we mnie Bałtyk  
ten, który przepływa,  
uczy mnie czytać

od ubiegłego wieku.  
Patrząc na niego  
nie boję się starości.  
Zabiera ład, odpływa,  
lecz nie odchodzi.

### **Pora na do widzenia**

Lecą już bez uwięzi  
moje myśli  
z pytaniami  
o drogowskaz,  
inne spojrzenie,  
na nowe widoki.  
W ciszy się zrodziły  
jak największe cuda.

Pora na zmianę,  
szepczę uśmiechem.  
Bez kagańca  
od wspomnień,  
niemych uścisków  
na do widzenia.  
Jak odnajdę się  
przy innej pogodzie?

Jak odnajdę się  
przy innej pogodzie?

### **Nie gaś światła matko**

Nie gaś światła matko,  
bądź tam gdzie zawsze,  
spojrzenia w dal posyłaj  
na piskłeta uskrzydłone.  
Ciepło Twoich dłoni  
panuje nad ich strachem.

Tak naprawdę wszystko  
jest do pokonania,  
lecz najpierw  
trzeba się zmierzyć  
i zmóc ze słabością.

Nie gaś światła matko,  
od zachodu smętne cienie  
snują się to tu, to tam.  
My wędrowne ptaki  
pokaleczeni, nawet we mgle,  
wrócimy do swoich gniazd.

Nie gaś światła matko,  
czarne chmury nad nami,  
pochlipuje strojna łąka  
z tęsknoty za tym, co było.  
Dziś jeden kamyk za dużo,  
obcy, w ciemności uśpiony.

Błysk w nocy, to na pogodę,  
bo jest coś od nas większego,  
modlitwa nad drobiną chleba.  
Nie gaś światła matko.  
Trzeba tylko chcieć  
i otworzyć człowieka.  
Nie chować głowy w piasek,  
bo tego, co niemożliwe  
nie ma.

*Kielce, maj 2020*

### **Idę do Ciebie**

Idę do Ciebie po chwilę milczenia,  
w pokoju, gdzie brak zegara,  
a czas słyhać tylko w pukaniu  
tęsknym do drzwi Twego serca.  
Kiedy je otwieram i zamykam,  
radość czuję, a inni smutek.

Jestem, przytul ramionami ciszę  
w naszych spojrzeniach.  
Niech unosi się w powietrzu  
zaufanie między niebem a ziemią.  
Wyplatane w tajemny sposób,  
by nie błędzić nawet w snach.

*Kielce, lipiec 2020*



Toast po promocji tomiku *Tymczasowi* (DŚT 2012)

## Krytycy o twórczości Marii Włodno

### ***Kieszeń pełna niczego, IW Pax 1979***

To debiut literacki, który dowodzi – jak stwierdzają recenzenci – wyrazistych zdolności obserwacyjnych, umiejętności operowania słowem w opisach oraz – co szczególnie godzi się podkreślić – nie tylko estetycznej, lecz także etycznej wrażliwości na świat i ludzi. Akcja dzieje się w czasie juwenaliów w środowisku studenckim.

Dla wielu współczesna młodzież jest nieomal jakąś inną, obcą rasą. Natomiast Maria Włodno opisuje jej specyficzny sposób myślenia, postawy, obyczaje, kulturę – jako ktoś spośród nich.

Wraz z grupą przyjaciół głównej bohaterki, Marty, krążymy po mieście w czas juwenaliów. Obserwujemy barwną mozaikę przebierańców podczas „nocy wysoków”. Spotykamy mieszczan opancerzonych w garnitury i uniformy sztucznej powagi. Wstępujemy do nocnego klubu. Śledzimy dyskusje pomiędzy przypadkowymi uczestnikami spotkań.

Z krótkiego dziennika przebija wielka siła optymizmu i młodości. Życiowa energia młodego pokolenia wkraczającego dopiero w dorosłość.

„Juwenalia. Lubię ten nastrój, kiedy codzienność tańczy, rozluźnia się i staje na głowie. Brakuje nam takiej terapii dla dorosłych. Może byłoby mniej zakłamanie, weselsi i bardziej ludzcy. Oj, brakuje brakuje!”

Na podst. recenzji Marka Różyckiego *Słońce w kapeluszu*, „Literatura” 1980, nr 423.

### ***Sumienny mały mechanizm, Wydawnictwo Łódzkie 1987***

O książce tej wiele się mówiło w rozmowach prywatnych. Docierały do mnie bardzo pozytywne opinie, byłam obficie cytowana, co jest wielkim komplementem dla autora. Nie pojawiały się natomiast żadne recenzje choćby zbliżone poziomem do książki. Moja powieść została wyróżniona w ogólnopolskim konkursie zorganizowanym z okazji 40-lecia Polski Ludowej. Jednak polska rzeczywistość lat osiemdziesiątych biła po twarzy ludzi ciężkiej pracy, którzy czekali na lepsze jutro. Dlatego środki masowego przekazu unikały wypowiedziania się na temat tego „sumiennego małego mechanizmu”, czyli sumienia w polityce.

Książka stawiała pytanie: Czy ów tytułowy mechanizm wmontowany w duszę człowieka XX wieku można bezkarnie ignorować?

A właśnie bohater powieści, prominent, uważał, że aby odnieść w życiu sukces, trzeba kłamać, kraść



cudze osiągnięcia, łamać zasady uczciwości, zaś sumienie zmusić do milczenia.

Bohater jest redaktorem naczelnym gazety, a jednocześnie poetą. Ktoś pyta o dorobek literacki tego człowieka zwanego Szeferem.

„ – Niech pan powie, co wydał ten wasz Szefer? – zapytał półgłosem.

– Co wydał? Wydał trzy broszurki i jednego przyjaciela – odrzekł tak samo kolega Kazik.”

I opinia kolegów na temat Szefera:

„Sprzecza się:

– Nie masz racji! Czasem mi go żal! Ten facet w gruncie rzeczy nie jest taki zły.

– To jest świnią, która dojrzała do swego świńskiego przeznaczenia, ale za każdym razem, gdy jej to grozi, układa swój ryj w ludzki wyraz twarzy”.

A więc nie miałam opinii literackich wyrażonych na piśmie, jednak nie narzekam. Czytelnicy wykupili niemal do ostatniego egzemplarza *Sumienny mały mechanizm*. Powieść dość szybko zniknęła z półek. I to jest najlepsza recenzja!

### ***Oddech smoka, Wydawnictwo Szumacher 1996***

Chcę mówić o intrygującej książce pt. *Oddech smoka* – zapowiada autor recenzji prof. Stanisław Żak. – *Oddech smoka* albo współczesna apokalipsa – dodaje. Po przeczytaniu powieści można dojść do wniosku, że ludzie i zdarzenia są tu tylko ilustracją nadrzędnej tezy, która brzmi tak: Żyjemy w świecie apokalipsy, permanentnego zagrożenia, bo zrezygnowaliśmy albo lekceważymy odwieczne i uniwersalne prawa moralne. Można nawet posłużyć się odpowiednim cytatem z powieści. „Zmiany szły jedna po drugiej

i na oczach Kazimierza waliły się rodziny, struktury, ceny, autorytety i systemy wartości” (s.75).

Jest to lektura pobudzająca do myślenia, czasem do NATYCHMIASTOWEJ POLEMIKI, stawiająca pytania adresowane do każdego i do wszystkich.

Recenzja Stanisława Żaka, „IKAR” 1996, nr 9.

### **Księżniczka Alicja, OW „STON 2”, 2000**

Już lektura kilkunastu początkowych stron *Księżniczki Alicji* pokazuje, jak sprawnym warsztatem pisarskim dysponuje autorka. Jak ciekawie i z jaką znajomością rzeczy charakteryzuje wiejskie środowisko widziane oczami młodej nauczycielki, bohaterki utworu. Wiejska szkoła staje się ciekawym polem obserwacji dla pełnej energii i życiowego entuzjazmu Alicji, inteligentnej, ambitnej idealistki. Ma więc Alicja swoje niewzruszone zasady, którymi się kieruje, ponadto wierzy, że nad jej postępowaniem czuwa Opatrzność. Do niej się też często odwołuje. Rzeczywistość okaże się niejednokrotnie daleka od ideału i trzeba będzie się z nią zmierzyć. Może się niekiedy wydawać, że bohaterka jest zbyt młoda na różne życiowe przemyślenia, ale Alicja to przecież dziewczyna o szerokim horyzoncie umysłowym, a młodość ma to do siebie, że bardzo szybko rozeznaje, rozszyfrowuje świat. Wszystko, co się dzieje wokół, ogarnia w sposób żywy, świeży, bez ciężaru, jakim stają się doświadczenie i rutyna. Ta młoda bohaterka od początku do końca powieści nas intryguje, fascynuje, niekiedy nawet irytuje, ale nie sposób przejść obojętnie wobec takiej osobowości.

Na podst. recenzji Krystyny Cel pt. *U progu dorosłości* z książki *Między dawnymi i młodszymi laty*, Kielce 2011.

Alicja fascynuje i intryguje także dzisiejszych czytelników, gdyż na facebooku, gdzie jest publikowana w odcinkach [na stronie Maria Włodno] osiąga do 20000 „wejść”.

### **Uczeń profesora Cyrusa, Wydawnictwo Amerigo, 2005**

Książka ta jest moim debiutem w kategorii powieści dla dzieci. W 2006 roku otrzymała rekomendację Fundacji ABC XXI „Cała Polska czyta dzieciom” jako książka atrakcyjna, pomagająca budować prawdziwy system wartości.

Bohaterem jest dorastający szczurek Guccio. Żyje on we wspaniałej, kochającej się rodzinie mieszkającej na strychu domu dziecka. Bawi się i radośnie odkrywa

świat ze swoim bratem, Ezechielem, którym Guccio jest zafascynowany. Obydwaj są uczniami profesora Cyrusa, szczura mędrca, który wprowadza ich w świat cywilizacji ludzkiej. Ten szczęśliwy rozwój intelektualny przerywa ciężki wypadek Ezechiela, któremu grozi śmierć, jeśli nie dostanie lekarstwa ratującego życie. Guccio więc wyrusza na niebezpieczną wyprawę, aby zdobyć to lekarstwo.

Dramatyzm sytuacji przeplata się w tej opowieści z momentami radosnymi i wzruszającymi. Mroźne klimaty równoważy ciepło rodzinne, zaręczyny, ślub i Boże Narodzenie.

Akcja toczy się we współczesności, a szczerom pomaga w ich szczurzym życiu to, czego nauczyły się w szkole profesora Cyrusa: obsługiwanie zdobyczy elektronicznych, czyli telefonu, komputera, oraz nauczenie się ludzkiej mowy.

Książka fascynuje dzieci i dorosłych, gdyż jest alegorią naszego życia.

### **Słowa prawdziwe, OW „STON 2” 2014**

Niewielki zbiorek poezji Marii Włodno pt. *Słowa prawdziwe* przeczytałam z prawdziwym zainteresowaniem. Nieczęsto się zdarza nowy zbiorek poetycki, który tak przyciąga uwagę i mówi o czymś ważnym – ciekawy treściowo, głęboki ideowo i niebanalny artystycznie. Poetka po swojemu, odważnie prezentuje każdy problem. Zasadą naczelną dla niej jest prostota, lakoniczność, wyrazistość, a niekiedy nawet surowość, jeśli tego wymaga temat. Często cały wiersz jest wielką metaforą. Jest to poezja głębszego sensu. Nie byle jakim asem tego modelu poezji okazuje się Maria Włodno. Co jest jej siłą? Poetyckość oparta na celnych metaforach, na ważności i precyzji myśli. Często na zaskakującym pomysle i trafności słownictwa.

Można by tę poezję jak cały nurt autentyzmu obciążyć mianem moralizatorstwa. Ale czy była kiedykolwiek poezja znacząca wolna od tej tematyki? Zwłaszcza poezja polska? A Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Herbert i wielu innych? Jakaż inna tematyka miałaby być godna prawdziwej poezji, jeśli nie moralno-egzystencjalna?

Te wiersze są jak reflektory, które przeświełają na wylot dzisiejszego człowieka, postawy ludzi, trendy obyczajowo-moralne. Takie jest sedno tej głębokiej twórczości. Wiersze nie pierwsze lepsze, niezwykle mądre i piękne.

Na podst. eseju Zofii Korzeńskiej pt. *Wiersze Marii Włodno na tle nurtów i modeli poezji*; zob. portal [Pisarze.pl](http://Pisarze.pl)

## PREZENTUJĄ SIĘ NAJBLIŻSI WSPÓŁPRACOWNICY

### Harry Alfred Piotr Duda

Ur. 1944, absolwent filologii polskiej na WSP w Opolu, Studium Ochrony Przyrody przy Akademii Rolniczej w Krakowie, emerytowany pracownik systemu doskonalenia nauczycieli, nauczyciel dyplomowany, b. wieloletni redaktor wydawnictw i czasopism oświatowych. Poeta (debiut 1964), dziennikarz i publicysta (czasopisma i radio; tematyka – ochrona przyrody; groteska i groteska muzyczna; sprawy społeczne; filozofia medycyny, w tym etyka lekarska i ekologizm; okazjonalnie krytyka literacka; upamiętnianie Zbrodni Katyńskiej). Jako poeta uprawia głównie lirykę oraz bogatą twórczość parabiblijną (liczne ujęcia poetyckie ksiąg Starego i Nowego Testamentu). Autor 53 pozycji zwartych (w tym współautor 3), autor lub współaut. ok. 1300 audycji radiowych. Wieloletni współpracownik Radia Opole, obecnie współpracownik internetowego (polonijnego) Radia Wiśła (Seattle, WA, USA). Przez 25 lat wielokrotnie sekretarz i trzykrotnie prezes oddz. ZLP w Opolu; jeden z członków-założycieli Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach; wiceprezes dawnego Klubu Związków Twórczych w Opolu; twórca i realizator 20 tzw. plenerów poetyckich dla ochrony przyrody. Wydawca i redaktor ok. 70 pozycji literackich Opolan w istniejącej niegdyś i powadzonej przez niego społecznie Oficynie Lit. „Wers” oraz w innych wydawnictwach. Przez 30 lat działacz na rzecz ochrony przyrody i środowiska: sekretarz i wiceprezes Ligi Ochrony Przyrody w Opolu oraz Wojewódzki Inspektor Straży Ochrony Przyrody; przez 3 kadencje członek Komisji Ochrony Przyrody przy Wojewodzie Opolskim. Współpracował: z prof. Julianem Alek-

sandrowiczem z Krakowa (także jako współautor jego książki *U progu medycyny jutra*, 1988); z ks. prałatem prof. Zdzisławem A.J. Peszkowskim, kapelaniem Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie (m.in. jako



autor aktów erekcyjnych dla Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu i Miednoje, 1995); z prof. prof. Stanisławem Rogalą z Opola i Adamem A. Zychem z Wrocławia w dziedzinie gerontologii (także jako jeden ze współautorów *Encyklopedii starości, starzenia się i niepełnosprawności*, 2018). Otrzymał wiele nagród literackich i innych (w tym Nagrodę im. Karola Miarki), jak też dwa dyplomy papieskie Jana Pawła II. Odznaczono go m.in. Krzyżem Kawalerskim OOP, Medalem KEN, Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Medalem „Pro Memoria”, odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Posiada tytuł Zasłużonego Obywatela Miasta Opola i odznakę „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego”. Bardziej szczegółowo o poecie – w Wikipedii.

### W co nikt nie wierzy – na Nowy Rok 2020

W kalendarzu czerwony ten dzień zwie się Nowy Rok i jest niby zapaść – bezruch w nim studzienny, jednak w głębi się czai pazur, co gotowy na śmierć rozorać dzieje. I wraz z dni upływem nastanie tylko przeszłość. Zgiełk świata bezdenny, co udawał wesele, zamilknie – ucięty zniecka. Jak i kiedy? – tych pytań spoiwem  
Niewiadoma.

A na to Wiedeńczyków<sup>1)</sup> koncert noworoczny jedwabnymi dźwiękami wygładza istnienie

i w nieśmiertelność piękna – bo sam podobłoczny – zachęca, by uwierzyć: kwietnej łąki nuty jak radość, która budzi i wprawia w zdumienie. Lecz nad głową cień wiedzy, polatując – kracze, skandując niepokoju frazy. Topór już wykuty – na rozkaz przeznaczenia czeka, a kat nie zapłacze...

1.01.2020 po południu

<sup>1)</sup> Mam tu na myśli coroczny na Nowy Rok koncert znakomitej Orkiestry Symfonicznej w Wiedniu. Dla mnie samego tekst zadziwiający przepowiednią: 1 stycznia 2020 prawdopodobnie nikt jeszcze Polsce nie słyszał o koronawirusie.

## Dzień w lutym chory

Lekki wietrzyk i ciepło, niebo podejrzone,  
gołębie już gruchają, pcha się kwiat gdzieniegdzie –  
dni w klimacie-wariacie też ześwirowane.  
Natura mądrą ślepą mackę z czwartego wysuwa  
wymiaru i do beczki miodu czarne dziegiecie  
jak kęsy ciasta piekarz z plaśnięciem strzepuje.  
Zdziczały czas – drapieżne zwierzę – kres przeczuwa  
i skraca się, i zwija – jak żmija ratuje

lub jak człowiek zwinięty w postać płodu. Idzie  
ku tobie, panie Harry, do końca początek.  
Na twych oczach się złączą – jak w pijanym zwidzie –  
dwa z przeciwka biegnące wrogi. I się stanie  
tak jakby nic i nigdy. Lecz przerwany wątek  
nie doczeka już końca: pora przerwać dzieła –  
chce Bóg. A może tylko, choć rozpoczął granie,  
organicie z klawisza omsknął się palec.

2.02.2020

## Widmo Wuhan – z odległości

Niebo złowrogie świeci: poranne przebłytki  
ostre. Ciężarne chmury ronią krwiste płody  
wielogłowe i żywe, co patrzą z kołyski  
bez litości – ślepiami zagłady bez granic.  
Ich oddech na wskroś wieje znakami pogody  
morderczej jak zaraza: rosną w mikroświecie  
zamachowcy totalni, co mają nas za nic.  
Uczeni! – wiedząc wszystko, niczego nie wiecie.

17.02.2020

## W nawiązaniu do wiersza *W co nikt nie wierzy* – na Nowy Rok 2020

Przedwiosenna zgnilizna jest cieniem jesieni:  
w jego objęciach – groby. Na przystanku siedzi  
spuchły od głodu gołąb, a w pustej przestrzeni  
wśród nielicznych przechodniów śmierć krąży i wabi  
nadzieją serce ptasie. Złowrodzy sąsiedzi –  
los twardy i pogoda – ostrzą swoje noże.  
Rzeź niewinnych i winnych – czy mocni, czy słabi  
już czeka.

11.03.2020

## Zaraza czyli Thymus Factor X<sup>1)</sup>

*A była cisza, jakby świat minął.  
Trwał jeszcze słońca brzeg.*

(Bolesław Leśmian, *Przechodzień*)

Z chmur brudnej szmaty – słońce jak moneta złota  
upuszczona przez skąpca. I rośnie pogoda,  
a nie biją dziś dzwony – cisza to garota:  
skrytobójca nas zaszedł od tyłu. Niedziela –  
manekin na wystawie: atrapy uroda.  
Coś groźnego się kluje na diabelskich wargach,  
nim z nich spłynie wyrokiem, który myśl spopiela.  
Firma Świat znów przegrywa w zło-dobrych  
przetargach.

Giełd szalona ruleta – przy boku bogaczy  
kręcąc się, wylosuje zastępy nędzarzy,  
choć dla jednych i drugich to samo wszak znaczy  
los z loterii, gdy fanty to groby. Przyzywa  
nas – chciwość, więc wiruje kolisko miraży,  
nim maklerów za dłonie rigor mortis schwyci.  
Pazerność bowiem wszelka, a wieczyście żywa –  
łeb podnosi i wtedy, kiedy śmierć śle wici.

Dlatego się nie znajdą wojskowe miliardy,  
aby mikrokurdupla, kaprała wirusów,  
potraktować poważnie i bez żadnej wzdargy,  
więc jak Napoleona w bitwie zwyciężając –  
bezpowrotnie go zesaść na Elbę Wiarusów  
Specjalnej Troski. Ktoś się jednak ocknie może  
i śmierć mknącą zygzakiem niby polny zając  
ustrzeli swym rozumem, nieślepnącym w sporze.

15.02.2020

<sup>1)</sup> Z łac. nieznaną czynnik X – pojęcie wprowadzone na grunt polski przez śp. prof. Juliana Aleksandrowicza.

## Dzień wiosny morowej

Wszystkie życia pozory zachowane. Listki  
jakby nigdy nic tną się ze zgrubień gałęzi.  
Nadzieja obiecuje nam chociaż korzyści  
ze słońca, co już wyżej się toczy na niebie.  
A w dalekich szpitalach raz po raz ktoś rzeźi  
i trwa czas zamykania domu otwartego.  
We Włoszech z ciężarówek – pogrzeb po pogrzebie.  
Droga równa i prosta z życia – do martwego.

20.03.2020

## Morowa niedziela

Świat jak schnące bajoro powoli obnaża  
pustkę mielizn i błoto, i przestrzeń bezludną.  
W czterech ścianach śmiech głuchnie i już nie zaraża,  
jako wcześniej bywało. Pęcznieje od znaczeń  
izolacja. I minus jeden, więc gdy wiosną złudną  
rachityczny śnieg pada, zachwycasz się bielą,  
pozorem oczyszczenia. A gusta tłumaczeń  
nocne myśli jak włos ci aż na czworo dzielą.

22.03.2020

## Martwe miasta

Z ulic ruch spełza, z domów pustota bezruchu  
wypełza. Gady ulic syczą jęzorami  
przestrzeni – pełzające widokiem posłuchu:  
ZOSTAŃ W DOMU. A nicość skrzydlata:  
wirus ślepy – na ślepo dziobie piorunami  
z jasnego, wiosennego nieba i świat cały  
w jesień recesji grzęźnie. Kto doczeka lata?  
Do widoku najwierniej kamienie przystały.

27.03.2020

## Pusty Plac Świętego Piotra z krzyżem Św. Marcelego AD 2020

Przez niebieskość i pustkę, ulicami bez ludzi,  
idzie Papież. Tysięcy śmierci dopust Boży  
ten wokół, co krew mroząc – wszystkie serca studzi.  
Pod Ramionami z Krzyża – pamięć pięciu wieków  
przywołuje Franciszek, że kiedy się sroży  
skaza losu wśród grzechu – prośba zmiłowanie  
sprawia dla ran rozpaczy z nieskutecznych leków:  
w bezludnej ciszy placu samotne wołanie.

Spod baldachimu Światło – dla Miasta i Świata –  
błogostawi Istnienie, wbrew tchnieniu demonów  
niewidzialnej zagłady: by wspomógł brat brata.  
Ogrom placu i kropka kapłana, gdy kończy  
zdanie ostatnie – sobą. I cisza wśród skłonów  
dla Hostii, i milczenie kadzidła, w przestrzeni  
bezglós. A szatan z głową w kapturze opończy  
gdzieś zza węgła się patrzy.

27-29.03.2020

## Kwietnia żałobnego początek

Palce słońca w ruchu, lecz harfa przestrzeni  
dziś milczy: ze strun śmierci bez tchu koncert daje –  
niemy jak przeznaczenie. W ciszę zanurzeni  
rozgarniamy jej ciemność – my-pływacy – zanim  
ten i ów się topielcem okaże. Rozstaje  
dróg leżą przed gigantem na nogach glinianych,  
co już z wolna się kruszą; teraz świat się tanim  
wykpić kosztem nie zdoła; po drogach nieznanym

dokądkolwiek zdążając, wszak zapłaci myto  
aż krwawe. W ten dzień biały ciszy lotne młoty  
wałą w głowę tak ciężko, jakby w dzwony bito.  
I bezruch rosochaty w pustkę lęku rośnie:  
wiedną myśli i serca, a cieni oploty  
duszą radość w zarodku. Pochód nieobecnych  
jakby nigdy nic idzie na przekór tej wiosnie:  
z pogrzebu do pogrzebu.

2.04.2020

## Zarazy w Polsce barwy partyjne

Ten świat, upokorzony, na jedno kolano  
już klęczy, ale głowy dać jeszcze dziś nie chce  
pod topór, chociaż z własnej mu ręki ulano  
do gardła tyle trucizn, że i tak się dusi.  
Szafot jest uroczysty: pogoda aż łechce  
błękitem i gra koncert dla życia w czas moru.  
Ogrody są zielone, nikczemnicy – głusi,  
jednak, sycząc, wołają: *My chcemy splendoru!*

*Daj się zabić i pozwól, byśmy znowu rwali  
ten postaw sukna, jak to – wszak dawniej – bywało.*  
Harują po arenie karty w pełnej gali,  
a spod toksyn chciwości rośnie niezabudka –  
kwiat niezapominania – więc nie ujdzie cało  
w niepamięć, kiedy zwiędnie. W mózgach krzepkie  
grzyby  
rozmnażają swe macki i choć każda krótka,  
groźniejsze są niż bakcyl, jak on – nie na niby.

9.04.2020

## W Mediolanie Andrea Bocelli modlitwicznie śpiewa

W katedralnej pustocie ujętej w koronki  
stiuków, rzeźb i kolorów witraży – anioła



śpiew samotny jak człowiek pośród kwiatów łąki,  
gdy tylko on i wszechświat – to jedność prawdziwa;  
niczego tu nic więcej – nie ma. Ten głos woła  
posłuchaniem u Matki – zmiłowania Syna.  
Idzie śpiew nad bezsilne siły, które skrywa  
wieży Babel potęga – dziś klęski przyczyna.

Sprzed katedry, w skok stromy wieżyc urzeźbionych –  
*Łaska Zdumiewająca*<sup>\*)</sup> smutkiem pnie się. Nią to  
dawno temu złoczyńca John Newton zhańbionych  
wyrzekął się uczynków, dziękczyniąc za wiarę.  
Teraz z muzyki – hołdem dla Umarłych są to  
słowa i niby całun grobowy żałoby. Pogoda  
wiosny radością mam, czas wymierza karę  
za chciwość, a duch słabnie, mrze ciała uroda.

A śpiewak jednak śpiewa. Jego twarz zmęczona,  
lecz szlachetna pod dźwiękiem ekstazy – w przestrzeni  
nutą pieśni trwa starej. Na niebie korona  
życia, a nie zagłady rozświetli się Łaską  
być może. Na kolana! Niech czas się odmieni!  
Po pustych placach świata morowy wiatr hula  
i choć śmierć w nim się chowa pod niewinną maską,  
wszak zatrzymać się musi na skinienie Króla.

14.03.2020

---

<sup>\*)</sup> W j. ang. dosłownie *Amazing Grace* (słowa  
Newtona – 1772); anonimowa melodia pocho-  
dzi prawdopodobnie z ludowej pieśni irlandzkiej  
lub szkockiej.

### Do przyjaciół już umarłych i tych którzy umierają teraz

I na co jest – jakiemu psu na budę – pamięć,  
gdy tylko w niej jesteście żywi wśród omamień,  
tu bowiem i tak wszyscy dojdą nad tę krawędź,  
za którą Czarna Dziura: wieczność zapomnienia.  
A ono bezlitosne jak u szyi kamień.  
Przed skokiem ostatecznym – przeszłości zew srogi,  
lękają się go przeto, idąc, pokolenia,  
gdy prze-życia nie własne też kulą u nogi:

pogrążają skutecznie raz w bagnie, raz w wodzie.  
Bo śmierć rozdziela jedność – jak ostrzem ciąż owoc.  
Połówki są już martwe – ze sobą w niezgodzie,  
że gdy razem, to żywe, a zmarłe – osobne.  
Odejścia ludzi – jakby gasić światło co noc;  
choć z pozoru zwyczajne, twarz mają demona.

Pozostają więc po nich napisy nagrobne  
powtarzalne nazwiska i także imiona.

Czy pocieszam Was zatem filozofii gadką?  
Nie – chciałbym pomóc sobie, aby nie zlorzeczyć.  
Nawet w słowach mądrości przypowieścią rzadką  
nie uchwycisz wszak sedna tej innej niezgody:  
nie zgadza się na n i g d y i chce mu zaprzeczyć  
każdy z nas, dokąd żywy. W pustych miejscach  
po Was  
wyrastają jak góry – mrozące świat lody,  
krzepnąc wokół i we mnie.

24.04.2020

## Głosy krytyków

### Bogusław Żurkowski o *Godzinie światła*

[...] Poemat ten [poprzez obecność szamana – S.N.]  
jest również próbą niesienia pomocy człowiekowi osaczo-  
nemu przez wytwory własnej wiedzy i niebezpieczeństwo  
zagłady. Odślaniając złożone oblicze tego człowieka,  
poemat stanowi propozycję terapii wstrząsowej. Zawiera  
się to już w ujawnieniu przekroczenia przez człowieka  
granic poznania i w metaforze wyroku śmierci. Czło-  
wiek, który pragnie osiągnięcia pełnej wiedzy o naturze  
świata, skazuje siebie na zagładę. Bohater jako medium  
demonstruje to na sobie. Ponadto odślania w sobie całe  
dobro i zło [...]. Widzimy tu cały blask i całą nędzę  
owego człowieka. Taka diagnoza skłania do poszukiwania  
lekarstwa. Czy jest nią *katharsis* [...]?

### Stanisław Nyczaj o *Trenach do Matki*

[...] Jednostkowe zdarzenie i przeżycie śmierci matki  
staje się kanwą dla wielu uogólnień i przesłań składa-  
jących się na odwieczną filozoficzno-światopoglądową  
dyskusję [...]. Dyskusję tak samo niewolną od drama-  
tycznych zwątpień, wahania, upadków i triumfów, jak  
egzystencjalne cierpienie duchowe. [...]

Strofa trenów Harrego Dudy nawiązuje po części  
do polskiej tradycji 13-zgłoskowej znanej w Europie  
odmiany i równoległej tradycji polskiej odmiany okto-  
stychu, wykorzystanej bliżej współczesności we własnej  
wersji np. przez Jarosława Iwaszkiewicza.

*Treny do Matki* to wspaniały liryczny dar pamięci.  
Bogaty w obrazy, głęboką refleksję o życiu i przemijaniu,  
pełen synowskiej miłości i wdzięczności. Pośród znanych  
cykli trenologicznych (np. Anny Kamińskiej *Dobra-  
noc matce*) znajduje dla siebie poczesne miejsce – także  
z racji przymiotów oryginalnej formy, nacechowanej  
prawdziwym, wysokiej próby kunsztem.

## Stefan Jurkowski

Debiutował w 1967 r. na łamach „Kierunków”. Opublikował 18 tomów poezji (w tym cztery wybory wierszy): *Wibracje* (1969), *Wysokie lato* (1975; Nagroda Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka), *Równowaga* (1980), *Zagrożenie* (1980), *Genesis* (1985), *Światy równoległe* (1987), *Poszerzanie przestrzeni* (1993; wyróżnienie XVI Międzynarodowego Listopada Poetyckiego), *Cierpliwość* (1994), *Rekonstrukcja* (1997), *Odezwa* (2002), *Koło niedomknięte* (2004), *Codzienny plac zabaw* (2007; nominacja do Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida 2008), *Pod każdym słońcem* (2010), *Poezje wybrane* (2010), *Studnie Andersena* (2012), *Pod każdym słońcem* (2012; wybór wierszy w j. bułgarskim), *Pamiętka po nieobecności* (2015) oraz jubileuszowy *Spacer do siebie* (2017).

Jest również autorem książki *Słowo pełne milczenia* o poezji Elżbiety Cichli-Czarniawskiej (Seria „Portrety Literackie” 2020).

Poeta jest także laureatem Nagrody UNESCO (2006), nagrody im. Klemensa Janickiego za twórczość poetycką (2007), „Złotej Książki Wincentego Różańskiego” na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu za najlepszy tom roku (2012), Literackiej Nagrody im. Juliusza Słowackiego za całokształt twórczości (2019). W 2013 r. reprezentował Polskę podczas Strużańskich Wieczorów Poezji w Macedonii.

Utworki poetyckie, recenzje, szkice literackie, felietony, eseje publikował m.in. w „Akcencie”, „Autografie”, „Gazecie Kulturalnej”, „Kamienie”, „Kierunkach”, „Kulturze”, „Świątokrzyskim Kwartalniku Literackim”, „Literaturze”, „Metaforze”, „Migotaniach”, „Miesięczniku Literackim”, „Nowych Książkach”, „Odrze”, „Poezji”, „Polityce”, „Rzeczypospolitej”, „Twórczości”, „Współczesności”, „Więzi”, „Życiu Literackim”. Jego wiersze znalazły się w wielu wydaniach zbiorowych, m.in. w niemiecko-polskiej antologii *Glaube, Hoffnung, Liebe* (wyd. Patmos, 1981, pod red. i w tłumaczeniu Karla Dedeciusa).

W latach 2007 – 2019 pełnił w ZLP następujące funkcje: przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej, wiceprezesa Oddz. Warszawskiego ZLP, sekretarza generalnego ZLP, członka Prezydium ZLP.

### Taki jestem (jezdem!)

Na pytanie, dlaczego piszę, odpowiedź jest trudna. Po prostu nie wiem. Jest to potrzeba wyrażenia siebie, podzielenia się z czytelnikami swoją refleksją: jest to



coś w rodzaju potwierdzenia własnej wartości jako człowieka, i jako artysty. Zmusza mnie do tego osobliwa wrażliwość, z jednej strony afirmacja, z drugiej bunt wobec rzeczywistości, wobec codziennej obłudy, a także pewien sceptycyzm.

A kiedy pytają mnie, o czym piszę, odpowiedź jest równie trudna, ale może lepiej daje się wyartykułować. A więc piszę o sobie, starając się uniwersalizować to tak, by moje wiersze opowiadały o losie człowieka. A więc piszę o miłości, nienawiści, śmierci, ale też o szczęściu, które wynika już z samego istnienia, choćby ono (istnienie) było niekiedy uciążliwe czy nawet bolesne. W jednej z moich książek (*Odezwa*) jest wiersz *O czym mówią poeci*:

poeci  
mówią wyłącznie o sobie

o bólu  
który – niby kornik – drąży ich ciała

o ciemności  
twardszej od światła

o lęku  
przybierającym postać tropionego zwierzęcia

o małej głupiej gałązce  
raniącej ich twarze

i o niczym innym

i o niczym innym  
co by mogło się przyśnić  
mędrcom tego świata

Wszechobecne jest u mnie przemijanie. Nawet w wierszach o miłości czai się przecucie utraty,

dochodzi do głosu lęk przed jej końcem, obawa przed niemożnością porozumienia. Ale myślę, że przekazuję kawałek własnych, najbardziej intymnych odczuć; każdy wiersz oparty jest na jakimś rzeczywistym, konkretnym doświadczeniu. Jest swoistego rodzaju „minibiografią”, oczywiście przetworzoną, ale jednak nietracącą niczego ze swojej prawdziwości.

Poczucie, że nie ma nic trwałego na tym świecie, nawet miłości, towarzyszy moim wierszom stale. To lęk przed przemijaniem, próba oswojenia tego, co nieuchronne... Bo to, co nazwane, wydaje się mniej groźne. Jest zamknięte w słowie.

\* \* \*

panno legendo śmierci piękna  
co dajesz życia małą chwilę  
zanim umilkną wszystkie dźwięki  
lirycznej muzyki – nad śmietnikiem

kto ciebie stworzył opowiedział  
uwięził w białej nerwów sieci  
że każde twoje poruszenie  
jest jak wiadomość z telegrafu

nie ma cię jesteś – nad otchłanią  
trzymasz nas jedną cienką nicią  
powietrze spada – gilotyna –  
opiłki sekund szron przestרחu

panno legendo wymyślona  
udręko nasza oniryczna  
wygaś muzykę nad ciemnością  
której nie będzie – bo nie było – –

Nurtują mnie pytania o sens życia, prawdy – czy istnieje ona w sposób obiektywny? Jakie są granice ludzkiego poznania? Czy to, co poznajemy jest istotnie „tym i takie”? Ile w naszym postrzeganiu świata iluzji oraz projekcji? Czym jest forma, a co należy do istoty rzeczy – tu zaczyna się teren rozważań metafizyczno-religijnych. To są pytania, które mnie inspirują, stymulują moją wizję świata; pytania, które siłą rzeczy pozostają (i pozostaną na zawsze) bez odpowiedzi. Nie znam ich, pytam, poszukuję, wystrzegam się ewentualnych dydaktyzmów, pouczeń, wiary w ostateczne rozwiązania. Bronię się przed tymi ostatnimi dystansem oraz ironią, często autoironią, nierzadko kpiną – wydawałoby się – z rzeczy fundamentalnych, które są w moim pojęciu nową utudą. To, co wyrazić się nie da, umyka językowi. Nawet poetyckiemu.

Pytają mnie też, po co właściwie pisać, skoro ludzkość już posiada przebogaty bagaż literacki.

A po to – odpowiadam – że każdy autor filtruje świat przez swoją osobowość, widzi go inaczej, inaczej też rozkłada akcenty. W gruncie rzeczy wszyscy piszemy od początku wynalezienia alfabetów o tym samym. Ale każdy inaczej, każdy na swoją miarę. I to jest właśnie najciekawsze, stanowi potwierdzenie sensu tej, uważanej często – zwłaszcza dzisiaj – za bezsensowną, poetyckiej roboty.

Marek Wawrzkiwicz stwierdził kiedyś, że pisząc wiersz nie należy tracić rozumu. Podpisuję się pod tym w pełni. Utwór poetycki powinien być logiczny, a poeta winien mieć przynajmniej zarys tego, o czym chce pisać (nawet gdyby to była impresja czy jakiś „strumień świadomości”). Choć zdarza się, że utwór idzie w swoją, nieprzewidzianą przez autora stronę. Ale to trzeba dostrzec, ocenić, nie upierać się przy pierwotnym zamyśle (bo ja nie o tym, ale o tamtym chciałem powiedzieć. Czasami instynkt poetycki działając irracjonalnie „wie lepiej”).

Wiersz – jak każde dzieło sztuki – powinien mieć swój zamysł (zarys zamysłu), autor zaś świadomość kompozycji. Janusz Gajos powiedział w jednym z wywiadów, że aktor nie powinien płakać – płakać ma widz. Tak jest i w przypadku literatury. Czytelnik nie musi wiedzieć, ile pracy autor wkłada w to, aby utwór robił wrażenie spontanicznego, inspirowanego czystym wzruszeniem.

Każda sztuka ma coś z kabotyństwa, bywa mistyfikacją. Napisałem kiedyś, że „tylko w wierszach poeta jest prawdziwy”. Zacząłem się zastanawiać, kiedy jestem prawdziwy. Czy właśnie tylko w wierszach? A skąd się bierze moja postawa cynicznego prześmiewcy; wrażenie kogoś pozbawionego wrażliwości, kpiącego z pocziwych, naiwnych wierszyczków autorstwa rozmaitych panius? „Przecież to piękne” – mówią, a dla mnie to śmieszny kicz.

Staram się, aby wiersz coś znaczył, przedstawiał świat w niekonwencjonalny, odbanalizowany sposób. Pisanie „wzniosłe” o czymkolwiek jest anachroniczne i wskazujące na poważne niedobory poetyckie autora. Musi być odrobina dziegciu w postaci sceptycyzmu, ironii, zwykłego szyderstwa – przy całym (umiarkowanym) sztafażu lirycznym. Tak też się stało w przypadku mojego *Spotkania z noblistami*:

szymborska mnie śmiesz  
miłosz mnie nudzi  
nie wierzę we wszystkich świętych  
poezji mieszkających w pałacach  
metafor

zaklęty tłum ich słucha niby węże fletu

nawet zamek królewski kłęka  
i kandelabry mrugają z uszanowaniem

a ja sobie siedzę  
zakładam nogę na nogę  
i myślę o uciśnionych  
genitaliach moich

co by było gdybym  
wstał teraz  
i podrapał się po mosznie

czy wytrzymałaby to święta poezja  
czy by się rozprysła jej kryształowa konstrukcja  
a może wynikłoby wielkie wzruszenie  
:oto szymborska mi daje ostrowością szczoteczkę  
a miłośz rechocze jak parob litewski

Inspiracja była tutaj bardzo prosta i wcale nie „wzniosła”. Poszedłem na spotkanie z obojgiem noblistów, które odbywało się na warszawskim Zamku Królewskim. Trwało to trochę, siedziałem w jednej pozycji, a spodnie miałem wtedy z gatunku „jajognioty”. Stąd zacząłem się koncentrować bardziej na swędzeniu niż na poezji. A ponieważ lubię szargać „świętości”, napisałem później powyższy wiersz, a nie pean „ku czci”. Pamiętam, jak oburzył się Ryszard Matuszewski, kiedy utwór ten przeczytałem, sprowokowany zresztą przez nieodżałowanego Michała Jagiełłę, na swoim spotkaniu zorganizowanym w ramach „Salonu Literackiego Biblioteki Narodowej”.

Mam wiersze bardziej albo mniej emocjonalne, ale staram się trzymać emocje w cuglach. Myślę, że dzięki powściągliwości, żartowi, szyderstwu, wreszcie cynizmowi – wiersz staje się bardziej ekspresyjny, pozbywa się naiwności. Językowo także staje się wtedy ciekawszy. Odkrywa bowiem strony potocznie słabo dostrzegane.

Jakie więc ma współczesna poezja „poślanictwo”? Na podobne pytania odpowiadam, że żadnego. Jest ona opisem, obrazem rzeczywistości przefiltrowanym przez wyobraźnię, i nie ma co tutaj tworzyć ideologii.

W poezji nie znoszę patosu, pretensjonalności, unikam tego jak ognia. Wzruszenia, fascynacje, zachwyty powinny być stonowane, istnieć w podskórnej tkance wiersza. Przytoczę jeden z tekstów:

### **Odchodzą wiersze**

świat bez wierszy  
– czy to coś zmienia

zauważanych jak nagły cios w oczy  
świat bez tęczy  
bez wschodów i zachodów

świat bez istnienia  
bez opisu – więc absolutny?

czy to coś zmienia?

może ty mi to wyjaśnisz  
bo zbliżasz się do mnie  
nie jak metafora  
lecz zwierzęce pożądanie twojej nagości

Próżny jestem (jezdem)... Piszę o sobie... Łączę tam trochę prawdy, trochę kreacji, sporą łyżkę autoironii. Ale chyba o to w poezji chodzi...



Podczas konsultacji z Janem Lechickim na plenerze w Staszowie



Na plenerze w Staszowie (2018). Od lewej: Elżbieta Śnieżkowska-Bielak, Benedykt Kozieł, Krystyna Cel, Emilia Tesz, Stanisław Nyczaj, Bożena Gniazdowska, Krystyna Konecka, Jan Lechicki, Stefan Jurkowski

## Dekalog mój

I  
nie będziesz miała nikogo przede mną  
nawet za mną nie będziesz cudza  
bo jesteś moja – niczego też nie będę uzgadniał  
z jakimś wąsaczem brzuchaczem czy z innym  
gładko wygolonym szcurkiem  
od razu obronię nasz świat pięścią w mordę  
nożem lub naganem  
(cokolwiek znajdę pod ręką)

a może tylko pieszczotą przypomnę ci o sobie  
– liryczny pan twoich zastępów

II  
znowu mnie wołasz  
nie zawracaj głowy  
pozmywaj sama  
powycieraj podłogę  
nie chce mi się gadać jest wieczór  
a jeszcze nie zapalono latarni  
muszę wyjść w ciemne ulice  
nie mogą czekać ważne cele  
jakkolwiek by je nazwać

nie krzycz twój głos daremnie  
po moich uszach się ślizga

III  
światło nas rozcina jak bumerang  
który powraca z nieznanym łowisk  
kula nocy miażdży  
codziennie w ciałach czujemy  
lekkość i ciężar chłód i ciepło

kalendarze są obojętne wysypują  
nasze codzienne gniewy zwiędłe modlitwy nadzieje

suchary naszego powszedniego chleba

– próchno  
fosforyzujące identycznie  
każdego dnia

IV  
troskliwa matka trzyma szalik  
mówi uważaj nie zazięb się  
nie zgrzej nie pij tyle  
robi wiatr językiem  
wyobrażam sobie: wyjmuję z niej baterie

a ona nieruchomieje nie widzi  
nie słyszy nie mówi – wtedy łatwiej  
oddawać jej cześć i wdzięczność – jest cicha i cierpliwa  
kiedy tak pełni rolę wieszaka na ubrania

V  
trochę nas za dużo  
tętnią chodniki uginają się jezdnie  
domy zasłaniają perspektywę  
nawet wiatr przestaje gwizdać  
ucieka ponad dachy

jestem  
jesteś  
jesteśmy  
ale nikt nie zburzy miasta  
nie przemaluje nieba na czarno  
nie sprawi by ludzka dzicz  
płasała w konwulsjach przed lufami karabinów

choć marzy o tym wielu

VI  
twoje ciało  
twoje młode ciało  
twoje młode wilgotne ciało

– jest porannym ogrodem gdzie srebrzy się rosa  
gdzie podłużne grządki  
gdzie róże i tulipany  
gdzie w norkach mieszkają  
futerkowe zwierzątka

gdzie rosnę ja

zakorzeniony  
zakorzeniony głęboko

wiekowy  
wiekowy dąb  
w ciągle młodej  
w ciągle młodej glebie

VII  
widzę gawrony – walczą o orzecha  
wydzierają sobie spod potężnych dziobów wszystko  
co nie ich  
który sprawniejszy ten wygrywa ornitologiczny mecz

a my degeneraci stworzyliśmy kodeksy  
by własnym ręką utrudnić

marsz do cudzych kieszeni

a obce które pełzną ku nam  
boimy się odciąć  
siekierą daną nam od samego boga  
zamiast kłów i dziobów

VIII

jeśli coś mówisz o innych  
zawsze to będzie prawda bo jeśli nie dziś  
to wczoraj każdy okazał się kanalią  
albo się okaże jutro – zawsze trafisz  
swój szczęśliwy numerek  
więc mów albo milcz  
zależnie od potrzeb

IX

taka ładna jest pani iks  
jeszcze ładniejsza pani igrek  
ale jednak przewyższa wszystkie pani a  
patrzę na nie i pragnę ukraść  
ich piersi – niby takie same  
a każda para inna koniecznie  
muszę zbadać na czym polega  
ich piękno – porażające i słodkie

X

ale jeszcze bardziej porażają mnie  
portfele i złote zegarki  
pana iksa  
pana igreka  
pana a



Stefan Jurkowski – laureat Literackiej Nagrody im. Juliusza Słowackiego (Warszawa 2019).  
Od lewej: Krystyna Konecka, Anna Maria Musz, Stefan Jurkowski, Stanisław Nyczaj

Na plenerze w Rzeszowie (2017)  
wśród pisarzy i plastyków z Warszawy, Kielc i Rzeszowa



## Prezentacja Anny Marii Musz

Ur. 1988 r. w Trzebnicy – debiutowała w 1999 roku na łamach młodzieżowego czasopisma „Nowe Twarze”, teksty poetyckie publikowała m.in. w „Autografie”, „Gazecie Kulturalnej”, „Latarni Morskiej”, „Metaforze”, „Migotaniach”, „Poezji dzisiaj”, czasopiśmie „Shyhta”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, „sZAFie”, Kwartalniku Kulturalnym „TygiEL” oraz na portalu Pisarze.pl. Pisze także recenzje i eseje. Autorka tomików wierszy: *Errata do trzech wymiarów* (Wydawnictwo Nowy Świat, 2010), *Odrastamy z kamienia* (Wydawnictwo Pisarze.pl, 2011) *Inkantacje* (wybór polsko-bułgarski, Wyd. Simolini 94, 2015), *Lot nad miastem* (Szczecin, Zaułek Wydawniczy „Pomyłka”, 2016, Nagroda Literacka im. Jarosława Zielińskiego), monografii *Poeta i przestrzeń. Portret literacki Stefana Jurkowskiego* (OW STON 2, 2016, w serii „Portrety Literackie” pod red. Stanisława Nyczaja), tomiku *Świetlny gąszcz* (Warszawa, IBIŚ, 2018). Członkini Oddziału Warszawskiego ZLP. Uhonorowana Odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przyznaną na wniosek prezesa Stanisława Nyczaja w uznaniu zasług dla Kieleckiego Oddziału. Jej wiersze tłumaczone były na języki: rosyjski i bułgarski. Absolwentka zarządzania, a także studiów podyplomowych z zakresu nowoczesnego edytorstwa. Pracuje jako copywriter, prowadzi własną agencję reklamową.

### Rekurencje

zwijając mapy szukaj starych składów  
szerokich bruzd zastarzałych przetarć  
one są jak bliźny głębokie i blade  
ale bez nich nic się nie złoży

uważaj na gesty i powstrzymuj oddech  
żółtkę mapy kruszeją a przecież z niektórych  
nie powróciły jeszcze dawne statki  
łamiesz im horyzonty i przelewasz  
wodę w niebo choć było na odrębnych mapach

dawni żeglarze wiedzieli  
że czasem nie płynie się za horyzont  
bo tam kończy się papier Wielka Karta Podróży  
dlatego nie odpływając daleko wymyślali historie  
o bardzo odległych brzegach niebezpiecznych lądów



my też jesteśmy na mapie też z niej nie wrócimy  
przepiszą nas we wszystkie następne atlasy

spójrz płyną po nas skruszałe żaglowce  
nic więcej się już nie zdarzy

### Noc

nie patrz tam nie patrz miły  
tam się świat odmienia  
choć to nadal nasza stara ziemia  
nad którą noc nadciąga  
– kochany żadna z naszych nocy –  
więc nie patrz  
by się nam od ciemności nie zajęły oczy

ten mrok jeszcze głębiej wytrawia  
niż ogień – nie nas  
inną nocą wypalanych w sobie –  
ale tych którzy w niego uwierzą  
– tym wchodzi pod powieki  
i w dotąd żywych zasiewa śmiertelność jak sporysz  
– byle mi obcą ciemnością ciebie nie zamroczył  
nie patrz tam miły – patrzmy sobie w oczy

Wiersze z portalu Pisarze.pl – Wiersz Dnia:  
<https://pisarze.pl/category/wiersz-dnia/>

## Kazimierz Kochański

Urodził się 24 lutego 1950 r. w Zalesiu Górnym k. Piaseczna. Debiutował w „Zielonym Sztandarze”. Wiersze publikował m.in. na łamach „Okolic”, „Razem”, „Miesięcznika Literackiego”, „Zarzewia”, „Głosu Nauczycielskiego”, „Barw”, „Przemian”, „Akantu”, „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, „Poezji Dzisiaj”, „LiryDram”, na antenie Polskiego Radia oraz w almanachach.

Prezentowany w elektronicznym tygodniku artystycznym [www.literaci.pl](http://www.literaci.pl), w ośmiu antologiach Warszawskiej Jesieni Poezji, antologii *Poeci Polscy 2016*, antologii *Poeci Polscy 2017*, antologii Festiwalu Poezji Słowiańskiej, także antologii *ASPEKTY*.

Jest laureatem wielu konkursów poetyckich. Juror w ogólnopolskich konkursach poetyckich.

Autor tekstów piosenek z muzyką Mariusza Klimka – płyty „The drift like that”, „Gdy ziemię cichym snem” – kolędy i pastorałki, „Wierzę tylko w nas”. Autor piosenki dla Polonii „Kochanie, ja wracam” – z muzyką Piotra Pawła Kowalickiego oraz piosenek dla dzieci. Autor tekstów piosenek dla barda Dariusza Rączki.

Wydał zbiory wierszy: *Konfesje*, *Kroki*, *Krecha*, *Kolekta*, *Kanty-Lenki*; zbiory fraszek: *Karambol*, *Ki-piel*, *Kakofonia*, *Kuriozalia*, *Kolczyki*, wybór utworów *Kulminacje*, *Klejaki*, zbiór aforyzmów *Kartkując*, wybór aforyzmów *Kreślone kredą*.

Członek władz głównych Związku Literatów Polskich. Zasłużony dla Kultury Polskiej.

### Fraszki

#### Otóż to

Uwierz, nie przekorą  
ta myśl się zasada,  
że „gdzie dwóch się bije,  
tam trzeci przeszkadza”.

#### Z powołań i odwołań

Co „jest napisane”, ważne,  
gdyby nie to,  
że nie daje żadnych  
szans analfabetom.



### Protest z obejścia

Reprezentuję głos ogółu,  
więc niech go gospodarz wysłucha:  
chyba nasz status się w czymś sprzeniewierza  
przez postawienie nad nami pastucha.  
Czyśmy nie warci pasterza?

### Budująco i w porozumieniu

W poprzek! – zgodnie ustalili.  
W poprzek rzeki albo drogi.  
Most lub wiadukt, wszystko jedno,  
bez wzajemnych kłód pod nogi!

### Coraz częściej

Temat jest na „cito”,  
nie wolno zaniechać.  
Przybliżony termin?  
Czekać... Trzeba czekać!

### „Na kompozyty”

Ogólnie, jako rolnik, cenię sobie guano,  
choć nie każdy z głuptaków użyźnia tak samo.



## Za Januszem

„Pocałuj mnie w dupę” – wycedził,  
pragnąc w czymś sobie tym ulżyć.  
Odpowiedź: (cytat z kolegi)  
„Na miłość trzeba zasłużyć”.

## Zmyłka

Przeżywał za miliony  
– ach, ten status poety! –  
nie został dostrzeżony,  
bo „nie to” i „za nie tych”.

## Myśląc kompleksowo

Propozycja ważna  
i to z wielu względów;  
może by uchwalić  
patriotyzm z urzędu?

## Mezalianu nie będzie

Kumpel mój, od heraldyki,  
pracę skończył tym wywodem:  
ona próżna, partner próżniak,  
werdykt – para z próżni rodem.

## Dwoistość jednaka

Rozum i wolna wola  
to dary – podobno.  
Owszem, kiedy są razem,  
jednak nie osobno!

## Ku-dla-czy-k

Warto wiedzieć;  
dla zdrowia, w niesławny obawie –  
czy napisałem fraszkę...  
czy to mój głos w sprawie.

## Toć nie stoik

Pomyślał o następcach:  
o wnukach, ich dzieciach...  
Nie zrobiony w balona...  
z szaleństwem nie wleciał.

## Aforyzmy najnowsze

Nie ma niezastąpionych, ale są niepowtarzalni.

\*

Mało przepędzić lepszego, trzeba go zastąpić.

\*

Po durnych rozważaniach trudno mądrze odpocząć.

\*

Wnioski oczywiste prowokują twórczych nieuków.

\*

Nie wyprzedzaj własnych myśli, bo zostanie ci kurz  
po nich.

\*

Mądrzy wiedzą, kiedy celowym jest trafianie w sedno.

\*

Do gmatwania w dogmatach trzeba silnej wiary.

\*

Czyjaś gorycz nie przesłoni własnego niesmaku.

\*

Można oszczędzić na myśleniu; pisząc bez czytania.

\*

Mądrość samotna – to się zdarza.

\*

Szydercy nie poznasz po dziurze w kieszeni.

\*

Gdy z dnia na dzień zmienia się adresat, pewne, że  
list jeszcze nie napisany.

\*

Rozsądek każe spytać, czy jest coś przede wszystkim.

\*

Radość nie powinna być beczynna.

\*

Szacunek, zacne słowo; liczymy.

\*

Zwykle wiemy, co powiedzieć; a niezwykle?

\*

Kulturze półcień sprzyja, nie półmrok.

\*

Mądrość jest potrzebna, ale nieobowiązkowa.

\*

Można z przekąską, można z przekąsem, bez uza-  
leźnień, choć z oczopląsem.

\*

Nadmiar przeżyć nie ma nic wspólnego z ubogaca-  
niem życia.

\*

Mistrz nie uczy, wspiera szukającego siebie.

\*

Nadmiar definicji zła odbiera przestrzeń dobru.



Kazimierz Kocharński prowadzi wybory podczas Ogólnopolskiego Zjazdu ZLP (2019)

Prezes Marek Wawrzek wręcza Kazimierzowi Kocharńskiemu Odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”



Na spotkaniach u Aleksandra Nawrockiego



U Bohdana Wrocławskiego w Kątach Rybackich. Z lewej – bard z gitarą

Kristina Užėnaitė

[...] Twórczość Kazimierza Kochańskiego jest oryginalna, potrafi skutecznie uderzyć w ludzkie wnętrze, wyraża źródło prawdy naszego bycia. Dochodzą tu do głosu uczucia, myśli, rozważania autora, jest całkowicie szczery z odbiorcą.

Poezja to nieustanne szukanie prawdy, dążenie do zgłębienia tajemnic życia, to właśnie najbardziej się odzwierciedla w twórczości poety.

Kazimierz Kochański na swoim koncie ma liczne wyróżnienia za swą działalność artystyczną, to osoba zasłużona dla kultury polskiej. Twórczość znanego fraszkopisarza, satyryka i poety dotyka nas na każdym kroku, zmuszając do refleksji nad tym co przeczytaliśmy, zachwyca, weseli.

Andrzej Zaniewski

Elegancki, uśmiechający się dyskretnie, wysmukły mężczyzna z tradycyjną gitarą idzie ulicami Grójca, Warki, Warszawy... Twarz zdecydowana, w oczach optymizm, czoło nosi wysoko, śpiewa piosenki własne i zasłyszane. Opowiada o przemianach, nadziei, miłości, o marzeniach, do których zawsze mamy prawo. Śpiewa, czasem recytuje, a tak naprawdę podpowiada, rozśmiesza, niekiedy życzliwie poucza. Chce i stara się być potrzebny i uważnie słucha skupionych wokół siebie – tych, którzy przyszli posłuchać. To Kazimierz Kochański – poeta, bard, satyryk, przyjaciel prawdziwy, ufny i godny zaufania. Jego wiersze, „kuriozalia”, „kantylenki”, fraszki, „kochalenyki” są dla nas równie ważne, jak dla aktorów na scenie – ściszony głos suflera, wyraźnie zaadresowany szept.

Kazimierz Kochański jest poetą niosącym uspokojenie, pogodę, radość... I to są jego prawdziwe sukcesy.

[...] Wysoko oceniam poetycką twórczość Kazimierza Kochańskiego. To subtelna, delikatna poetyka, pełna osobistych dygresji, wizyjna i refleksyjna, nowoczesna w obrazach, a jednocześnie nawiązująca do przeszłości w formach: w rymach i rytmach. Autor – wyculony obserwator, zmagający się z wewnętrznym niepokojem istnienia, osiąga mistrzostwo w kompozycji krótkich, zwięzłych form, w precyzyjnym, nowatorskim definiowaniu pojęć.

Kazimierza Kochańskiego i jego poezję poznałem w roku 2015. Subtelny humor, dystans, ironia, a jednocześnie refleksyjność jego tekstów, zrobiły na mnie duże wrażenie. Długo zastanawiałem się, jak muzycznie spożytkować oryginalny styl wierszy tego niezwykłego poety. Początkowo myślałem o pieśniach na chór mieszany lub utworach przeznaczonych na głos solowy z fortepianem. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że byłoby to zbyt pretensjonalne – zupełnie nieprzystające do stylistyki wierszy Kazimierza Kochańskiego. Dlatego zdecydowałem się na duet: saksofon i fortepian. Muzyczne tematy oraz improwizacje. Elementy zaplanowane i spontaniczne.

Paweł Kubiak

Kazimierz Kochański stawia kroki niepokorne, często nieprzewidywalne, ale zawsze naznaczone troską o wspólnotę, którą pojmuje jako rodzinę: obywatelską, kulturalną, literacką. Bywa prześmiewcą, nawet gorzkim, jednak nigdy nie jest przeciw „wszystkiemu i wszystkim”. Głupio powiedzieć, ale to mądry poeta!

Najpiękniej pisze o miłości i w tej dziedzinie zwyczajnie może budzić zazdrość. Wszystko, co robi w słowie pisanim ma ogólniejsze, uniwersalne odniesienie. Także literackie żarty i dykteryjki. Powątpiewa w prawdę, ale zawsze dostrzega sens! Stara się być rzecznikiem przedkładającym nasze sprawy przed odwiecznym trybunałem rozsądku i przyzwoitości, uczciwości.

Stanisław Nyczaj o zbiorze *Kreślone kredą*

Kazimierz Kochański podejmuje swój ekwilibrystyczny trud w aforystyce z nadzieją spełnienia, osiągnięcia i pozostawienia trwałego efektu. A czytelnik swą poszukiwawczą zapobiegliwością musi wynieść dla siebie lekturowy plon. Autor go zachęcając, dwornie przestrzega: „Perspektywa wymaga dystansu większego niż długość perskiego dywanu”. Przy czym trzeba pamiętać (pomaga dyskretnie autor): „Poziom to bardziej wspinaczka niż pełzanie”. Warto się na taki wysiłek zdobyć, podnosząc jednocześnie w sobie poziom adrenaliny zaciekawienia.

## Barbara Wrońska

Absolwentka WSP w Krakowie. Polonistka, poetka, animatorka kultury, redaktor książek i almanachów poetyckich. Współtwórczyni Teatru Promocji Poezji, związana od lat ze środowiskiem artystycznym Krakowa i Kielc. Debiutowała w piśmie literackim *Bazar* (1998).

Autorka programów poetyckich oraz interpretatorka współczesnej poezji w ramach m.in. Nocnego Maratonu Poezji (Krakowski Rynek 2007), Warszawskiej Jesieni Poezji (2008), Krakowskiego Festiwalu Muzyki i Poezji (2009), Międzynarodowych Dni Kazimierza M. Sarbiewskiego (Płońsk 2010).

W 2010 r. zadebiutowała w roli Dziennikarki w spektaklu Teatru Promocji Poezji *Nie porzucaj nadzieje* na podstawie twórczości Jana Kochanowskiego, który jest prezentowany na scenach całego kraju.

Wspólnie z mężem Szczęsnym w ramach Teatru Promocji Poezji realizowała spektakle i programy promujące literaturę, m.in. *Mówię pochyloną cambrią* na podstawie poematu Elżbiety Musiał prezentowany w Domu Literatury w Warszawie, w Czerwonym Fortepianie w Kielcach, w Konińskim Centrum Kultury i Gabrielni, czy *Pudełko na głosy, rytmy i dźwięki* na podstawie poezji Piotra Lamprechta w Dworku Białoprądnickim w Krakowie. Rejestracje wideo można oglądać na na youtube.

Uczestniczyła również we współpracy z Grzegorzem Cuperem z Biblioteki Pedagogicznej w Kielcach oraz kieleckimi autorami w projekcie „Głośne czytanie dramatów”, gdzie czytane były w teatralizowanej formie utwory kieleckich autorów.

Wiersze publikowała w czasopismach i almanachach (m.in. *Bazar*, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”, *Teatr Promocji Poezji* (2003), *Krakowska Noc Poetów* (2006, 2007, 2008), *Bronowicki Karnawał Poezji* (2008, 2009, 2010, 2011, 2012), „LiryDram”, *Antologia Poetów Polskich 2018*, Wyd. Pisarze.pl).

Wyróżniona w Turnieju Jednego Wiersza V Złotu Poetów w Łodzi (2019). Laureatka nagrody ufundowanej przez Irenę Tetlak w Turnieju Jednego Wiersza VI Złotu Poetów w Łodzi (2020). Otrzymała Wyróżnienie Honorowe w IV Małopolskiej Nagrodzie Poetyckiej „Źródło” (2020).

Regularnie publikuje wiersze na profilu FB.

Wydała tomik poetycki *Skalary* (2010).

W przygotowaniu tomik wierszy pt. *Bezsensowność*.



### Wyrok

Chyba od dzieciństwa byłam skazana. Ojciec – polonista z wyboru, Matka też. Na dodatek zanurzona w poezji romantycznej bardziej niż w życiu codziennym. Cóż było robić – tylko rozmawiać wierszami. Oczywiście nie swoimi, bo pokora nie pozwalała mi na samodzielność. I tak by pewnie zostało, gdyby los nie podarował mi męża... poety. Bardzo chciałam żyć zwyczajnie, no ale jak? Codzienne rozmowy o czym? Wiadomo, sztuka i to jeszcze przez duże „S”.

Praca polonistki w szkole technicznej nauczyła mnie myśleć konkretnie i skrótowo. Literatura dla moich uczniów była czymś rozwlekłym i zdaje się niepotrzebnym. Bolało, bardzo bolało. Wymyśliłam więc hasło: „poezja to proza w pigułce” i zarażałam tą miłością uczniów.

Moje wiersze łąpałam w biegu, w tramwaju, na przerwie, na zakupach. Jeśli zdążyłam zapisać, to był mój. Jeśli nie, uciekał tam, skąd do mnie przyszedł... Skąd przychodzą? Nie wiem. Żyję jak inni, widzę, słyszę i coraz mniej rozumiem, coraz więcej mi doskwiera. Nie mam gotowych recept na wiersz. Ja nie piszę. Ja je znajduję, a raczej one mnie. Są zawieszane między niebem a ziemią, czekają... A potem spadają i... są.

\* \* \*

Znalazłam Ciebie  
jak ślepiec igłę w stogu siana  
Pokłułam sobie palce  
boli  
więc żyję

\* \* \*

Dawniej świat  
był jak pluszowy miś  
do którego można się  
przytulić

Dziś jest jak nóż  
wbity w stół  
obok chleba

### **Człowiek**

W szale tworzenia  
wymyślił napalm  
i bombę atomową  
Zapomniał  
że zabić można słowem  
a jeszcze lepiej bezsłowiem lub  
gestem

### **Mały krasnoludek**

Mały krasnoludek  
skulony w kącie  
dziecinnego pokoju  
płacze  
Wiara dawała mu  
życie  
Wiara dawała mu  
radość  
Mały krasnoludek  
skurczony w ikonkę  
w rogu komputerowego monitora  
czeka  
aż ktoś obudzi go do życia

\* \* \*

Wiersze są jak dzieci  
rodzisz je w bólu  
długo kształtujesz  
a potem  
całe życie boisz się  
że ktoś wyrzuci je do kosza

### **Kobieta I**

Jestem jak trawa  
depcesz mnie  
wyrzywasz  
plewisz zajadle  
A ja wciąż się rozrastam  
owocuję  
Jestem jak trawa  
jak ogień  
woda  
powietrze  
Jestem

### **Kobieta II**

Spróbuj złamać jarzębinę  
...  
Wyrastam na kamieniach  
na przekór nawałnicom  
Zakwitam  
zimą płonę czerwienią wabiąc gile  
wiosną biała jak panna młoda  
karmię owady  
...  
Jestem niezniszczalna

### **Fotografia 1**

Stara kobieta  
na tle wodospadu  
budzi niesmak  
Jakby tak wyciąć twarz  
byłby niezły landszaft  
do powieszenia nad łóżkiem  
do zadumania się  
nad tym co przemija

### **Fotografia 2**

Stara kobieta  
na tle nagich skał  
Wtapia się w szarość  
rozpływa w niebycie  
A on  
wpatrzony w stare zdjęcie  
widzi twarz  
uśmiechniętej młodej dziewczyny

## Baba Jaga

I

Współczesna Baba Jaga  
idzie przez życie  
w schodzonych butach  
Siwe kosmyki  
wysmykują się spod czerwonej chustki  
a u nosa wisi kropelka  
jak to u Baby Jagi  
może łąza

II

Współczesna Baba Jaga  
powykręcanyimi palcami  
przeczesa śmietnik  
Odnalazła perłę – suchą kromkę chleba  
Los był dzisiaj łaskawy  
dodał resztkę konserwy  
i podarte buty  
pięć numerów za duże  
trzeba znaleźć sznurek  
żeby nie spadły  
w drodze do nieba

III

Współczesna Baba Jaga  
ucieka przed światem  
boi się dzieci  
nie jest na topie  
i nie jest trendy

## Gwiazdy

to gwoździe  
którymi Bóg przybił  
ludzki los  
do zimnej pustki nieba

## Opinie i fragmenty recenzji

„Dziękujemy Basi za wiersze, o które tak zabiegałam. Mieliliśmy dobrą lekturę, nawet mój mąż, choć nie jest humanistą, wysłuchał ich z wielkim skupieniem i z dużą aprobatą potakiwał głową. Nasze perełki: \*\*\*Nie mów że wyglądam jak młoda dziewczyna, \*\*\*Układałam siebie z kawałeczków i nade wszystko ZWYKŁY CZŁOWIEK. I nie

tylko, wszystkie mają w sobie tyle treści i wpisują się w pamięć. Gratulujemy takiego debiutu!”

Z e-maila przesłanego przez Irenę Kaczmarczyk po promocji tomiku *Skalary* w Salonie Artystycznym Beaty Anny Symoła w Krakowie (2010).

„Dostałam całkiem niedawno maleńką książeczkę – tomik wierszy autorstwa Barbary Wrońskiej. Od kilku dni noszę ją wciąż przy sobie i nie potrafię się z nią rozstać. Już dawno żaden ze współczesnych poetów nie zrobił na mnie tak wielkiego wrażenia. Dlaczego? Przecież te wiersze są króciutkie, pozbawione wyszukanych porównań czy metafor, można by rzec – surowe. A jednak trafiają prosto w serce, poruszają... Są po prostu PRAWDZIWE. A ja właśnie prawdę w poezji kocham najbardziej”

Wpis z BiblioNETki anonimowej czytelniczki 31.10.11

Wiersze Barbary Wrońskiej przywołują niekiedy obraz podróżnika poszukującego trwałej i pewnej busoli, wyrażonej w utworach, które mają za zadanie utrwalić kierunek i cel podróży. Uobecniają się w nich także poczucie dysproporcji pomiędzy realnym stanem rzeczywistości (dalekim od ideału) a jego etyczno-estetycznym uzasadnieniem wrażliwości poetki. Co ważne jednak, nie jest to wrażliwość wynikająca z niekontrolowanego, błahego emocjonalizmu, lecz rodzaj tak rzadko dziś spotykanej mądrej wrażliwości, która konstytuuje człowieczeństwo.

Warto zauważyć, że esencjonalność istnienia została tutaj wyrażona nie tylko za pomocą wielowymiarowej metaforyki wody, odwołującej się wprost do heraklitejskiego motywu przemijania, ale też poprzez język ironii i autoironii. Niewątpliwie jest to również poezja dojrzała, charakteryzuje ją bowiem dystans i poczucie samowystarczalności wiersza jako aktu tworzenia świata. Samoświadomość i realizm poetki pozwalają jej na dokonanie rzetelnej analizy świata oraz samej siebie [...].

Kinga Elert, z posłowania do tomiku *Skalary*, Kraków 2010.

„[...] Jak wygląda ten świat? Jest różnorodny. Dotyczy nie tylko spraw ogólnoludzkich, lecz także

osobistych, ważnych dla autorki, a więc i dla czytelnika, wszak życie biegnie podobnymi ścieżkami. Świat słów otacza poetkę mnogością krzyżujących się orbit wyznaczających tory jej rozważaniom. Bo to jest poezja człowieka dojrzałego, który znalazł swoje miejsce na ziemi, zdążył oswoić bliższe i dalsze otoczenie, ma skryzalizowane poglądy, ułożone życie osobiste, lecz wciąż poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania, zachwyca się i martwi, przeżywając wszystko równie mocno jak kiedyś. I myśli przyglądając się uważnie sobie i innym [...]”.

Wanda Nowik-Pala, z recenzji *Na schodach światła słów*, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” 2011 nr 1-4, s. 73-75.

„Wiersze Barbary Wrońskiej to wypowiedź poetki dojrzałej, która już wie, że się do świata nie dopasuje, bo on, wymyślony przez nią, odpłacił jej się tym samym, jak pisze w jednym ze swoich wierszy. To wypowiedź poetki, która wie czego pragnie, bo wiele doświadczeń już zebrała. Pragnie miłości, która obejmie siwe włosy i zmarszczki, a nie tylko złudzenie młodości sprzed lat. Wszak złudzenie takie kiedyś pryska, a pozostaje jedynie miłość prawdziwa, miłość zwyczajna, w której nie zostaje pominięta fizyczność posiadająca transgresyjny charakter [...]. Ukazanie przeciętnego człowieka wydaje się istotne w poezji Wrońskiej również Kindze Elert, która opatrzyła tomik posłowiem. Pisze ona: „Ów przeciętny człowiek to wolna jednostka, aspirująca do najważniejszego zadania, jakie zostało przed nią postawione – pozostania człowiekiem [...]”.

Barbara Serwatka, *Lamelli*, nr 11/83.



Na spektaklu z udziałem Elżbiety Musiał



## Szczesny Wroński

Poeta, prozaik, redaktor, animator kultury związany z artystycznym środowiskiem Krakowa i Kielc.

Na przeł. lat 70/80 związany z Teatrem STU (asystent reżysera, współpracownik literacki, kier. studia aktorskiego), w latach 1999-2013 współtworzył Teatr Dialog (kier. literacki, aktor i reżyser).

Debiutował w „Życiu Literackim” (1977). Jest autorem książek poetyckich, prozatorskich, scenariuszy i utworów dramatycznych.

W środowisku ogólnopolskim zaznaczył się jako animator kultury, redaktor książek oraz almanachów poetyckich. Prowadzi autorskie programy literackie oraz warsztaty dotyczące teatru i literatury.

Współtwórca polskiej kontrkultury lat 70., leader formacji teatralno-rockowej realizującej spektakle poetyckie – nazywany poetą o duszy rockmana. Odwołania do rockowych brzmień i kontekstów odnaleźć można w jego powieści pt. *Konsultanci*.

Na początku lat 90. założył w Krakowie Teatr Promocji Poezji i pod tym szyldem wciąż realizuje spektakle i wydarzenia promujące literaturę.

Wydał 12 książek, z których najbardziej reprezentatywne to: *Potwór nie opisany* (proza eseistyczna, 1999), *Wolna miłość* (powieść, 2000, I nagroda w ogólnopolskim konkursie im. M. Reja), *Nie pozwól milczeć sercu* (wybór wierszy, 2008), *Konsultanci* (powieść, 2014), *Czas rozpocząć* (wiersze, 2015), *Piszę poemat* (wywiad rzeka, poezja, proza, 2017).

W latach 2005-2008 był prezesem krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Od 2010 r. należy do krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jest członkiem redakcji Kwartalnika Literacko-Kulturalnego LiryDram.

Mieszka w Krakowie i w Kielcach.

[www.szczesnywronski.pl](http://www.szczesnywronski.pl)

<https://culture.pl/pl/tworca/szczesny-wronski>

### Gdzie do diaska ta prawda?

Tę prezentację zaczynam trochę od środka. Pojawiła mi się wątpliwość, czy omówienie tudzież interpretacja własnej twórczości i postawy twórczej nie jest niedźwiedzią przysługą, którą autor oddaje samemu sobie. Przecież tak trudno siebie dostrzec bez fałszującego subiektywizmu. Czasem mam poczucie, że to co robię jest unikalne i godne najwyższego uznania, ale nierzadko miewam też



nastroje, kiedy chciałbym całą tę bazgraninę zdezastować. Czy prawda jest gdzieś pośrodku? Czy w ogóle istnieje jakakolwiek prawda dyskontynuująca własną twórczość, czy twórczość w ogóle?

Naczelną intuicją, która mną zawsze kierowała, było poszukiwanie adekwatnej formy językowej dla wyrażenia treści. Uważam, że cała tajemnica literatury kryje się w umiejętności dotarcia do własnego języka, poprzez który autor może wyartykułować jedynie dostępną prawdę o sobie i o świecie – tę prawdę niepodważalną, choć skrajnie subiektywną – jako swoisty klucz do otwierania tajemnicy zarówno dla siebie, jak i dla domniemanego czytelnika. Zawsze dystansowałem się wobec schematów, tematów i ram, bo i uważam, że rozwijanie tylko jednej poetyki to śmierć twórcy, gdyż prowadzi nieuchronnie do strojenia się w maskę mistrza, która z czasem przylega tak szczelnie do twarzy, że przeradza się w gombrowiczowską gębę. Ta metoda niesie również pokusę kokietowania swoją „maestrią”, by dobrze sprzedać łatwo przyswajalny obrazek, co np. owocuje licznymi lajkami na fejsbuku. Dlatego tak chętnie i z przekorną satysfakcją wychodziłem z roli poety, by zamienić się w prozaika, aktora, performerę, reżysera, wybrańca, straceńca, etc. Próbowałem prowokować, niekiedy wręcz gwałcić samego siebie, by za taką nietuzinkową cenę doświadczyć czegoś wyjątkowe-



go, co mogłoby zainspirować mnie do wyrażenia tego, co jest w istocie niewyraźne.

Nie dowierzałem sobie i wciąż nie dowierzam. Gdy piszę, czuję się demiurgiem, ale gdy się temu później przyjrzę, to nabieram świadomości, że te wypowiedziane „strzępy” to tylko wierzchołek góry lodowej, jaką jest moje wciąż nienazwane istnienie. Jedyne, co mogę zrobić, to przedzierać się z uporem coraz dalej i dalej – zawieszony w próżni – raz po raz upadający, by poczuć ulgę dotykając czasem stopą stałego ładu...

Uważam, że zarówno twórczość, jak i życie to dwa uzupełniające się oblicza doświadczenia samopoznania, a sztuka, jak myślał Platon, jest źródłem najgłębszego wglądu w nierozpoznawalną rzeczywistość. Idąc w sukurs Sokratesowi wciąż wiem, że nic nie wiem i to daje mi ogromną siłę do pójścia dalej, do obsesyjnego ścigania własnej, niedającej się schwytać tajemnicy...

Za koronę tej szarpaniny uznaję moją niedocenioną powieść *Konsultanci* oraz performatywny poemat bez słów, który wystukuję od kilku lat na scenach mojego małego i wielkiego świata, pt. *Dopukiwanie się do miejsc, do których dopukać się nie sposób...*

Ale dość gadulstwa, niech w skondensowanej formie dopowie coś mój zuchwały i dopraszający się o głos wiersz:

## Szkło

jestem  
niby szczęśliwym  
niby poetą  
niby aktorem  
niby mężem  
niby synem  
niby ojcem  
niby traszką  
w którymś tam  
wcieleniu pawianem  
niby skaczącym  
po niby gałęziach  
to „niby” mnie wnerwia  
wpienia po „i” wpisuję „e”  
jest „nieby” dodaję „t”  
cóż mamy? Nieby?  
a jak skasuję „yt”  
i wstawię „o”  
co to? Niebo?

O to szło  
Tu „k” mi się wciska  
Po „sz” nie! Sz k ło na ścieżce  
Ja bosy stąпам i drę się  
wniebogłosy

## Konsultanci (fragment powieści)

Piotr wiosłował ramionami i było mu dobrze, wokół ocierało się o niego tysiące ryb. Dobrze jest być rybą, taka ryba nie zawraca sobie głowy pierdołami, jej dom jest wszędzie, gdzie zaprowadzą ją płetwy, coś mówi jej, gdzie ma płynąć, raz blisko dna, innym razem tuż pod powierzchnią, a tam można wyjrzieć na chwilę, zobaczyć słońce albo chmury, czasem błyskawice i deszcz, a jak zachciałoby się zejść do takiego dna i popłynąć, żeby z powodu ciśnienia pęć. W takiej wodzie na głębokościach nie słychać tego „bęć”, dlatego wybuchy jądrowe pod wodą, Piotr chciał już wyciągnąć ramiona, ale nie dało się, spróbował jeszcze kilka razy nim zaskoczył, że ramion tu brak.

– Jesteś karpkiem – bulgotnęła mu do ucha całkiem niczego sobie karpiczka i otarła się o niego lodowatym białym brzuszkiem. Ujęło go to, chlasnął ją ogonem i nabrał ogromnego apetytu, żeby tak płynąć obok niej bez końca, w tym morzu stworzonym dla milionów innych karpki i karpiczek.

– Płyniemy na tarło? – spytał podniecony musnąwszy ją bocznymi łuskami.

– Myślę, że przyszedł na to czas – przytaknęła ogonem. Nagle woda zafalowała, zatrzęsła się i coś wyrwało Piotra na powierzchnię. Na chwilę stracił chyba przytomność, bo ocknął się stłoczony z innymi karpkami na niewielkiej powierzchni, która sprawiała wrażenie jakiegoś koryta albo bali. Zobaczył jeszcze obok swoją karpiczkę, która kręciła się niespokojnie, a światło dnia przesłoniła mu czerwona morda faceta, nachylającego się nad nimi z siatką w ręce i jego ukochana wyfrunęła w siatce wysoko do góry. Wyskoczył za nią, bo chciał wytłumaczyć, że bardzo spieszą się na tarło, ale facet z czerwoną mordą cisnął ją na deskę, trzasnął drewnianym młotkiem w łeb, bryznęła krew, a on złapał ją za skrzela, błyskawicznym ruchem rozciął nożem brzuch, wytargał flaki i cisnął do kubła wyszcieranego błękitną folią. Piotr zawisnąwszy przez chwilę w powietrzu plusnął w wodę, odbił się od metalowego dna i podpłynął pod powierzchnię, żeby

zobaczyć, jak wypatroszone ciało jego ukochanej niknie w kolorowej reklamówce starszej pani. Nagle zdjęło go przerażenie, bo pochylonego nad korytkiem zobaczył siebie, Piotra, w formie człowieczej, który wskazuje na niego w wodzie, czyli Piotra w formie karpia, chyba w celu, żeby go wyłowić. Oślepiło go słońce, o kurwa, to chyba wigilia.

Ocknął się zwinęty w kłębek w przeraźliwie jasnym pomieszczeniu. Nie było tu żadnego cienia ani przedmiotu, o który można by się zaczepić. Zobaczył przed sobą drzwi bez klamki i przypomniało mu się wszystko. Z bólem rozwinął się z kłębka i usiadł oparty plecami o ścianę, lewą ręką przegarnął polepione włosy, prawą wsparł się o podłogę. – Nie jestem wcale karpem – powiedział głośno, nie zastanawiając się, skąd to się u niego wzięło, gdy drzwi otworzyły się bezszelestnie.

– To nie jest wcale takie pewne – powiedział do niego facet z bliźną na policzku. – No, nie przyglądaj mi się jak baran, bo baranem też możesz być, a jak będziemy chcieli, to i karpem.

– To nie byłoby takie złe – dodał krępy przysadzisty – który pojawił się w drzwiach jak skrzeczący potworek ze złego snu. Funkcjonariusz z bliźną wskazał Piotrowi drzwi i ciągnące się za nimi szare schody. Piotr ruszył bezwolnie na te schody i wspinał się z trudem w górę za facetem z bliźną. Nogi trzęsły mu się jak galareta, ale szedł, a raczej wspinał się po tych schodach, jakby to była himalajska, ekstremalna droga. Za nim ciągnął się czyjś smrodliwy oddech, chwilami przeradzający się w sapanie, aż zrobiło mu się mdło, bo ta kreatura szła za nim bardzo blisko, prawie muskając jego plecy guzikami od munduru. Piotrem wstrząsały dreszcze obrzydzenia i robiło mu się niedobrze albo ogarniała go trudna do odparcia żądza walnięcia tego śmierdziała łokciem w brzuch, jednak powstrzymał się ostatkiem sił. Chciałbym jeszcze trochę pożyć – pomyślał z rozpaczą, a może mimowolnie wyszeptał to, bo ten z bliźną odpowiedział, ale co to za życie i zaśmiał się perliście. Skąd skurwysyn wziął taki perlisty śmiech – pomyślał Piotr – przecież to jest zwykły funkcjonariusz, a nie jakiś tam filmowy amant wytrenowany w śmiechach i chichach.

– Skurwysynem spokojnie możesz mnie nazywać – kontynuował z wdziękiem funkcjonariusz – moja matka w istocie była kurwą i wcale się tego nie wstydę, bo jak widzisz wychowała mnie na ludzi.

Wygląda na to, że on słyszy moje myśli – pomyślał Piotr. – A one przychodzą same i nie ma na to rady. Niech to szlag, co za komunistyczne bydlę

– zatkał sobie ręką usta i poczuł, jak idący z tyłu śmierdziel dobiera mu się do tyłka, bez ceregieli obmacuje go po pośladkach i sapie głośno do ucha.

– Sprawdzam, skarbie, czy zmiękła ci odpowiednio pupcia.

– Ano zobaczymy – powiedział funkcjonariusz z bliźną, nacisnął klamkę i otworzyły się bezszelestnie drzwi.

Krzysztof Miklaszewski

### **Konsultanci są dobrzy na... w s z y s t k o**

Ta oryginalna w formie powieść Szczęsnego Wrońskiego – jeszcze jednym dowodem, iż ten urodzony w roku 1951 poeta i prozaik nadal nie słychanie konsekwentnie rozlicza się ze swoim otoczeniem i własną historią. Ten „pisarski proceder” rozpoczął Szczęsny od razu po trzydziestce, kiedy to bohater jego debiutanckich *Praktyk* – powieści, pisanej w latach 1978-1980, a wydanej cztery lata później w Wydawnictwie Łódzkim – Piotr, niewątpliwe *porte parole* autora, zdając przed czytelnikiem sprawę z doświadczeń dojrzewającego na krakowskich studiach (niedokończonych zresztą) przybysza z polskiej prowincji, nie bał się sarkastyczno-ironicznego rozpoznania, zapisanego w poetyckiej frazie „wymagowanej ulotki”, którą – tak naprawdę – stanowią frazy symptomatycznego wiersza Czesława Miłosza *Wyższe argumenty zaczerpnięte z przemówienia na Radzie Powszechnego Państwa w roku 2068*:

My, nikt inny, odkryliśmy Prawo Zaciemnienia,  
Ubóstwo i gorycz albowiem są koniecznym  
warunkiem szczęścia.

I kiedy dziś, szaleni, złorzeczą zakazom  
Już boją się, że mogłyby zniknąć zakazy.

[...]

Gdyż według nowych danych większość ich  
szepce we śnie:

Błogosławione niech będą cenzura i niedostatek  
(s. 117–118)

Tom drugi powieściowej trylogii obdarzył Wroński adekwatnym i do czasu akcji (przełom lat 70. i 80.), i doświadczeń pokolenia hippisów tytułem *Wolna miłość* (OW STON 2, Kielce 2000), konfrontując zapis przeżyć Piotra z II połowy roku 1970 (kiedy to rozgrywa się akcja *Praktyk*) z jego doświadczeniami z następnej dekady jego inteligentko-dekadenckiego żywota. Prawdziwą wartością tej powieści (I nagroda w ogólnopolskim konkursie

literackim im. Mikołaja Reja) stanowi zapewne korekta hurraoptymistycznych pytań bohatera, przedzierającego się *Z ciemności* (podtytuł I części powieści) *Do światła* (tytułowa winieta części II), *Idę jak ćma* (tytułowe przesłanie części III). Bohater najpierw ulega euforii, gdy jednak ochłonie, z niedowierzaniem zapytuje sam siebie:

To niemożliwe, w końcu zwyciężyliśmy?! Czy naprawdę będziemy teraz wolni? Będziemy mogli mówić sobie wszystko w oczy i nie musimy się nikogo bać? Będzie można pisać o wszystkim i wszystko drukować?! I nie będzie kłamstwa! Wszystko będzie po prostu! Czarne stanie się znowu czarne, a białe białe! (s. 162).

I wchodząc do sypialni, gdzie przeżywa szok widząc ciało ukochanej, która przed chwilą popełniła samobójstwo, skonstatuje:

Ten obraz jest zupełnie nierealny,  
a lny,

To musi być jednak sen. (s. 162-163)

Czyż nie była to, wyrażona symbolicznym obrazem, antycypacja tego, co może się z naszą nadzieją wydarzyć? Zważmy, że powieść pisana była w mrocznych zapaściach lat 80. (1986-88), a ogłoszona została drukiem w roku 2000.

Część trzecia trylogii, obdarzona przez autora nie tylko tytułem *Konsultanci*, wykraczającym daleko poprzez swoje uwikłania semantyczne w polityczny kontekst totalitaryzmu poza swój podstawowy źródłosłów, ale i barokowym, ironicznym i prowokacyjnym jednocześnie „podtytułem gatunkowym” (*Powiatka intelektualno-gienitalna czyli rzecz o inwigilacji, manipulacji, totalitaryzacji i innych perwersjach tego i nie tego świata*) odkrywa najpierw znanego nam już z dwóch poprzednich powieści – „nieudacznika” Piotra w więziennej celi milicyjnego aresztu. Tam właśnie Piotr – przypadkowy uczestnik nowohuckiej Solidarnościowej zawieruchy – stanie się nie tylko ofiarą systemu. Tam bowiem – skazany z góry – za udział w manifestacjach przeciwko władzy ludowej na „publiczne zbezczeszczenie” (cielesne i duchowe jednocześnie), poddany zostanie przez bandę wyrafinowanych katów – współpracującym na co dzień z UB – fachmanów od pióra, ubeckim rytuałom, których kulturowe konotacje mogą zdawać się nawet bliskie w symboliczno-świętecznej otoczce choinki każdemu „żyjącemu po bożemu” Polakowi. Ten też miks psychologiczno-uczuciowy, wypełniający monolog wewnętrzny bohatera, miotającego się między wyrafinowanym „rozumieniem” swojej sytuacji a totalnym zagubieniem się w matni poniżających przesłuchań,

stanie się dla młodego inteligenta kolejną bolesną lekcją rozumienia polskiej rzeczywistości, w której patriotyczny zryw bojownika osłabiony być musi czysto erotyczną dawką perwersyjnych doznań ofiary, a dziecięce marzenia o czystości rodzinnego szczęścia korygować będą autotematyczne, pełne ironii wtręty, sygnalizujące autorską „zabawę” taką formą powieściowej narracji. Wroński bowiem wciąga w tę zabawę czytelnika, któremu pozwoli wprowadzić na rozszyfrowanie kilku równoległych narracyjnych strumieni, ale uczyni to tylko po to, by już w następnej sekwencji zakłócić niespodzianie ten porządek.

Dlatego też uważny czytelnik, świadomy tych autorskich zabaw, nie zdziwi się wcale, kiedy to w drugiej powieściowej odsłonie zatytułowanej *The Show Must Go On* przegrany bohater okaże się... zwycięzcą plebiscytu telewizyjnego widowiska. Nie zdziwi się też, że Szczęśny-narrator puści całkowicie wodze swojej erotycznej wyobraźni. Więcej, będzie wdzięczny autorowi. I będzie – zapewne – bawił się razem z Wrońskim znakomicie.

Samoobnażanie się mechanizmu zniewolenia mass-medialnego – jako ubocznego produktu naszej „wolności” w III Rzeczpospolitej – jest przecież równie przerażającym, jak represje cenzury – skutkiem niekontrolowanych procesów „trepanacji mózgow” młodego pokolenia.

Jest wreszcie w powieści Szczęśnego Wrońskiego dwustronicowy Epilog, opatrzony ponadto jednozdaniową uwagą: „W razie potrzeby odciąć: [www.brzytwaockhama.com](http://www.brzytwaockhama.com)”.

Przewrotności tej uwagi ulegać nie warto, zwłaszcza że Brzytwa Ockhama, ta wspaniała zasada ekonomii myślenia żyjącego na przełomie XIII i XIV w. (*Pluralitas non est ponenda*, co oznacza ni mniej, ni więcej „żeby nie mnożyć bytów ani fikcji, a fakty tłumaczyć jak najprościej”), do powieści Wrońskiego nie pasuje. Epilog bowiem – podobnie jak finały poprzednich części trylogii – wyraża przesłanie i tej trzeciej powieści z tego cyklu, językiem czysto poetyckim. Wystarczy posłuchać pierwszej części ostatniego akapitu *Konsultantów*, zawieszającego opowieść o duchowych przeżyciach Piotra:

Stuchajcież, ten rozplywający się pod językiem chlebowy miąższ przerastał wszelką poezję, prozę i dramat, i człowieczkowie z radością dzielili się nim i jedli do syta, choć w międzyczasie wydarzyło się coś, co być może zamierzało zakłócić ten błogosławiony akt...” (s. 250).

## Fragmenty recenzji

Beata Salamon-Satałowa o dzienniku  
*Potwór nie opisany*

[...] Szczęśny Wroński uprawia bardzo ekonomiczną sztukę, gdyż tworzywa poszukuje w sobie. To swoista paleontologia duchowa polega na wynajdywaniu we własnym wnętrzu odcisków świata realnego, zewnętrznego. Samodzielne badanie styku tych dwóch kosmosów – przedmiotów i sfery ducha, stanowi o sile tej wypowiedzi...

Arkadiusz Frania o tomie wierszy  
*Smak ciemności, smak światła*

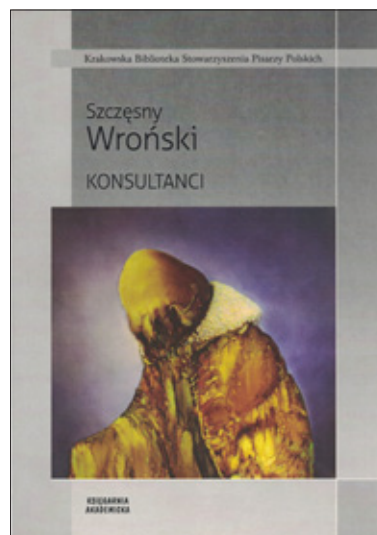
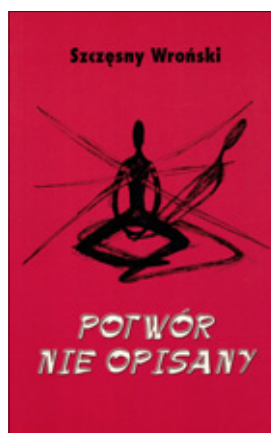
Poezja Szczęśnego Wrońskiego chwycie się (czytaj też: pręży) misternie na brzytwie ontologicznej niepewności, dlatego bohater zadaje pytanie: „czy ten taniec na krawędzi/ zanieś mnie tam/ dokąd zmierzam?” (s. 65). Litera wierszy dopiero schną w niedocieczonej rzeczywistości podmiotu lirycznego, nie wiadomo jeszcze, jaki wzór ukaże się na pomalowanej powierzchni, jaki kształt będzie miała dusza. [...] Poezja Szczęśnego Wrońskiego nie poddaje się łatwo analizie; mnogość wewnętrznych korytarzy podczas każdej lektury może nas zaprowadzić do innego wyjścia, do innego wreszcie wejścia w intencję poetycką autora z Krakowa, niż to miało miejsce w tej recenzji. Zachęcam zatem do podjęcia własnego ryzyka.

Ignacy S. Fiut o tomie *Czas rozpocząć*

[...] Można przypuszczać, że Wroński już wie, iż żyje w świecie symulowanych konturów, kluczy żurawi na niebie, tych na ekranach i w świecie rzeczywistym, ale obawia się rewolucji w swym życiu, gdybajac co by się stało, gdyby jego pies przegryzł łącza komputerowe: czy świat by się też skończył? Sprawdza więc intymne odruchy własnego bytu, przesypuje w ciszy imiona swych bliskich kobiet, rozbija na frazy swe imię, by się przekonać jak dźwięczą, i która z nich w tym hybrydalnym świecie pytając i „jakując” jego istnienie, jest najbardziej obiecująca: daje nadzieje na „szczęście Szczęśnego” w „buto-nierce”. Tak zdekonstruowany człowiek-poeta-Wroński dochodzi jednak do wniosku, mając na uwadze nawet własną samokrytykę, że „czas rozpocząć” wszystko od początku – tego antycznego *arché*, o którego pytanie rozpoczęło pochod naszego człowieczeństwa – owej jego *humanitas*, która dzisiaj potrzebuje kolejnego i o wiele głębszego intelektualnego resetu!...



Scena ze spektaklu Teatru Promocji Poezji



## DEBIUT

Daria Niemoja

### Jonasz (Fragment)

1.

Kostka brukowa pod moją stopą. Słońce strasznie jasne. Czerwona i szara. Nic prawie nie widać. I tupu-tupu-tup. Zasłaniam dłonią oczy. Po kosteczce. Promienie przeciskają się pomiędzy palcami. Hop-siup. Na poliku mam cień o wodorostowym kształcie. Idę.

Stężała guma. Pewnie fabrykowana okropnie dawno temu. A obecnie okropnie, okropnie niepożądana – przy mojej głowie. Potęgowała głośność szumu i tłumiała możliwość interpretacji jego części składowych. Okropnie, okropnie składowych. I fru. Kroków moich nie słyszać, a ja się dziwię, bo chodzę naprawdę, naprawdę głośno. Gdyby ktoś zorganizował zawody na głośne chodzenie, nie zajęłabym pierwszego miejsca, wyłącznie dlatego że wcześniej zostałabym odsunięta od konkurencji, bo stanowią za duże zagrożenie. I fru. I hyc. I puf-puf-puf. Turturturtur. To wyobraźcie sobie jak głośno chodzę, kiedy robię to z premedytacją. Szaszaszasz. A-A-A. I idę tak sama, a wykrzywni ludzie idą za mną. I przede mną. I z każdej innej geograficznie-nieemożliwej-do-określenia strony. Prrrrrr-iiihaa. Koń. Koń z końską grzywą i końskim okiem. Okoma. Zakorzeniony pod kościołem, mieli masywnymi zębami zawartość przywiązanej do pyska woreczka. Bęęę-bęęę. I koń się wystraszył. Teraz ucieka na końsko cienkich nóżkach i końsko znika na Grodzkiej. Nie ma konia. Zza kościoła natomiast wyczłapał lekko przekrzywiony w prawo, przysadzisty starzec ze schludnie podczesaną łysiną i bródką na kwadratowo przyszyżoną. Za duże sztruksowe spodnie podciągnięte pod pachy, a w spodnie wpuszczona pstrokata koszula. Rękawy zakasane. Przykleja prawą dłoń do czoła i nagle dłoń owa horyzontalnie sunie w powietrzu, ciągnąc za sobą jego czoło, niewidocznie dla mnie, acz krzaczące, brwi, chomicze poliki i usta wykrzywione w złości i wszystkie razem przeczesują doklefony do kościoła plac. PRRRR. Czuję jego wzrok na sobie już chwilę, chwile dwie, trzy chwile. I moment ten przeciągać się zacząć i wkraczać chwiejnym

krokiem w strefę mojego dyskomfortu. Z całego placu szukający mnie tylko i w moje czoło wzrok swój wlepiający krzywy mężczyzna stoi jak stał. Na placu nagle tylko on i ja. A on, dla zmylenia, nagle przekręca głowę dalej w bok. Puf-puf-puf. Próbuję zobaczyć jego twarz, ale świat nie chce mi na to pozwolić i jaskrawe promienie słoneczne kieruje prosto – Frrr! – pod zgiętą nad jego czołem dłoń. Twarz mężczyzny rozświetlona, już nie wiem, czy wycelowana we mnie, czy w ludzi, którzy stali się nagle zupełnie nieobecni. Turturturturtur.

Chce mi się pić, pomyślałam. Ale że nie mam ani wody, ani pieniędzy, staram się tę myśl utopić w rozgumionym wokół szumie. Idę przed siebie. A-A-A. Po mojej prawej zawzięcie piętrzy się bujnie zdobiona kamienica. Okna oplecione secesyjną falą, krzywym slalomem odbijającą się od framug. I co drugą framugę zatapiająca, a pozostałe wynosząca na wyżyny okiennej chwały. Nagle widzę, jedno okno (lewy górny róg, piętro trzecie) fatalnie odseparowane od kipiącej perfekcją jedności budynku. Fala zakręca w połowie drogi pomiędzy nim a objętym już opieką fali poprzednikiem i wraca znaną drogą do mieszkania na parterze, z prawej strony. A samotna dziura-na-świat pozostaje pusta. Znowu słońce. Patrzę w dół, żeby odzyskać wzrok. Sina na twarzy kobieta siedząca na krawężniku. Przypominam sobie, że chce mi się pić. Podchodzę.

– Sina na twarzy kobiety.

Ta patrzy na mnie spode łba, a oczy wychodzą jej z orbit. Wyszyły. Odpowiada.

– Ja?

– Tak.

– Tak?

– Nie wiem.

Oczy do orbit jej wróciły. Grozi mi policją, a ja jej, że to nie tak, a ona, że najwidoczniej tak i że mam zmykać.

– Zmyk.

Poszłam. Idę prosto i wchodzę na Sienną. Ładnie. Powietrze niemal namacalnie faluje od parującego zewsząd upału, a z pomocą wiatru zatacza secesyjne okręgi. Idzie się ciężko. Krok lewą nogą, krok prawą nogą, krok lewą, krok prawą. Słońca nie ma. Kostka wciąż czerwona i szara.

Plask.

Gołąb bez głowy.

Staję. Patrzę. No gołąb. Płasko wykrzywiony w cierpiętniczej pozie. Patrzę w niebo. Teraz słońce znów mnie razi i nie widzę głowy, która musiała gdzieś tam utknąć. Znów patrzę na gołębia. Znów na głowę. I na ludzi, którzy, w przeciwieństwie do martwego ciała i niedostrzegalnej w gęstocie powietrza głowy, nie chcą wchodzić ze mną we wzrokowe interakcje. Tylko chodzą, nie patrząc ani na mnie, ani na gołębia, tak że cudem udaje im się omijać pierzaste truchelko. Podnoszę głowę, żeby spojrzeć na głowę. Nie ma. Tylko oczy miałam jakby prześwietlone od słońca skutecznie celującego prosto w moje źrenice. Patrzę przed siebie. Niepomniernie gruby mężczyzna z ledwo trzymającym się paskiem z czachotrupią klamrą pędzi prosto na gołębia. Palce wyslizgują mu się z sandałów, ale, prawdopodobnie będąc tego świadomym, decyduje się na zatuszowanie sprawy i pewnie stawia metrowe kroki, a okulary zsuwają mu się z nosa. Poprawia je, nie zwalniając kroku. Siedem metrów od gołębia. Pięć metrów od gołębia. Pięć metrów od gołębia. Trzy. Jeden. Pół. Cap. Palce muskają pokryte gęstym pierzem ciepłe ciało. Mam go w rękach, biegnę, potykam się o własne nogi, potykam się o kostkę i czerwona-szara-czerwona-szara, słońce błyska, mężczyzna dawno już pojawił się w polu mojego niewidzenia.

– Uf.

– Uf.

Patrzę w lewo – drzewa i alejki. Patrzę w prawo – drzewa i alejki. Różnorodny krajobraz jest zdecydowanie moim ulubionym rodzajem krajobrazu. Liście z lewej na prawą, lewej na prawą. Rowerzyści i rolkarze. Skręcam w prawo, ale po chwili przypominam sobie, że nie lubię prawej strony, więc zawracam i skręcam w lewo. Siadam na ławce, kładę gołębia sobie na kolanach. Oddycham ciężko. Jemu ciężko jest oddychać.

Ot, gołąb. Na moich kolanach gołąb leżący. Szary, jasnoszary, ciemnoszary, może parę białych i czarnych piór. Musztardowe łapki. Ot, zwykły. Gołębi. I do głowy mi przyszło, że to właśnie przez tę zwykłość jest najbardziej gołębim z gołębi. Że spełnia wszystkie kryteria szeroko pojętej gołębiowości. Ale czy bycie gołębiem nie zakłada dowolności koloru, zaczęłam się zastanawiać. Czy to nie czyni mojego gołębia gołębiem podporządkowanym prawie chaosu i przypadkowości upierzenia? Jednym z nieskończoności istniejących gołębi. A mnie jedną z nieskończoności posiadaczek jednego z nieskończoności istniejących gołębi. I czy ja posiadaczką

gołębia jestem, jeśli bycie posiadaczką zakłada dowolność koloru oczu i ilości blizn na lewym łokciu? A ja mam oczu kolor konkretny, bo zielony i blizn ilość nietypowo określoną w liczbie trzy. Czy to po prostu znaczy, że niemożliwe jest opisanie się, bo zawsze, choćbyśmy kończynami wszystkimi, które posiadamy, zapierali się, że naprawdę nie mamy w sobie żądy bycia, zawsze będziemy po prostu jakąś wersją siebie, słuszną tylko w danym miejscu i czasie? Tak, chyba tak. Nie wiem. Wiedziałam tylko, że na moich kolanach leży gołębi bóg. Zeus wśród pierzastych. Z piorunem w miejscu głowy umieszczonym, zgiętym wielokrotnie i zwieńczonym oślepiającym błyskiem. Siedzi na pulchnym tronie z chmur jasnych, warstwiających się z uporem, aby oddać cześć bezgłowemu miłosiernemu. Gdyby mógł zagruchać, słyszałby go cały świat – tak jak moje chodzenie. Tylko że gołąb głowy nie ma, a ja nogi jak najbardziej. I stukustukustuk, wystukują rytm posiadaną przeze mnie lewą stopą, a truchelko się kolebie.

Luli, luli laj,

Jaki piękny maj.

Luli, luli, luli laj,

Główkę moją daj.

Prawda jednak była, że tegoroczny maj ani trochę mi się nie podobał. Powiedziałabym nawet, że był szkaradny. Szaszasza. I łubudu. I A-A-A. I prrr-ihaaa. I dźwięki inne, różne, wszelakie dookoła mojej głowy się zaciskające.

Luli, luli laj,

Benadziejny maj.

Luli, luli laj

Wycelowane prosto we mnie orzechowe oczy.

Znałam te oczy. Należą do pana Władysława z naprzeciwwka. Z naprzeciwwka mnie, siedzącej na ławce na plantach o dwunastej pięćdziesiąt trzy w południe i z bloku naprzeciwwko bloku zamieszkanego przeze mnie, nie znajdującego się na plantach o tej konkretnej godzinie, lecz parę kilometrów na wschód od siedzonej przeze mnie ławki, bez ograniczeń czasowych. I obie te okoliczności syntezowały właśnie w ciele objawionego pół metra od mojego nosa człowieka. Lat około sześćdziesiąt, niski, z ciut wystającym brzuchem i, jak na swój wiek, dość bujną siwobrazową czupryną, zakończoną przetłuszczonym zawijaszem, spadającym prosto na

pomarszczone w zdezorientowaniu czoło. Klapki. Te ostatnie zauważyłam dopiero, gdy odwaga pozwoliła mi na przeniesienie wzroku z jego wzroku na moje stopy, a w konsekwencji też i jego stopy. Z jego palucha u prawej nogi sterczały trzy długie czarne włosy – kolor nieco bardziej nasycony niż ten, który miał na głowie. Moje oczy wróciły na poprzednią pozycję. Jego wcale jej nie zmieniły. Albo moje tego nie zanotowały, a on skorzystał z okazji mojego niepatrzenia żeby spojrzeć na leżącego na moich kolanach trupka. Ja z sekundy na sekundę odczuwam coraz większą presję, żeby coś powiedzieć. Obiecuję sobie, że nie.

– Piękny mamy dziś dzień – mówię.

– Ładny ptak – mówi on, a słowa jego jakby same oplatały mnie pozornie niewinną namową do podtrzymania pogawędki.

– Dziękuję.

– To pani?

Ja się waham. Jeśli nie odpowiem, jego pozorna niewinność i słowny gwałt staną się dyskomfortem oczywistym. Niekorzystnym tak dla mnie, jak dla niego. A wówczas pan Władysław, pozbawiony jedynej broni, którą dane mu było posiadać w życiu, a której istnienia nie musiał być wcale świadomy, skryłby się w zatęchłym kącie i z dnia na dzień kruszałby niemilosiernie, również sprawy sobie z tego nie zdając.

– Nie. Przecież widać, że to ptak.

Źle. Poprawiam się.

– Tak, mój.

– Ładny.

Mężczyzna łypie spod łba, a łeb spod mężczyzny. Brak możliwości ucieczki daje mi się we znaki, a pan Władysław, wciąż tak samo nieświadomie, napiera na gołębia i na mnie całą swoją wścibską bezpardonowością. Ja wklejam się w oparcie ławki. Przez chwilę boję się, że zobaczy brak głowy, ale on (pan Władysław, nie Brak), nawet jeśli go zobaczył, zamiast wpędzić mnie w jeszcze większy niepokój, zaczyna... odsuwać się milimetr po milimetrze, krzywiąc się przy tym i mrużąc oczy. Niedostępny dla mojego spojrzenia kręgosłup Władysławi wije się dżdżowniczo – krąg po kręgu – i doprowadzić próbuje do pionu, i tak już z równowagą mającą problemy, głowę. Główkę, główeńkę, głowisko. Mijają wieki. Homo erectus. Mruga, tym razem mimowolnie, obraca się przez lewe ramię, zataczając przy tym smutno, odchodzi. Ja siedzę, gładzę gołębia po na-pewno-nie-głowie i stukam lewą stopą.

Czas się zczasił, nie ma czasu. Ale że nie miałam też zaplanowanej dalszej podróży, brak ten przerażał mnie jeszcze bardziej. Przerażona, wstaję. Myślę, że, a niech to, bo wyjście na drogę prowadzącą do mojego miejsca mojego stałego mojego pobytu wymaga skręcenia w prawo, a ja skręcać w prawo nie chcę, no masz ci los. Skręcam więc w lewo, metr dalej znów w lewo, metr dalej znów w lewo, tak że wykonuję kanciasty obrót przez lewe ramię i wysiedziana przeze mnie ławka znajduje się po mojej, nie wierzę, prawej stronie. Ja jednak jestem po jej lewej, myślę, że mogę z tym żyć, więc żyję, a objawia się to rozpoczęciem przemieszczania się przed siebie. Przedsiębiorczość więc spokojnie i z gracją, albo i bez gracji, ale zdecydowanie spokojnie, bo wiem, że nic nie powinno mnie więcej zaskoczyć. Czyli wszystko na swoim miejscu.

*Daria Niemoja*

## Słowo od Redaktora

Opowiadanie jest improwizacją, w której wszystkie swobodne skojarzenia są równoprawne i one stopniowo rozkręcają temat, na jaki składa się wiele motywów: ptaka, znajomego chłopca, fragmentów krakowskiego krajobrazu nadwiślańskiego, ale i obrazków z wnętrza kamienic. Jest piękny opis budzącego się dnia i wchodzenia w ten dzień jakby w zamiarze zwiedzania go, ponieważ na realne postaci nakładają się tajemnicze elementy sytuacyjne ze swobodnym przesuwaniem czasu. Tok opowiadania (relacji, zwierzenia) staje się surrealistyczny. Postaci Adama, kobiety, starego mężczyzny przesuwają się niczym w filmowym kadrze. Zwraca uwagę język, który sam w sobie jest tematem, jak to bywa niekiedy w poezji (gdzie jedno skojarzenie pociąga za sobą drugie, trzecie i następne), ale też w prozatorskiej rejestracji potoku świadomości. Interesujące jest frazowanie języka poprzez powtórzenia pewnych sylab, co podkreśla intensywność doznawania wrażeń.

*Stanisław Nyczaj*

# Z konkursu Wojewody Świętokrzyskiego i Radia Kielce na krótkie opowiadanie pod hasłem: „Tak widzę świat, tak go czuję – rzeczywistość w obliczu zagrożenia”

## Opowiadania wyróżnione

Michał Janusz

### Oblężenie

Ich ciężki los trwał od ponad roku, chociaż trudno było to dokładnie stwierdzić, bo wszyscy mieli wrażenie, że mijały dekady. Wewnątrz tych murów czas płynął rzeczywiście bardzo powoli, a każdy tydzień zlewał się z kolejnym. Jak co ranka, hetman zwłókł się z siennika przy dźwięku armat, które zastępowały mu teraz pianie koguta. Kiedy został tu uwięziony, zima zaczynała już ustępować wiosnie, ale dziś z okna widać było, jak cała natura znów pokryta jest białym puchem.

Na początku w warowni stacjonowało ponad cztery tysiące piechoty i ponad siedemset jazdy. Dziś z prawie pięciu tysięcy ludzi zostały niecałe trzy. Głód, choroby i nieustające szturmy zbierały ogromne żniwo wśród wymęczonych żołnierzy. Od dawna zostali całkowicie odcięci od świata, a jedzenia ubywało drastycznie szybko. Gdy zapasy całkiem się wyczerpały, zaczęli jeść, co im się nawinęło, koty, psy, a wkrótce i własne konie. Straszna to była rzecz, widok ludzi zmuszonych z głodu i przemęczenia do zabicia zwierząt, które towarzyszyły im najczęściej od żrebaka. Mimo spartańskiej diety, oszczędzania żywności i wielu innych wyrzeczeń, wiedzano, że i konina wkrótce się skończy. A tego, co nastąpi potem, bali się wszyscy.

– Brakuje jedzenia – powiedział krótko i zwięźle niski kapitan, dowódca ochotników z pobliskiego miasta. – Niedługo skończy się też proch, nie możemy ostrzeliwać się w nieskończoność, każdego dnia mój oddział się kurczy. Moi żołnierze i przyjaciele umierają nie od ran, a od czegoś, czego nie można nawet dotknąć, podczas gdy nieprzyjaciół chyba sobie z nas kpi, nie wysyłają już żołnierzy, by nas wykończyć, tylko nękać. Chcą, żebyśmy bez przerwy czuwaliby. Hetmanie, kiedy w końcu stawimy im czoła?! Od miesięcy tylko kryjemy się za tymi murami!

– Nie możemy dać się sprowokować – odpowiedział jak zwykle sędziwy mężczyzna i wyrecytował utrwaloną już w głowie formułkę. – Oblegają nas ze wszystkich stron, i to jest fakt. Nawet jeśli wy-

szlibyśmy im naprzeciw, skończyłoby się to jedynie masakrą naszych oddziałów. Konnicy praktycznie już nie mamy, a i z nią nie mielibyśmy najmniejszych szans. Ich przewaga liczebna jest druzgocąca.

Młodzieniec wbił wzrok w dębową posadzkę. Widać i on zdawał sobie sprawę z bezsensu całej sytuacji. Hetman podniósł zmęczone płonną nadzieją spojrzenie na krajobraz za oknem, jak gdyby licząc, że morze namiotów pochłonie nagle wielka fala. Jednak jego nadzieje okazały się daremne. Oni wciąż tam byli, pili, jedli, spali i czuwaliby, czuwaliby niby stado wilków, wyczekujące momentu, gdy ofiara wystarczająco osłabnie, by krótkim błyskiem kłów zakończyć jej agonię.

– Musimy wytrwać – powiedział w końcu – dopóki nie przybędzie odsiecz, my się stąd nie ruszymy – i dodał po chwili – oni zresztą też nie.

Młody kapitan kiwnął głową i wyszedł zaciskając zęby. W tej chwili w pokoju zrobiło się naprawdę zimno. Mróz przeszył kości starego hetmana, tak że aż cały zadrżał. Postanowił dla rozgrzania jeszcze raz obejść wszystkie stanowiska obronne. To, co widział, nie zdziwiło go – żołnierze byli wyczerpani, na ich twarzach trudno było dostrzec uśmiech lub grymas gniewu, ich oczy były zamglone, przez co wydawali się jakby nieobecni. Poza tymi murami i wiedzy, że po ich drugiej stronie czekała śmierć, nie było nic. W normalnych warunkach wojsko zawiązałoby konfederację i poddało twierdzę, ale nie o to w tym wszystkim chodziło. Wróg nie przyszedł tu zdobywać zamków i wprowadzać nowe porządki, przybył tu, by niszczyć. Jedynie ta warownia stała mu na drodze do serca kraju, do rodzin tych ludzi, ich przyjaciół i osób im całkowicie obcych. Jeśli wróg pomaszerowałby dalej, mógłby zrównać to wszystko z ziemią. Człowiek w obliczu zagrożenia chce być pewny, że gdy będzie odchodził z tego świata, to co kocha, będzie bezpieczne. Ta jedna rzecz trzymała ich wszystkich razem i dodawała siły. Nie chcieli ginąć, ale nie mogli pozwolić, by to, co kochają, miało zostać zniszczone. Wiedzieli niestety też, że mimo całego wysiłku, nie będą w stanie wygrać. Byli świadomi swoich sił, które i w najlepszym wypadku nie dawały im szans na wygraną. Musieli więc trwać, licząc, że ich upór jakimś cudem zwycięży.



Hetman dostrzegał to wszystko, i on miał osoby, które chciał chronić za wszelką cenę. Z uśmiechem na ustach wspominał słynną sentencję ojca, z którą ten nie rozstawał się nawet na łożu śmierci: „Po każdej burzy, nieważne, jak dłużej, wychodzi słońce”. To jedno zdanie tkwiło mu w pamięci tak głęboko, jak język, którym mówił. Gdy powtarzał w myślach tę krótką maksymę, wydawało mu się, że stoi za nim jego ojciec, który z zapałem i uśmiechem poklepuje go po ramieniu. Te słowa oznaczały nadzieję.

Trzeciego dnia wiosny grzmoty dział nagle ustały. Zdziwiony tym hetman popędził szybko ku najdalej wysuniętej baszcie gotowy do wydawania rozkazów. Gdy dotarł na miejsce, nikt się nie poruszył ani nawet nie dostrzegł jego obecności. Wszyscy w milczeniu przyglądali się zabieganym w warownym obozie żołdakom ładującym wozy i składającym namioty.

– Wycofują się – rzekł jeden z obecnych przy nim oficerów, jakby nie będąc pewnym tego, co mówi.

Joanna Pypeć

## Życie spowite mgłą strachu

Na świecie jest w tej chwili ponad 7,5 mld ludzi. Dzieli nas wiele, ale łączy jedno: boimy się końca. Bez względu na wiek, pochodzenie, wykształcenie, kolor skóry i wyznanie. Ale czyż nie wszyscy jesteśmy jednak na niego skazani? To pytanie utrzymuje mnie w bezsensnym transie już od kilku miesięcy. Dzisiaj wszyscy jesteśmy Edypem. Uciekającymi od przeznaczenia, nieuchronnie się do niego zbliżając.

Kręcę się po mieszkaniu. Staram się odepchnąć myśli, ale wydaje mi się, że jedynie zapraszam je w głąb siebie. Minuta po minucie, liczę upływające chwile, starając się nie wyobrażać sobie, że prowadzą mnie tylko bliżej końca. Zostało jeszcze 134 minuty do budzika. Wiem, że już nie zasnę, więc robię sobie herbatę, a jej ciepło kojąco grzeje moje zziębnięte i drżące palce. Siadam na parapecie i patrzę na ulicę. Wiem, że tu w środku nic mi nie grozi, ale nie mogę powstrzymać myśli, że on jest tam. Że patrzy na mnie zza szyby, czeka na okazję do ataku. Myślisz teraz zapewne, że jestem szalona. Że to tylko wirus, nanometrowy byt, który nawet nie jest organizmem. Ale dla mnie oznacza to tylko, że jest niewidocznym, zamaskowanym, nieobliczalnym i świetnie wyszkolonym wrogiem. Czy ktoś kiedyś uczył Cię w szkole o takich żołnierzach? Tak

Kilka dni później po ogromnym obozie nie było już śladu. Jakby nigdy nie istniał. W twierdzy zapanowało ogromne poruszenie, mimo iż podejrzewano, że to zwykły fortel. Dla pewności Hetman nakazał zachować czujność, a sam dzień w dzień słał zwiady, by upewnić się, czy w okolicy rzeczywiście nie ma już nieprzyjaciela. Każdy przynosił tę samą odpowiedź.

Piątego dnia pod bramy warowni podjechał oddział zbrojnych, odzianych w dostojne białe szaty i połyskujące zbroje. Na ich czele jechał mężczyzna o bladej cerze i ze świeżą blizną na policzku, w rękę zaś trzymał pergamin z królewską pieczęcią. Mężczyzna poprowadził swojego gniadosza jeszcze kilka metrów, po czym ze wszystkich sił w płucach zawołał:

– Victoria!!!

*Michał Janusz*

doskonałych? Gotowych przybrać postać każdego z nas? Czy znasz jakiś sposób, by go przechytryć? Albo chociaż opóźnić jego atak?

O godzinie 7:32 zamykam drzwi mieszkania i biorę pierwszy wdech poza moim bezpiecznym azylem. Z każdym kolejnym, czuję że się duszę. Wciągam do płuc unoszącą się w powietrzu panikę. Osiada mi na ubraniu jak pył po wybuchu atomowym, naznacza mnie. Lęk będzie płynął w naszych żyłach jeszcze długo. Może już zawsze. Być może będzie karmił nasze ciała, żywił się wspomnieniami. Ale spokojnie. Wdech. Wydech. Po kilkunastu minutach udaje mi się otworzyć oczy. Po kolejnych kilkudziesięciu powoli wykonuję pierwszy krok. Gdy w końcu staję przed drzwiami wyjściowymi bloku – waham się. Czy dam radę? Oczywiście. Ludzie robią to codziennie. Ale umierają także codziennie. Dziesiątki. Setki. Tysiące. Nie. Nie. Nie. Spokojnie. Wdech. Wydech. Zaciskając palce na kłamce, czuję je równocześnie na mojej szyi.

Do najbliższego sklepu mam jedynie 347 kroków. Liczę każdy z nich. Jest godzina 9:24. Unoszę wzrok pierwszy raz odkąd znalazłam się na zewnątrz. Obrazy zatrząskują się wokół mnie jak niewidzialna klatka. Nikt nie spodziewał się, że początek kolejnej dekady rozproszy nad nami widmo strachu, niepewności i lęku. Widzę te uczucia w oczach ludzi mijanych na ulicy. Pomimo maseczek na twarzach, skrywających zaciśnięte zęby i drżenie ust. Pomimo dwóch metrów odstepu. Wiem, że na mojej twarzy

malują się te same uczucia. Znam je co do jednej zmarszczki. Od lat postarzają osobę, która patrzy na mnie z lustra.

Wbijam paznokcie w skórę. Prostuję palce i znów je zaciskam. Przede mną w kolejce do sklepu są jeszcze trzy osoby. Ciężko jest uwierzyć, że każda z nich może kryć w sobie wroga. Zwerbują nas w kolejce do supermarketu, podczas wieczornego joggingu albo w pracy. A potem nieświadomie przyłożymy broń do skroni babci, taty czy ukochanej młodszej siostry. I to nie my pociągniemy za spust, tylko ten nanometrowy nieprzyjaciel. Czy nawet w najgorszych koszmarach moglibyśmy podejrzewać, że w ten sposób zmieni się świat? Że będziemy dzielić czas na ten „sprzed wybuchu pandemii” i „po”? I jak długo jeszcze będziemy doszukiwać się oznak choroby na każdej napotkanej twarzy?

Ale nie mogę poddać się panice. Nie tym razem. Staram się więc ułożyć w głowie listę zakupów, ale słowa zlewają się ze sobą tworząc listy pożegnalne i słowa epilogu. Jeszcze tylko chwila. Wytrzymasz. Nic złego się nie stanie. Masz zakryte usta, rękawiczki, trzymasz większy dystans, niż to konieczne. Spokojnie.

Gdy wreszcie nadchodzi moja kolej, przekraczając próg budynku czuję, jakby podłoga nie istniała. Biorę głębokie wdechy, ale maseczka mi to uniemożliwia. Boję się ją zdjąć, ale mając ją na twarzy oddycham jeszcze ciężiej. Moje myśli stają się jedną, ciemną masą. Kłębkiem włóczki. Próbuję delikatnie wyciągnąć pojedyncze nitki, ale przez to jeszcze bardziej błędzę. Przystaję oddychać. W tej chwili zapominam o pustej lodówce i niemal wybiegam ze sklepu. Nie pamiętam drogi do mieszkania. Po drodze musiałam się potknąć, bo umywalka zabarwia się na bordowo podczas mycia rąk. Szoruję je coraz mocniej i mocniej, a ślad, jaki

Jan P. Grabowski

*Motto:*

*„Takiego świata, jaki dziś mamy,  
nie sposób dłużej znosić.  
Coś musi się zmienić i to wkrótce”.*

(Marcellus Lukan Gallo w rozmowie z Miriam)  
Lloyd C. Douglas *Szata*

pozostawiają smugi krwi, jest dla mnie symbolem walki z tym, co dziś dzieje się na zewnątrz. Tysiący osób, których rzeczywistość legła w gruzach w ciągu kilku minut. Myśli znów tworzą labirynt, z którego nie ma wyjścia. Kręci mi się w głowie.

Nie wiem, czy mijają sekundy, czy godziny. Bola mnie mięśnie od kołysania się w przód i w tył. Moje ciało leży w kącie łazienki. Umysł jest daleko stąd. W krainie lęku i izolacji. Miejscu, które codziennie rozpada się na kawałki.

Często myślę nad tym, kogo najbardziej dotknęła ta tragedia. Zastanawiam się nad tym całymi nocami, niemal czując, jak za oknem on patroluje ulice. Czeka na nas. Ale czy w ogóle można spośród tej bitwy wyłonić wygranych i przegranych? Czy wolno nam stawiać jednych nad drugimi? Ostatnie miesiące jasno pokazały, że w obliczach katastrofy wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Bo jak inaczej nazwać moje zachowanie, jeśli nie ludzkim? Czy jest coś bardziej człowieczego niż strach?

Mam na imię Asia. Mam 22 lata. Cierpię na zaburzenia lękowe. Dla mnie świat kończy się codziennie. Tak go widzę. Tak właśnie go czuję.

Od autorki:

Problem zaburzeń psychicznych jest mi dobrze znany. Powyższą historią chciałam przybliżyć tę kwestię szerszemu gronu odbiorców. Zwłaszcza w obecnej sytuacji, wobec szerzącej się paniki, warto zastanowić się, jak wpływa ona na tych, dla których codzienne życie jest spowite mgłą strachu. Dziś, gdy każdy z nas odczuwa lęk o siebie, o bliskich i o przyjaciół, postarajmy się także otoczyć troską tych, którzy nie potrafią sami prosić o pomoc.

Joanna Pypeć

**„Patrzyć, widzieć, zobaczyć”,**  
czyli opowiadanie czasu epidemii, z wiosennym  
niebem Anno Domini 2020 w tle

Po arcydziełnej, napisanej piękną polszczyzną, trylogii *Rok 1794* Władysława Stanisława Reymonta, którą Piotr czytał przez kilka tygodni w uniesieniu, mimo niedogodności związanych z lekturą, ogarnęła go obawa: co dalej? Co przyniosą już nie tylko najbliższe miesiące, czy nawet tygodnie, ale także najbliższy tydzień?

To, że wszystkie instytucje kultury zostały z przyczyny epidemii pozamykane, zmartwiło go, ale nie aż zanadto. Wiódł bowiem dotąd życie i tak jakby w kwarantannie: bo prawie na nic nie było go stać, a poza tym był sam, lecz nie w żyl osamotnieniu.

A jedyną radością, czy też przyjemnością, pozostało mu już tylko czytanie książek. Mozolne czytanie przez lupę: na tyle, na ile pozwalał mu jeszcze wzrok w jednym oku.

Co będzie czytał, jeśli również biblioteki są pozamykane, a wszystkie książki z domowej biblioteczki przeczytał już nie raz? Od wielu dni, zgodnie z zaleceniami nie wychodził z domu. Wyjątek stanowiły tylko zakupy raz na kilka dni w sklepie spożywczym. Porządkując książki, natrafił jednak gdzieś na samym dnie szafy bibliotecznej na dotychczas nieczytaną *Szatę* Lloyda C. Douglasa i mimo że wydanie było z 1987 roku, a więc rozsypujące się przy lekturze, zagłębił się w świat sprzed niemal dwóch tysięcy lat. W dodatku lekturę utrudniał liche, pożółkły papier i małe, zbite czcionki, tak że musiał co jakiś czas odkładać lupę, wychodzić na balkon, by odpoczęło mu to jedno, jedyne czynne jeszcze oko, a nade wszystko, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zastajemy zatem bohatera naszego opowiadania na balkonie, gdy wieczorną porą wyszedł, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Żona od świtu i aż do jedenastej wieczorem, gdy zwyczajowo kładą się spać, w drugim pokoju siedzi pochylona nad ekranem komputera i dzień w dzień „zdalnie” załatwia jakieś sprawy. Nie ma czasu, aby nawet wyjść na balkon.

Bo na dworze o tej porze roku jest przecież kwiecień, o tej porze dnia dzieją się najprawdziwsze: powietrzne, przyrodnicze, nade wszystko astronomiczne cuda.

Albowiem Natura, jakby chcąc wynagrodzić ludziom to zamknięcie w domach, rozacza tak długo oczekiwane powaby nadchodzącej wiosny, a więc: w najpiękniejszym przepychu żółcie forsycji, ponadto w oszałamiającym zapachu kwitnących głógów, a także – w śpiewie niepozornego kosa, który właśnie przysiadł na nieodległym drzewie i wygwizduje wieczorną melodię, w której można dosłyszeć także odgłosy otaczającej rzeczywistości. Kosy bowiem jako nieliczne ptaki to potrafią.

– Jak ty, prawie ślepy, niemal głuchy widzisz te barwy, słyszysz te ptaki – komentuje jak zawsze złośliwie wrażenia Piotra jego znajomy Szymon.

– Trzeba... „patrzeć, widzieć, zobaczyć” – ma ochotę odpowiedzieć Szymonowi Piotr, przypo-

minając sobie homilię wygłoszoną w dniu Zmartwychwstania Pańskiego przez księdza duszpasterza środowisk twórczych. Homilię wygłoszoną on-line, przy pustym kościele, zazwyczaj wypełnionym artystami do ostatniego miejsca.

Szymon, który zjeździł niemal pół świata, jest osobą niewierzącą. Przez jakiś czas deklarował się nawet jako agnostyk, ale ostatecznie w każdej sytuacji podkreśla, że „jestem niczym i ku nicości zmierzam”. – A epidemia, która nas teraz doświadczają, jest być może obroną Natury przed nadmierną ilością ludzi. Coś w końcu musiało się stać, bo ludzie, ich zachowania były już nie wytrzymałe... Może ludzie coś w końcu zrozumieją, może coś do nich dotrze – dodaje.

W słuchawkach telefonu Szymon coraz bardziej podnosi głos.

A gdy Piotr przypomina mu, że Natura być może chcąc wynagrodzić ludziom ich ograniczenia, ich zamknięcie w mieszkaniach objawiła się na kwietniowym niebie Anno Domini 2020, a to przepiękną koniunkcją Księżycy i Wenus, a to właśnie oglądaną koniunkcją Wenus i Plejad, Szymon przerywa mu jak zawsze złośliwie:

– No to już jest naprawdę jakieś dziwne, aby prawie ślepy i w dodatku niemal głuchy widział gwiazdozbiory, wiedział, gdzie jest Księżyc. Mało tego, potrafi dostrzec Plejady, gdy mało kto w ogóle o nich wie.

– A jeśli ci powiem, że wyczuwam światło Księżycy na swoich dłoniach, na swojej twarzy. A jeśli ci powiem, że to przecież nietrudne, by – sprawdzisz przedtem informacje o, chociażby w Internecie – odszukać na wieczornym niebie Wenus i Plejady i „patrzeć, widzieć, zobaczyć”...

– „Patrzeć, widzieć, zobaczyć” – chyba raczej metafizycznie, może nawet mistycznie, niż astronomicznie, niż fizycznie – dodaje już jakby mniej cynicznie Szymon.

Co jednak robią w ten czas niewychodzenia z domu inni ludzie? Dlaczego siedzą nawet w słoneczne dni za oknami zapartymi na głucho? Może także czytają interesujące książki? Ale przecież sześćdziesiąt procent w ogóle nie czyta książek i nie wszyscy mają domowe biblioteczki. A zatem non stop oglądają telewizję, seriale, „grają w komputer”? Ileż jednak można oglądać seriali, nie wszyscy przecież mają Netflixa, nie wszyscy mają możliwość korzystania ze streamingowej telewizji.

– Jeśli ktokolwiek wychodzi na balkon to tylko po to, by... „zadymać”, jak się na żart Szymon

określa palących papierosy. – Ja ze swego balkonu nie widzę nikogo patrzącego w gwiazdy, nawet na koniunkcję Wenus i Plejad.

– A czy wiesz, że także w kwietniu pojawi się Superksiężyc, czyli Super Pink Moon? Trzeba by wstać o trzeciej nad ranem. To już jutro. Wstaniesz?

– Czy wstanę? Oczywiście, że wstanę. Trzeba jakoś żyć „mój kolego jedwabny”, jak nazywa Szymon Piotra, gdy ogarniają go refleksje.

– Tak ty widzisz świat, tak go, „mój kolego jedwabny”, czujesz. Ja widzę, czuję, widzę inaczej. Zupełnie inaczej. Musimy jednak spokojnie przeżyć ten czas i to nasze tu życie. Bo innego nie będzie.

*Jan P. Grabowski*



16.09.2020. Kielce. Koncert z okazji 40-lecia Solidarności. Na zdjęciu (z prawej): Lech Makowiecki. Fot. Wiktor Taszłow / Radio Kielce

16 września 2020 roku w Wojewódzkim Domu Kultury im. J. Piłsudskiego w Kielcach odbył się uroczysty koncert z okazji 40-lecia Solidarności, przygotowany staraniem Polskiego Radia Kielce, TVP 3 Kielce oraz Przewodniczącego Regionu NSZZ Solidarność Waldemara Bartosza – we współpracy z Wojewodą Świętokrzyskim Zbigniewem Koniuszem, Marszałkiem Świętokrzyskim Andrzejem Bętkowskim i Naczelnikiem Delegatury IPN w Kielcach Dorotą Koczwańską-Kalitą.

<https://www.radio.kielce.pl/pl/wiadomosci/te-utwory-w-czasach-prl-dodawaly-otuchy-ich-przeslanie-jest-nada,113770>



16.09.2020. Kielce. Koncert z okazji 40-lecia Solidarności. Na zdjęciu: Aleksandra Gintrowska

Fot. Wiktor Taszłow / Radio Kielce

## Przed nocą

Brzegi rzeki zbliżają się do siebie  
cichnie gwar ulic stygną milczące pochody  
w aortach

jesteś na jednej z tych wysp  
które zbyt szybko oddalają się od siebie

i nadal nieważne stają się pory roku  
śmierć zwierząt najniższe loty jaskółek

powoli wszystko pozbawia się sensu  
Być może gest jakiś czyjś grymas  
rozmazana farba zasychająca na płótnie  
nazbyt dokładnie wyreżyserowany spektakl  
Hamlet śmieszniejszy od Papkina  
jeszcze odnajduję czasem ciebie  
odleglejszego niż przemarsz rzymskich legionów  
wzdłuż Dunaju

A jednak możesz tam być między wiosennymi mleczami  
twoja modlitwa już dawno  
ominęła najdalsze kręgi wody  
w myślach pogubiłeś  
wczorajsze kontynent cień pajęczyn  
a nawet żal z kryształkami mrozu zastygającymi  
zmęczeniem

twoje wzruszenie  
coraz częściej podnosi rękę od klatki piersiowej  
słyszysz jak trzepecze w niej ledwie uchwytny  
głos wystraszonego zwierzęcia  
jego ból towarzyszy ci równomiernie  
między przystankami wśród zarośniętych trawą torów  
na zupełnie wymarłych stacyjkach

Być może jeszcze raz zakwitną kasztany  
odurzony staniesz w pełnym milczeniu latarń  
ulicą przemkną cienie zakochanych  
o rysach zupełnie zapomnianej rzeczywistości

Sylwetce wybitnego poety został poświęcony w znacznej  
części Nr 25/2019 kwartalnika LiryDram, w którym  
o jego twórczości pisze m.in. Stanisław Nyczaj (s.38-39).



## Ktoś jeszcze łka

*Jurkowi Leszinowi-Koperskiemu*

Proszę to czarny tulipan na jego twarzy widać  
wzruszenie  
jest mieszkańcem tych ulic na których wczoraj umierali  
młodzi rewolucjoniści

Tylko banki nie umierają stają się miłosierne  
jak wiersze głodnych poetów

Ten ciemny od purpury krwi bez  
niespodziewanie zakwitł jesienią  
zapewne błędzą w nim dusze umierających  
artystów wypłowiałych snów których nikt nie chce  
zrozumieć

Ale jesteśmy nagle wśród powstających reklam  
krzykliwych polityków ścierwa i zapachu nie do  
wytrzymania

I wszystko przestaje nas boleć – twoja ręka oddala się  
od mojej twarzy ekrany telewizorów przywołują  
samotność

nikt nie wypycha nas z tłumu – obojętniejemy  
wobec własnych przyjąć i pożegnać

Być może ktoś jeszcze łka w głębi wieczoru  
wdeptany w cudowne psychotropowe pastylki  
i septyczną biel szpitalnych korytarzy

Wybór ze strony <https://pisarze.pl/tag/jeden-wiersz/>

## Magia teatru

Jan zakończył pracę. Jeszcze raz dokładnie sprawdził całą widownię, ale nie znalazł nic podejrzanego. Zabrał sprzęt i poszedł do siebie, do głównego biura. Tak żartobliwie nazywano schowek pod schodami na szczotki, łopaty do odśnieżania i inne przynależne cieciom narzędzia. On właśnie taką rolę wypełniał w teatrze. Wcale mu to nie przeszkadzało, zresztą nie miał za bardzo prawa wybrzydzać. Praca może niezbyt eksponowana, ale potrzebna i co ważniejsze jego. Po ostatnich dwóch latach nie było łatwo znaleźć cokolwiek na stałe, a tak dzięki zgodzie dyrektora czuł, że jest u siebie. Na swoim miejscu. Zamknął schowek i poszedł zdać klucze.

Dzisiaj na portierni Klementyna. Nie lubił tej Klementyny, chyba z wzajemnością. Inne proponowały herbatkę, nawet kawę, a ta traktowała Jana z góry. Patrzyła teraz na powłóczącego uszkodzoną w bójce nogą, przygarbionego, zwiniętego jakoś do środka mężczyznę. Wcale nie miała ochoty na pogaduszki z nim, nigdy się za takie zresztą nie zabierał. Jego poobijana, wymęczona gorzałą twarz przypominała Klementynie zmarłego z przepicia męża. Nienawidzi pijaków. Inne, te co rozmawiały z Janem twierdzą, że on nie pije, że rzucił. Im może takie bajki opowiadać, jej nie nabierze, ona swoje wie. Nie lubi też zarośniętych, a ten zupełnie jak jej stary pod koniec, kiedy już się nie golił, zarósł cały. Łeb mu na tym pijaństwie i marnotrawstwie życia wyłysiał, owszem, nie całkiem, ale za pięknie ten nowy cieć nie wyglądał. Doczłapał wreszcie dziadziina na portiernię, powiesił klucze, odwrócił się, aby wyjść i wtedy Klementyna odezwała się: – Zaczeka, mam kartkę od dyrektora.

Janowi serce mało nie stanęło – zwalnijają. Na to się zanoszą. Dyrektor przeczytał w jego papierach o wyroku. Chociaż musiał wiedzieć wcześniej, zwalnianie nie o więzieniu. Pewnie któraś poskarżyła, pewnie ta, że siada na górze odpocząć na stołku od fortepianu. Na pewno o to – wziął kartkę i z drżeniem rąk ją przeczytał. Przeczytał jeszcze raz, bo nie do końca rozumiał. Odwrócił się i bez słowa wyszedł z portierni. Pożegnał go zimny wzrok Klementyny. Serce waliło Janowi jeszcze po tych nerwach, a okazało się niepotrzebnie. Dyrektor zapraszał go na premierę, właściwie do pracy, ponieważ wszyscy mężczyźni będą potrzebni jako

statyści podczas przerw w spektaklu. Wracając do wynajmowanego pokoju i całą drogę myślał – co też każe mu dyrektor robić? Na wszelki wypadek postanowił przyciąć brodę i możliwie się ładnie ubrać. Perspektywa spotkania ludzi tak innych od tych, wśród których spędzał ostatnie lata mroziła go, a jednocześnie wywoływała dawno zakopane emocje.

Przed premierą dyrektor zebrał wszystkich sprzętaczy, elektryków, szewców i wszelkich innych fachmanów, i przemówił do nich w garderobie. Sens mowy był taki – mają podobierać sobie przyniesione z magazynu fraki, garnitury i tym podobne stroje. Przebrani po prostu zajmą miejsca na widowni. Nie wolno im kontaktować się z sobą, powinni sprawiać wrażenie zwykłych, tylko niezwykle ubranych gości.

– A jak zapyta ktoś, zagadnie? – spytał elektryk Stachu.

– Nie tłumaczyć, nie dać się zdekonspirować. Na bankiecie dopiero wyjaśnię sytuację. – Podszedł do Jana – o, proszę, proszę. Pan już tak jakby uzyskał nową tożsamość. Poważnie zastanawiałem się, czy to pan.

– Ogoliłem się tylko.

– Tylko? Proszę ze mną. Dla pana mam prawdziwy frak, koszulę i wszelkie właściwe dodatki. Zapraszam do gabinetu.

Ruszyli. Janowi drżało serce. Nie był nigdy w gabinecie dyrektora, to znaczy nie był już od lat. Oczywiście obecny gabinet całkowicie różnił się od zapamiętanego mgliście przez Jana wnętrza.

Dyrektor zostawił go z ubraniami samego. Jan zaczął się przebierać. Między gestami, delikatnymi muśnięciami koszuli, przy poprawianiu muszki, nieuchronnie zaczął myśleć o niej.

Tu zobaczył Magdę pierwszy raz. Na pewno. Przeszedł się w eleganckich półbutach, nie upinały. Wszystko tak jakby uszyte na Jana, nie tylko buty. Usłyszał pukanie do drzwi. Dyrektor wszedł i stanął bez ruchu.

– Wie pan oczywiście, że do fraka trzeba się urodzić?

– Tak mówią, panie dyrektorze.

– Przeczuwałem to. Nawet trzyma się pan w nim zupełnie inaczej. Zapraszam, już czas na spektakl.

Jan na widowni usiadł obok eleganckiej pani. Dopóki nie zgasły światła, odczuwał spory niepokój.

Wiedział, że sąsiadka zerka na takiego odmieńca, ale musiał jakoś to przetrzymać. Później było tylko lepiej. Sztuka wciągnęła go, chociaż nieznośne maniery grania jakby nie do partnerów irtowały. Początkowo przeszkadzały mu i dziwne, miał wrażenie, że składające się głównie z bielizny, kostiumy. Znał treść wystawianego dramatu, widział go w co najmniej pięciu interpretacjach, ale ta wydała mu się zupełnie szalona. Z czasem jednak, pod koniec pierwszego aktu, a jak się okazało pierwszej części, spektakl wciągnął Jana na dobre. Reżyser połączył akt drugi z trzecim i wszystko zamknęło się po potężnych skrótach w dwóch częściach. Przerwa za to była dosyć długa. Podczas niej Jan i jego koledzy z teatru znakomicie się prezentowali. Zgodnie z zaleceniem nie stawali w jednym miejscu i sprawiali wrażenie „zwykłych” widzów.

Jana ciągnęło w stronę półkoncertowego fortepianu. Wabił błyszcząc nienaganną czernią i zdawał się do niego mówić – podejdź, dotknij mnie. – Z trudem się powstrzymywał. Usłyszeli dzwonek i wrócili na widownię. Do końca już zupełnie zapomniał o swojej sytuacji, zapomniał o tym, że nie podobały mu się kostiumy i udziwniony sposób gry. Dał się wciągnąć bez reszty, zaczął nawet myśleć, że dzieje się to naprawdę kilka lat wstecz, kiedy jeszcze mógł tu przyjść dla niej lub z nią. Wszystkim chyba się również podobało, bo zespół zebrał oklaski na stojąco. Jan wstał, ale nie klaskał. Jakoś nie mógł. Dłonie trzymał przy sobie i stał. Wszyscy już wyszli, a on jeszcze tkwił w krześle, tak jakby czekał na kogoś. Na nią? Z garderoby zaczęli w końcu ubrani po cywilnemu wychodzić aktorzy na bankiet. Podnieceni, zmęczeni, zachwyceni i pełni niepokoju. Wstał w końcu i on. Już wygłoszono oficjalne mowy, fotografowano się na ścianie, wszyscy do wszystkich uśmiechali się, lgnęli, a on w amoku, nie widząc nikogo, dążył wprost do fortepianu. Usiadł, podniósł wieko, rozprostował palce, wziął kilka akordów. W foyer szmery rozmów jakby przycichły w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Kierowniczka marketingu poszukała wzrokiem oczu dyrektora i spytała go dramatyczną miną – co robić? Czy interweniować? – Dyrektor był podobnie do niej zaskoczony, jednak stanowczo pokręcił głową. Janowi czarno-białe klawisze zawirowały przed oczami. Przestraszył się, ale trwało to tylko chwilę. Uniósł dłonie i zagrał. Całkiem uciszył publiczność. Muzyka zogniskowała na nim uwagę. Grał nieporadnie wariacje na tematy z dzisiejszego spektaklu. Palce nie nadążały początkowo

za dźwiękiem powstającym w wyobraźni Jana. Szło mu i tak nieźle, nieźle jak na wieloletni rozbrat z instrumentem. Stopniowo nabierał pewności i dłonie zaczynały go słuchać. Teraz przeszedł do wiązanki własnych kompozycji, tych, które pisał do tutejszych spektakli. Tu czuł się zdecydowanie swobodniej. Rozkręcał się coraz bardziej i bardziej. Maszynista Józef pracujący od zawsze w teatrze podszedł do dyrektora i zupełnie nie bacząc na jego funkcję pociągnął go za rękaw i tłumaczył do ucha, kogo słuchają. Teraz ostatecznie go rozpoznał, a zastanawiał się nad tym, odkąd Jan pojawił się w przebraniu. To mógł być tylko on.

Muzyk już nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Melodia niosła go i niosła, mijały wraz z cytowanymi spektaklami lata i tylko miejsce obok przy fortepianie stało puste. Przymknął oczy i zaczął grać jej ulubioną kompozycję. Grał już tylko dla niej, nawet nie dla siebie, a ona tańczyła taka piękna, taka sama jak w dniu, kiedy w teatrze ujrzał ją pierwszy raz. Kostium balowy z trzeciego aktu wirował wokół sylwetki Magdy, a wszyscy zastygli w podziwieniu dla jej urody. On również był pod wrażeniem, został wszak skutecznie zaczarowany za pierwszym razem, ale bardziej podziwiał jej różnorodne *emploi*. Potrafiła być damą z dworu carskiego, polską siłaczką walczącą z ciemnotą, babą w brudnej od biedy chacie, kochanką straceńcą i pozerającą mężczyzn na śniadanie *femme fatale*. Wszystkim. Żartował, że gdyby kazali jej zagrać lokomotywę i to by zrobiła. Przez grzeczność nie zaprzeczała.

Teraz grał fragment z ostatniego jej spektaklu. Próbował przycisnąć się przez ten koszmarny moment, przerobić go jakoś, może ominąć. Nie było go na widowni, nie było go nawet w Polsce, kiedy to się stało, a doskonale wiedział, w którym momencie sztuki, na których nutach jego świat się skończył. Runął. Jeden wystrzał, tylko jeden, od razu śmiertelny.

Grał dalej. Teraz otworzył oczy, płakał, a obok niego stała zabrana kulą zazdrośnika miłość, stała, uśmiechała się do niego i jak zawsze pod koniec popisu głaskała z czułością, biorąc kosmyki jego blond loków między palce.

Grzegorz Rak

Krystyna Cel

## Opus Magnum polskiej pisarki

Czytając *Księgi Jakubowe* Olgi Tokarczuk podziwiamy ogromną pracę, jaką autorka włożyła w to obszerne, bo liczące aż 900 stron dzieło. Dla czytelnika to niezwykła podróż w odległe już XVIII-wieczne czasy, podróż, jak czytamy w podtytule „Przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc tych małych”. Ale to również intelektualny wysiłek, bo każda z siedmiu ksiąg otwiera świat, nie aż tak znany nam w swym bogactwie szczegółów swojej codzienności, świat, w którym żyją obok siebie przedstawiciele różnych społeczności, różnych nacji, zawodów, wyznań, zwyczajów i obyczajów. I trzech religii: chrześcijaństwa, judaizmu i islamu, z którymi czytelnik musi się zmierzyć swoim doświadczeniem i światopoglądem człowieka już XXI wieku.

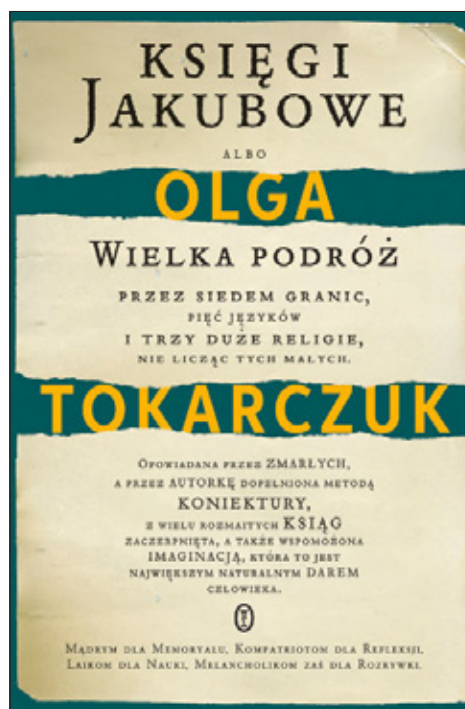
Księga I *Z mgły* rozpoczyna się datą 1752 r. i prowadzi do Rochatyna, niewielkiej miejscowości na kresach Rzeczypospolitej, co już, niestety, podupadła – za dwadzieścia lat dokona się jej pierwszy rozbiór.

W tymże Rochatynie, na Podolu, gdzie rozpoczyna się akcja, by później przenieść się do wielu różnych miejsc, na przykład do Warszawy, Częstochowy, Krakowa, także do Austrii i Niemiec, spotkać można tę właśnie kulturową różnorodność, tak charakterystyczną dla I Rzeczypospolitej w swych rozległych granicach, sięgającej „od morza do morza”.

Polacy, Żydzi, Litwini, Ukraińcy, Białorusini, Ormianie, Wołosi, Turcy – mieszały się więc i języki, a obok katolickich kościołów widniały żydowskie synagogi i prawosławne cerkwie.

Jak wyglądały, jak przebiegały relacje pomiędzy tą różnorodną społecznością, zwłaszcza tu, na tzw. Kresach, tak bardzo widoczną, gdy każda z nich gotowa była bronić tej swojej kulturowej odrębności, zachować swoją wiarę, zwyczaję i obyczaje. Autorka najwięcej miejsca poświęca relacjom polsko-żydowskim i już w Księdze I widzimy, jak były one trudne, często naznaczone wrogością i nienawiścią.

Księgę I zamyka tragiczna historia Żydów oskarżonych o rytualny mord chrześcijańskiego chłopca: „Brano tedy oskarżonych na tortury i przez mistrza świętej sprawiedliwości po trzykroć przypaleniem traktowani byli. Z tych korporalnych konfessat okazało się rychło, iż Jankiel i Ela, arendarze karczmy



w Markowej Wolicy namówieni przez Szmajera, rabina z Pawlaczy schwycili jakoby to dziecię, uprowadzili je do karczmy, spili wódkę, po czym rabin scyzorykiem lewy bok przebił. Potem zaś w książkach swe modlitwy czytali, a inni Żydzi świeczkami i wielkimi szpilkami kłuli ze wszystkich żył krew niewinną, wyciskali do miski, którą to rabin obdzielił obecnych, we fłaszeczki im rozlewając. [...] Siedmiu motorów tej zbrodni i hersztów tego pogańskiego okrucieństwa miał mistrz z rynku od pęgierza z miasta Żytomierza z okreconymi konopiami i oblanymi smołą obiema rękami, zapaliwszy, prowadzić przez miasto pod szubienice. Tam z każdego po trzy pasy drzeć, potem ćwiartować, głowy na pal powbijając, ćwierci porozwieszać. Sześciu skazano na ćwiartowanie, jednego zaś, jako że do wiary katolickiej, świętej z żoną i dziećmi w ostatniej chwili przystąpił, skazano na lżejszą karę aby był tylko ścięty.”

To fragment listu biskupa Kajetana Sołtyka, który wszczął i nadzorował ów proces. Zdziwiające, że podobna historia zdarzyła się dwieście lat później w czasie kieleckiego pogromu. Z tą tylko różnicą, że chłopiec, o zamordowanie którego oskarżono Żydów, wrócił do domu z dziecięcego wypadu do swoich krewnych. Ale myślenie i mentalność ludzi dokonujących owego tragicznego w skutkach pogromu (i sprzyjających mu) były podobne. Jakże więc trudne były (i chyba są do dziś) relacje polsko-żydowskie.

W społeczności żydowskiej, której autorka poświęca niemało miejsca, widzimy duże zróżnicowanie nie



tylko w obrębie samej żydowskiej religii (są tu różne jej odłamy, nawet się zwalczające), ale też w statusie materialnym, poziomie życia, wykształcenia, mentalności. Dużo tu żydowskiej biedy, w wielodzietnych rodzinach, życia na pograniczu nędzy. Miesza się ta bieda z chłopską, bo to czasy pańszczyzny i poddaństwa. Jakże często tej biedzie towarzyszą: brak oświaty, analfabetyzm, przesady, zabobony. W wieku XVI, nazywanym przecież wiekiem rozumu, czasami oświecenia, ale do Polski zbliża się ono nie aż tak wielkimi krokami: „Szor myśli, że źle jest być Żydem, że Żyd życie ma ciężkie, ale być chłopem jest najgorzej. Chyba nie ma bardziej przekłętogo losu. Pod nimi chyba tylko cała gadzina. Bo nawet o krowy i konie, a zwłaszcza o psy pan dba lepiej niż o chłopa i Żyda” – takie oto refleksje przychodzą do głowy jednemu z bohaterów *Ksiąg Jakubowych*.

W *Księdze II (Księga piasku)* zarysowuje się w toku narracji postać głównego bohatera, Żyda Jakuba Franka. Charakteryzując tę postać, oddaje pisarka głos różnym osobom, także mamy wielostronny obraz i osąd tej charyzmatycznej postaci. Kim jest bohater *Ksiąg Jakubowych*? Wydaje się właściwym oddać głos autorce, która w wywiadzie dla Polsatu News tak mówi: „Trudno go ocenić jednoznacznie, to postać ambiwalentna, kontrowersyjna. Zapamiętano go w bardzo różny sposób: Zwolennicy, jako pięknego, wysokiego, charyzmatycznego mężczyznę, przeciwnicy – jako obrzydliwego garbusa, który nie potrafi skłecić zdania. Tak naprawdę to sama nie wiem, kim był Jakub Frank. Na pewno był zdolnym politykiem, na pewno wywarł ogromny wpływ na rzesze ludzi, także na polskich arystokratów, był żydowskim mistykiem, choć wykorzystywał religię do celów politycznych”.

Niewątpliwie był bohater *Ksiąg Jakubowych* niezwykłą osobowością, skoro aż tak przyciągnął Żydów, że poszli za nim, uznając go za Mesjasza, który miał ich zbawić. Jego wierni wyznawcy nazywali go Panem, wierząc, że poprowadzi ich nie tylko do zbawienia, może nawet do nieśmiertelności, ale nade wszystko do lepszego bytu w ich doczesnym życiu. Pragnienie stworzenia godziwego życia, osiedlenia się, zdobycia ziemi na własność, równych praw z Polakami, także i szacunku, było niemałą zachętą do przyjęcia chrześcijańskiej wiary, do czego pociągnął ich właśnie Jakub Frank.

W roku 1759 odbył się we Lwowie uroczysty chrzest kilku tysięcy Żydów, może i kilkunastu, jak pisze autorka. Co ciekawe, ojcami chrzestnymi neofitów byli sprzyjający im zamożni magnaci, także arystokratki. Jedni z pobudek religijnych, inni, by

przypodobać się kościołowi, jeszcze inni z wyrachowania i nadziei na zyski.

Dla większości społeczności żydowskiej był ów chrzest odszczepieństwem, zdradą, a to co głosił Jakub Frank – herezją. Potępiali surowo frankistów, dochodziło do ostrych starć, rozdźwięku w rodzinach, nienawiści, nawet i bezwzględnej walki. Jedni wrzucali w ogień żydowskie Talmudy, inni bronili ich i ukrywali swoje święte żydowskie księgi.

Jakże ciekawe są te różnorodne, polsko-żydowskie relacje z kończącej się już doby saskiej. Autorka opisując je w tak wielostronny sposób wprowadza do powieści różne wątki, różne autentyczne, także i historyczne postacie. Zaczyna przecież księgi od postaci księdza Benedykta Chmielowskiego i jego wielotomowego dzieła *Nowe Ateny albo Akademia Wszelkiej Sciencji pełna... mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki*. To opasłe, monumentalne dzieło, będące niekiedy bezkrytyczną kompilacją wiedzy, wielokrotnie krytykowane, było jednak dla sarmatów z epoki saskiej encyklopedią wiedzy.

Pojawia się też Elżbieta Drużbacka, znana i utalentowana poetka staropolska zwana przez współczesnych „słowiańską Safoną” i muzą sarmacką. Pojawia się też i kasztelanowa Kossakowska, mająca pewien wpływ na niektóre wydarzenia, zabiegająca o przychyłność dla przyjętych na łono kościoła Żydów. Ale chyba najciekawszą postacią, oprócz samego Jakuba Franka, jawi się Moliwda, czyli hrabia Antoni Kossakowski – wykształcony, błyskotliwy, znający wiele języków ekscentryczny dziwak. Jego życie to jakby sama w sobie wielka przygoda, pełna wzlotów i upadków, ale też niepokoju i cierpienia. Ta jedna biografia, na którą złożyło się tak wiele, zapewne fascynuje i zdumiewa, ale też niepokoi poprzez swoje ciągłe niespełnienia i niedosyt. Przywodzi też myśl, że spokojne, pełne ładu i harmonii życie to chyba największy luksus. Wiele refleksji, przemyśleń, pojawia się podczas lektury *Ksiąg Jakubowych*. Jak też i ta, że przyjęcie nowej religii nie dokonuje się tak łatwo i pozostawia ślad w psychice. Chyba że religię, wiarę, traktuje się czysto instrumentalnie, jak to czyni bohater *Ksiąg Jakubowych*. Spojrzenie współczesnego czytelnika na tę szeroko zakrojoną działalność Jakuba Franka nie może pozostać i bez takiej refleksji, że był on pośród swoich wyznawców niczym guru. Jego polecenia, rozkazy, nakazy spełniano bez zastrzeżeń, a niektórzy prześcigali się nawet w przypodobaniu się swojemu Panu, jak go nazywano. Od tych co dokonali konwersji płynęły też pieniądze na jego wystawne życie. Nawet uwięziony

w klasztorze w Częstochowie (aż trzynastcie lat) nie narzekał na samotność czy brak różnych przyjemności, na przykład seksualnych. Ale to był dopiero początek, bo później już po wyjściu na wolność stworzył na Morawach i w Niemczech prawdziwy dwór, żyjąc w luksusie, a nawet zbytku. Nie brakowało mu też kobiet. Relacje z nimi, także ze swoją córką Awaczą (Ewą) zakrawają już na swego rodzaju wynaturzenie. Kobiety wybrane przez Pana (Jakuba Franka) czują się wyróżnione, jakby dostały szczególnej łaski. Ich mężowie nie protestują i w zasadzie godzą się na współżycie swoich żon z Panem.

Zainteresowanie Jakubem Frankiem, jego dworem i frankistami jest duże. Z całej Europy ciągną tu jego wyznawcy, a on sam jest też mile widziany na dworze cesarskim w Wiedniu. Jego piękna córka, Ewa, staje się kochanką samego cesarza. To chyba są najlepsze lata powodzenia i świetności bohatera *Ksiąg Jakubowych*. Później przyjdą już trudniejsze chwile, ale i w tym czasie wychodzi z nich jak zawsze obronna ręka. Charyzma, spryt, inteligencja i ciągle wierni wyznawcy służą mu pomocą. Niektórzy z frankistów zdołali już pnać się po drabinie społecznej zająć wysoko. Zostali uszlachceni, zdobyli tytuły, jednym słowem wtopili się w chrześcijańską społeczność, niechętni już swym żydowskim korzeniom. Ale są i tacy, którym trudniej odnaleźć się w tej przecież nowej, jakże innej tożsamości. Tęsknią za tym, co utracili i z sentymentem wspominają swój czas i siebie sprzed konwersji. Pojawia się też niekiedy zwątpienie i krytycyzm.

Sądzę, że dla czytelnika historia Jakuba Franka i frankistów rzucona na tło wydarzeń społecznych i politycznych aż kilkudziesięciu lat budzi wiele refleksji zwłaszcza co do jej oceny, nie tylko w kon-

tekście swojego czasu, czyli doby oświecenia. Powstaje też pytanie, na ile oświeceniowe idee przychodziły w sukurs ruchowi frankistów. A jak ocenia autorka to niezwykle ciekawe zjawisko? Posłużę się jej słowami z cytowanego już wywiadu dla Polsatu News: „W zamkniętym, feudalnym społeczeństwie Polski XVIII wieku frankiści mieli odwagę naruszyć porządek feudalnych podziałów i pięli się w górę drabiny społecznej. Jednocześnie po przyjęciu chrztu wielu frankistów zaczęło się asymilować. Wielu z nich było wielkimi patriotami i ogromnie przysłużyło się Polsce. Można też powiedzieć, że budowali zręby polskiego mieszczaństwa. Po chrzcie zmieniali nazwiska i imiona i roztopili się w polskim żywiole”.

Ciekawa jest również konstrukcja *Ksiąg Jakubowych*. Otóż nad tymi wszystkimi postaciami i wydarzeniami unosi się duch żydówki Jenty, która wszystko widzi z zaświatów, widzi wyraźniej i lepiej, dopełniając je swoją myślą i refleksją. Jest jak chór, tyle że jednoosobowy, w starożytnym dramacie. Taka irracjonalna konstrukcja postaci Jenty tworzy specyficzny klimat, może trochę mistyczny, ale przecież obracamy się w kręgu żydowskiej mistyki, bohatera powieści też można nazwać żydowskim mistykiem.

Krystyna Cel

Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie, nie licząc małych*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, s. 903.

Wywiad z Olgą Tokarczuk: <https://www.polsatnews.pl/wiadomosc/2019-10-10/jakub-frank-traktowal-religie-pragmatycznie-wywiad-z-olga-tokarczuk/>.



Dyr. Andrzej Dąbrowski otwiera spotkanie z Olgą Tokarczuk (12 lutego 2015) Fot. Archiwum WBP

## Z pochylenia nad tomikiem wierszy Benedykta Kozieła *Z obłoków z doliny*

Określenie życia człowieka jako drogi, wędrówki, rzeki unoszącej ku nieznanemu drugiemu brzegowi, to figura stylistyczna znana i dość powszechnie stosowana nie tylko w literaturze. Przez życie się idzie, płynie albo życie nas porywa, miota nami. Niby chodzi o to samo, o przeżywanie życia, a jednak... W pierwszym ujęciu akcent położony jest na sprawczość podmiotu, jego aktywność, gotowość do kształtowania swojego życia. W drugim – podmiot jest bierny, poddaje się życiu i dryfuje na jego falach. Postawa podmiotu lirycznego wiersza Benedykta Kozieła wpisuje się raczej w tę pierwszą opcję. W tomiku *Z obłoków z doliny* odnajdujemy wiele czasowników akcentujących aktywność lirycznego bohatera, który, myślę, niejednokrotnie jest *alter ego* Autora; aktywność twórczą i zdeterminowaną. Poza rutynowym *idę* pojawiają się: *biegnę, wracam, szukam, patrzę, słucham, piszę, jestem*. [...] *jestem/ w niewysłowionym* – pisze poeta w wierszu *W niewysłowionym*. Ten króciutki utwór cały prawie zbudowany jest z czasowników i stanowi wg mnie swoiste credo życiowej postawy B. Kozieła: „Wypatruję/ nasłuchuję/ spodziewam się/ jestem/ w niewysłowionym”.

Ta świadomość niemożności dookreślenia stanów wewnętrznych nie zwalnia od szukania prób zrozumienia. To dążenie do uchwycenia jakiegoś impulsu, przeblysku, choćby namiastki zrozumienia przejawia się w wielu utworach. „W czterech ścianach życia/ cicho stawiane pytania/ próby zrozumienia” (*Spojrzenia*); „szedłem/ między słowem a rzeczywistością/ między zrozumieniem a Bogiem/ w niemożliwe (*W otwartym dniu*); „chęcią zrozumienia/ dziękuję dobremu duchom” (*Dobrym duchom*).

Myślę, że każdy poeta stawia sobie to arcytrudne zadanie – zrozumieć. I drugie – nazwać, wypowiedzieć. Wbrew przekonaniu, że jest to nieosiągalne. Ale przecież słowa są po to, by nazywać. Pomiędzy słowami jest milczenie. Ono też znaczy. Poeta jest w słowie i słowo jest w poecie. Słowa są materią literatury w ogóle, ale szczególnie w poezji osiągają swoistą magię i moc. „[...] zamieszkałem/ kątem/ w zasłyszonym słowie” – pisze B. Kozieł w wierszu *Dom*. A w innym wyznaje: „ciągle szukam/ prawdy słów”, mając nadzieję, że ową prawdą można

leczyć skazy na naszym świecie. „Już tak rozbity/ porozrywany/ ten nasz świat [...] sklejam go/ w każdym możliwym miejscu/ każdym słowem” (*Każdym słowem*).

Poetyckim słowem ze szczególnym sentymentem, wręcz pietyzmem przywołuje B. Kozieł czasy dzieciństwa – atmosferę, osoby, przeżycia. Czyni to w wielu wierszach i to zagadnienie jest warte osobnego szkicu. Ja natomiast chciałabym zatrzymać się nieco dłużej przy niezwykle urokliwym, zamykającym tomik i jednocześnie tytułowym wierszu *Z obłoków z doliny*. Pierwsza zwrotka brzmi jak swoiste przesłanie:

Tak jak się przyszło  
z obłoków  
z doliny  
trzeba iść dalej  
za najbliższe wzgórze  
za lustro rzeki  
w rozstawione drzewa

Ładna metafora. I różnie można ją odebrać. Najbardziej narzucające się znaczenie wskazuje na podstawowe zadanie – wypełnienie misji życia. Bo życie być może jest misją. Następne zwrotki potwierdzają takie rozumienie, bo autor wymienia powinności, którym trzeba sprostać, realizując misję życia. A zatem niewątpliwie jest to wiersz o życiu. Ale życie przecież ma swój kres. Właśnie nawiązanie do tego faktu widzę w pierwszej zwrotce. Wynika to może ze skojarzenia z przepiękną wg mnie metaforą śmierci istniejąca w powieści W. Myśliwskiego pt. *Widnokrąg*. Tam bohater wyobraża sobie, że kiedyś dotrze do linii widnokregu, przejdzie na drugą stronę i po kopule nieba wdrapie się tak wysoko, że będzie mógł obserwować to, co dzieje się na ziemi. To odejście – gdzieś tam, w nieokreśloną bliżej przestrzeń, „za najbliższe wzgórze, za lustro rzeki”, za widnokrąg, to odejście w tajemnicę. Przecież po drugiej stronie jest tylko tajemnica. A tajemnica nie ma kresu. Benedykt Kozieł kończy swój wiersz słowami: „znajdować drogę/ która się nie kończy”.

Jakaż to droga się nie kończy? No właśnie – tamta, za kresem tej. Tajemnica.

Takie odczytanie tego tekstu to moje subiektywne odczytanie, zdaje się – paradoksalne, biorąc pod uwagę wymowę wiersza jako całości. Ale na szczęście czytelnik ma prawo doszukiwać się w tekście treści, których autor wcale nie zamierzał pomieścić. I myślę, że im więcej możliwości interpretacyjnych stwarza wiersz, tym większa jego wartość.

## Moja czy nie moja bajka? – słów kilka o poezji Benedykta Koziela

Benedykt Koziel od swojego debiutu, który przypadł na początek lat 80. ub. wieku, wydał zbiory wierszy: *Przestąpiłem progi patrzeń* (1986), *W agrafce przestrzeni* (1992), *Ty mówiłaś słowa wieczne* (1992), *To co jest* (2000), *W Niekurzy i gdzie indziej* (2007), *Otoczyła mnie miłość* (2009), *Słowem w wodę* (2010), dwujęzyczny polsko-rumuński *Cuvantul in apa* (2014), dwujęzyczny polsko-bułgarski *W środku tajemnicy* (2016), *Z obłoków z doliny* (2019). Znajdziemy też jego utwory w wielu antologiach i czasopismach literackich o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowym, m.in. w *Antologii Poetów Polskich* 2017 i 2018, w dwujęzycznej serii Wydawnictwa Ibis *Mosty*, w antologiach Warszawskiej Jesieni Poezji, w antologiach w Wielkiej Brytanii, Rosji, Białorusi, Jakucji. Czytano je w Polskim Radiu i zdobyły laury na znaczących konkursach poetyckich organizowanych na terenie całego kraju. Uznani krytycy i literaturoznawcy chwalą je i polecają. Tymczasem ja niejednokrotnie pozostawałam wobec nich obojętna, tkwiłam w przekonaniu, że wiersze Koziela to nie moja bajka.

Jeżyłam się, wyczuwając w tej, jak mi się zdawało zimnej poezji, oszczędnej w środku stylistycznej i w słowa w ogóle, duży wpływ awangardzistów: Peipera i Przybosia. Sercem jestem jednak bliżej współczesnych poetów klasycyzujących niż tych, wprowadzających rewolucję w literaturze i pragnących przebudowy społeczeństw oraz zmiany ludzkiej świadomości. Jestem z natury konserwatystką, więc takie zapędy budzą we mnie opór.

Na pierwszy ogień, ze względu na tytuł, a także niewielką objętość, poszedł tomik *Otoczyła mnie miłość*. Wiadomo, kobiety w każdym wieku poszukują uczuć. Książka nagrodzona w X Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Leopolda Staffa została bardzo ładnie wydana przez Oficynę Wydawniczą STON 2 już dość dawno, bo w 2009 r. Bardzo szybko dotarłam do ostatniego utworu, przyznając, że autor do perfekcji opanował awangardową metodę – minimum słów, maksimum treści. Nie zarumieniły mi się jednak policzki i serce nie zaczęło bić szybciej. To może akurat dobrze, ze względu na jego zły stan. Nie przerwałam jednak lektury i nie zgasiłam światła. Coś kazało mi rozpocząć powtórna, tym razem już powolną konsumpcję utworów.

Znalazłam tam bowiem treści, które zasługiwały na głęboki namysł, na wniknięcie w to, co twórca upakował w miniaturowej formie i ukrył między wersami. Musiałam ponownie przeczytać i przeanalizować całość, gdyż tomik stanowi integralną, dokładnie przemyślaną całość.

Pierwszy utwór *W niedobrej szkole* jest rodzajem wstępu, w którym podmiot liryczny dokonuje swojej autoprezentacji. Charakteryzuje się, mówiąc, w jaki sposób go ukształtowano: „uczyłem się/ jak w niedobrej szkole”. Nie należy jednak sądzić, że szkoła była marna i jest źle wyedukowany. Dalej dowiadujemy się bowiem, iż efektem tej „nauki” jest pewien walor. Podmiot liryczny nie rozumie nienawiści, a to przecież cecha ludzi niemalże świętych, ludzi wielkiej tolerancji i wspaniałomyślności. Tylko czy z taką przypadłością łatwo żyć?

Kolejne utwory są opowieścią o miłości, a podmiot liryczny jest bohaterem i sprawozdawcą. Stajemy się świadkami mozolnego, upartego, momentami rozpaczliwego, lecz zakończonego sukcesem budowania wspólnoty. Dowiadujemy się o trudnościach w porozumieniu z drugą osobą, o odczuwaniu tęsknoty za jej bliskością i ciepłem, ale też o klęskach wywołanych różnym postrzeganiem świata i nieumiejętnością okazywania uczuć. Zanim jednak ucieszy nas zwycięstwo miłości, przeżywamy z podmiotem lirycznym jego rozterki, wahania, niepewność akceptacji proponowanych wartości: „u ciebie/ szukam uzasadnienia”, „niepodobny/ do twoich/ rodzinnych fotografii/ psuję obraz”. Wydaje się, że to ta druga osoba stara się dominować: „chcesz poznawać mnie/ w ukłonach”. Chce mieć wpływ na działania podmiotu: „posyłasz mnie/ jak w drogę [...] zakreszlasz widnokreśli”, „rysujesz/ linię drogi”. Mimo tych trudności dochodzi jednak do porozumienia i wzajemnej akceptacji. Splotowi dwóch osobnych widnokreśli pomaga cielesna bliskość opisana z niespotykaną wprost powściągliwością: „znajduję cię/ jak w dotyku/ linia kształtu utrwalona radością/ spełnienie/ na wyciągnięcie ręki”.

Podmiot liryczny nabiera w końcu pewności siebie. Teraz jego działanie ma moc sprawczą: „wydostają się/ jak z ciszy/ każdym dźwiękiem otwieram noc”. Szczęście bohaterów wydaje się udzielać także otaczającemu ich światu. „w Porto/ wszystkie spojrzenia/ jak zauroczenie [...] uśmiecha się każdy pak”. Takie uniesienie poety musi znaleźć ujście w twórczości. Na krakowskiej ulicy widzi że: „przestrzeń/ zrywa się poezją”. To naprawdę wyjątkowo

skrótowe opisanie klimatu miasta i chwili, zamętu, jaki powoduje nagłe poderwanie się do lotu chmury gołębi oraz zasygnalizowanie nadciągającej weny. Poeta-podmiot liryczny traktuje miłość równie poważnie jak swoją misję twórczą. Właśnie spokój wewnętrzny płynący z przekonania, że uczucie miłości prowadzi człowieka do wieczności, daje mu moc tworzenia: „niosę/ jak wieczność/ słowo w sobie/ słowo w słowie/ początek wszystkiego”.

Nie kontroluję już zegara, tylko wczytuję się w wiersze Benedykta. Wiersz *Szerokość ulicy* zamieszczony w tomiku już jako drugi naprowadza odbiorcę na ścieżkę wiodącą do świata jego wartości. Spojrzenie skierowane „jak przez szerokość/ ulicy Franciszkańskiej w Krakowie” na słynne okno papieskie odsyła nas do nauczania papieża Jana Pawła II, który wiele uwagi poświęcił małżeństwu. Związek dwojga ludzi połączonych uczuciem, któremu błogosławi Bóg, może przeżywać różne kryzysy, ale ma siłę, aby je przetrwać. Tę siłę czerpie z wiary oraz poczucia odpowiedzialności za siebie i współmałżonka. „Ja” liryczne nie mówi tego wprost, nie naucza, lecz na swój sposób jednak ewangelizuje. Tworzy obrazy, w których życie w zgodzie z tymi wartościami i wpasowanie się w rodziną, chrześcijańską tradycję daje cudowne ukojenie. W utworze *Sen* wyznaje: „pogodzony/ płynę bezpiecznie”.

Nauka Jana Pawła II nie jest poradnikiem małżeńskim. Odwołanie się do niej wskazuje, że nie chodzi tu tylko o spokojne i miłe życie, lecz o eschatologię – o drogę do wieczności. We wspomnianym już wyżej wierszu *Wieczność* „ja” liryczne składa swoje wyznanie wiary, odwołując się do początkowych słów Ewangelii Jana. Przyznaje jednocześnie, iż ma świadomość wielkiej, sprawczej mocy słów. Dobrze zatem, że dysponując tak mocnym orężem jak słowo, on sam jest człowiekiem pozbawionym uczucia nienawiści, a ponadto rozważnym i refleksyjnym. Dowiadujemy się, że idzie przez życie wolno, z namysłem „wyprzedzają mnie ślady/ upewniam się/ w sobie” mówi w wierszu *Przez życie*. Jest zwolennikiem ładu wynikającego z wiary i tradycji, „lokuję się/ jak w istniejącym porządku” – wyznaje w kolejnym utworze.

Ten piękny tomik zamyka wiersz *Modlitwy* dedykowany Janowi Pawłowi II. Powraca w nim także motyw okna jako otwarcia się na rzeczywistość, tę realną i tę metafizyczną. „Twoje okna/ w Krakowie Rzymie Niebie” – wymienia jednym tchem, wskazując tym samym na uniwersalność

i ogromniejący zasięg głoszonej przez świętego Polaka nauki.

Osoba mówiąca w tych wierszach nie używa patosu, właściwie szepcze swoją historię, nie dając zbyt wielu określeń i informacji, charakteryzujących okoliczności rozgrywanych scen oraz jej bohaterów. Mam wrażenie, jakby wszystko tu było naszkicowane ołówkiem, są to obrazy ze światła i cienia. Pojęcie koloru, ale bez nazwania konkretnej barwy, pojawia się dopiero w momencie, gdy sytuacja między bohaterami tego, pozbawionego krwi i ciała romansu, zaczyna się klarować pozytywnie. Kwiaty ofiarowane przez bohaterkę są desygnatem dobra, piękna, uśmiechu losu, lecz nie wiemy, jak wygląda ją. Ja lubię malować epitetami, ale muszę przyznać, że walory wizualne bukietu nie mają właściwie żadnego znaczenia w tej scenie. Odbiorca może wyobrazić sobie każdy dowolny bukiet, według własnego gustu i pory roku. To niedookreślenie przerzuca niejako ciężar stworzenia pełnego obrazu na odbiorcę i tym samym go uaktywnia.

We wszystkich wierszach tego tomiku (co mnie początkowo denerwowało) występuje konstrukcja stylistyczna zawierająca słowo „jak”. Jest ona tylko pozornie prostym porównaniem, figurą aż nadto wyeksploatowaną przez poetów. Benedykt Koziół nie tyle zestawia cechy jakichś obiektów, co określa zaistniałą sytuację. Podmiot liryczny mówi: „spotkany/ jak w spojrzeniu/ odwracam życie” lub „pojawiam się/ jak z ujadania psa” i w ten lapidarny sposób ukazuje stan emocjonalny bohaterów. Widzimy, co dzieje się w ich umysłach, a co demonstrują swoją zewnętrzną postawą. Poeta łamie momentami poprawność gramatyczną i pozornie gwałci logikę: „nasłuchuję jak z zadowolenia”, „wychodzę/ jak z obecności”, ale uzyskuje dzięki temu niesłychanie esencjonalne naszkicowanie sytuacji, a o to właśnie mu chodzi.

Przeczytałam dokładnie wiersze tylko jednego tomiku Benedykta Koziół i moja konserwatywna dusza już się nie jeży. Została ugłaskana głęboko humanistycznym i etycznym wydźwiękiem jego poezji. Słowa użyte w nowych konfiguracjach jak pokoje w amfiladzie otworzyły przede mną swoje nowe funkcje i znaczenia, zakreśliły śmielsze, szersze widnokreśli.

Beata Kępińska



Wejście do Pustelni Złotego Lasu w Rytwianach  
Fot. Benedykt Koziół

## Bogumił Wtorkiewicz

### Nektar słów

We wrześniu 2019 roku, na Małej Scenie Kieleckiego Centrum Kultury odbyła się uroczysta gala z okazji 35-lecia Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Po części oficjalnej, w czasie spotkania towarzyskiego, doszło do mojej rozmowy z poetą Benedyktem Koziołem. Benedykt właśnie porządkował teczkę i w imię przyszłej przyjaźni, z dziesięciu tomików poetyckich, które wydał otrzymałem cztery: *W Niekurzy i gdzie indziej* (2007), *Otoczyła mnie miłość* (2009), *Słowem w wodę* (2010), *Z obłoków z doliny* (2019).

Tomiki pod względem edytorskim są starannie wydane. Okładki z grubego, kredowego papieru. Na ostatnich stronach okładek notki biograficzne i zdjęcia autora. Mnie podoba się pierwsza strona okładki tomiku *Otoczyła mnie miłość*. Kiedy patrzę na nią, przenoszę się w XIX wiek. To dzięki dziewczynie z fontanny, zakłętej w rzeźbie. A najbardziej okazała ze względu na opis wydarzeń literackich jest notka na ostatniej stronie okładki tomiku *Z obłoków z doliny*. Są tu wszystkie tytuły wydanych tomi-

ków poetyckich, dużo tytułów czasopism polskich i zagranicznych, gdzie publikował poezję. Do tego antologie i nagrody w konkursach. Ta wielość szczegółów biograficznych dobrze świadczy o autorze.

Jego wiersze są nektarem ze słów albo jak utwory muzyczne. Każde dodane lub odjęte słowo burzy całą kompozycję. Zachwycam się taką budową wierszy, które są preludiami literackimi.

Bardzo piękne jest zakończenie wiersza *Klucze* z tomiku *Z obłoków z doliny*:

słowa  
lecą nade mną  
płoszone życiem

Pisząc surrealistycznie, odczuwam nad moją głową trzepot słów. Wystarczy je tylko uporządkować poetycko. Podobny wiersz *Przez las* z tomiku *Otoczyła mnie miłość*:

Idę  
za słowem  
jak przez las

każdy krok jest drzewem  
im dalej  
tym więcej słów

Tych krótkich wierszy pełnych zaskakujących literacko sformułowań jest dużo. Są bliskie mojej duszy i własnej twórczości poetyckiej. Rzecz bardzo ważna – nawet kilka wyrazów zestawionych ze sobą jest już poezją. Może jeszcze przykłady:

Znajduję cię  
jak w dotyku

linia kształtu  
utrwalona radością  
spełnienie  
na wyciągnięcie ręki  
(*W dotyku*)

Wręczyłaś mi kwiaty  
jak dopowiedzenie

zapachniało  
radością

adorowałem piękno  
(*Dopowiedzenie*)

Twoje okna  
w Krakowie Rzymie Niebie  
jak modlitwy

zostawione  
każdemu z nas

na wieczną obecność  
(Modlitwy)

Wszystko, co piękne duchem lub materią, działa na mnie. W tym kontekście pragnę zwrócić uwagę na doskonałe artystycznie zdjęcia, których autorem jest Benedykt Kozieł, zamieszczone w tomiku *W Niekurzy i gdzie indziej*.

Na skrzydełkach okładki jest zdjęcie, gdzie żółta, polna droga ginie w oddali zasłonięta bujną zielenią olbrzymich drzew. Na pierwszym planie, po prawej stronie dominuje duże liściaste drzewo. Niebo od ziemi jasne przechodzi ku górze w intensywną niebieskość. Zdjęcie czarujące.

To była przyroda, a teraz z tego samego tomiku architektura. Na pierwszym planie brama, a za nią, w oddali, druga. Obie połączone brukową kostką. Bardzo piękne ujęcie tej architektury.

W tomiku *Otoczyła mnie miłość* zwracają uwagę oszczędne w wyrazie plastycznym rysunki Anny Biernat. Jest przyroda i architektura. Są cztery kolorowe rysunki kwiatów, które prezentują się znakomicie. Zwracają też uwagę doskonałe rysunki czarno-białe.

Przyroda w poezji Benedykta żyje obrazami plastycznymi. Kiedy czytam takie wiersze, jak *Za oknem, To co było, W moim sadzie* – widzę opisywane sroki, sikorki, wiewiórki. Podobnie wiersz *Przed domem* budzi we mnie wizję obrazu lub filmu, jak napisał autor:

plamy drzew  
wywołane na chwilę  
otoczył wiatr

psy nie spały  
kontury zabudowań  
budziły wyobraźnię

Dostałem powiewu refleksji. W artystycznej gorączce pisałem, czytając poezję lub oglądając ilustracje. Moją głowę „otoczył wiatr” i jak pisze Benedykt „słowa/ lecą nade mną”.

Bogumił Wtorkiewicz

*Ludzie są śmiertelni, ale Rzeczpospolita wieczna.*  
Stefan Czarniecki (1599-1665)

## Regionalny rarytas Teofili Sokolińskiej o pogromcy Szwedów

[...] Metropolio krakowska! – ku twoim granicom zbliżają się król Jan Kazimierz i kasztelan kijowski Stefan Czarniecki. Spieszą na czele dwutysięcznego oddziału rajtarii.

Jan Kazimierz po klęsce pod Żarnowem, 16 września 1655 roku, szybkim marszem przez Czarncę, Włoszczowę, Szczekociny, Żarnowiec i Miechów spieszy na południe ku Krakowowi. Zostawia we Włoszczowie jazdę kwarcianą, w pięć tysięcy koni, pod dowództwem hetmana polnego koronnego Stanisława Lanckorońskiego, by opóźnił marsz Karola X Gustawa. [...]

Jan Kazimierz przybywa do Krakowa wieczorem 19 września 1655 roku, stając na zamku wawelskim. Rankiem 20 września zwołuje radę senatu, na której wyznacza komendantem Krakowa z tytułem gubernatora miasta zamku królewskiego zaufanego 56-letniego, byłego swojego dworzanina, Stefana Czarnieckiego.

Stefan Czarniecki – zagończyk, to jedyny senator, który zgodził się pozostać w zagrożonym mieście.

To fragmenty rozdziału I (s. 5-6) wydanej ostatnio książki Teofili Sokolińskiej pt. *Stefan Czarniecki – pogromca Szwedów*.

Kim jest autorka opowieści historycznej o wybitnym Polaku, wywodzącym się z Czarncy na ziemi włoszczowskiej, którego nazwisko Józef Wybicki umieścił w tekście pieśni legionów gen. Jana Henryka Dąbrowskiego (będącej od 1927 r. polskim hymnem państwowym) i o wydarzeniach, które zapisały się w naszych dziejach pod nazwą „potop szwedzkiego”? Polaku, który stał się symbolem męstwa, wytrwałości i wierności.

Urodziła się 8 marca 1935 r. w rodzinie chłopskiej Franciszka Krawczyka i Marianny z Wrześniaków w Żelisławicach – dawnym folwarku Czarnieckich – w pobliżu Czarncy. Z zawodu jest nauczycielką, absolwentką Liceum Pedagogicznego w Częstochowie i Wydziału Humanistycznego WSP im. Powstańców Śląskich w Opolu. Przez wiele lat pracowała początkowo w szkolnictwie podstawowym, następnie w średnim – LO i Zespole Szkół Zawodowych nr 2 we Włoszczowie, a także jako bibliotekarka we włoszczowskiej Bibliotece Pedagogicznej. Od 1980 r. związana z Nauczycielskim Klubem Literackim w Kielcach. Z powodzeniem

uczestniczyła w konkursach literackich, organizowanych m.in. przez Zarząd Główny ZNP w Warszawie i kielecki Nauczycielski Klub Literacki. Jej nagrodzone opowiadanie *Wyczekiwanie* ukazało się w almanachu *Bazar 3* (Kielce 1981).

Jest honorowym członkiem Towarzystwa Pamięci Hetmana Stefana Czarnieckiego w Czarncy. 23 września 2007 r., podczas obchodów setnej rocznicy drugiego pogrzebu hetmana oraz 15-lecia istnienia tegoż Towarzystwa, została uhonorowana repliką szabli hetmana, którą wręczył jej ówczesny wicepremier Przemysław Gosiewski. Odznaczona m.in. Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Mieszka we Włoszczowie.

W 2003 r. opublikowała opowieść historyczną pt. *Czarnieccy z Czarncy w służbie królów i Rzeczypospolitej*, świetnie wprowadzającą współczesnego czytelnika w epokę, kiedy zasłynęli z męstwa oddani sprawie Ojczyzny Czarnieccy, wznowioną w 2013 r., w którym też ukazała się druga jej powieść pt. *Stefan Czarniecki w ogniu kresowych walk 1637-1655*.

W trzeciej opowieści Teofila Sokolińska ukazuje Stefana Czarnieckiego walczącego bohatersko w czasie najazdu Szwedów i wojsk księcia Siedmiogrodu Jerzego II Rakoczego na nasz kraj w latach 1655-1660. Od 1655 r. Stefan Czarniecki był senatorem, kasztelanem kijowskim. W czasie „potopu” pozostał wierny królowi Janowi Kazimierzowi. Wraz z autorką czytelnik z uwagą prześledzi zmagania rodaka z Czarncy z wrogami Rzeczypospolitej – zarówno zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi – tj. magnatami, których nazwisk może nawet nie warto wymieniać.

Swą opowieść rozpoczyna od obrony Krakowa, którą kieruje Czarniecki jako gubernator miasta w dniach 24 września – 19 października 1655 roku. Mianowany regimentarzem, dowodzi wojskami koronnymi w wielu operacjach przeciwko wspomnianym już Szwedom i Rakoczemu, z powodzeniem stosując taktykę wojny podjazdowej, zwanej też wojną „szarpaną”. Bitew i potyczek było wiele. Ponosi klęskę pod Gołębim (18 lutego), ale zwycięża już pod Jarosławiem, Przemyślem, Warką, Łowiczem, Bydgoszczą, Gdańskiem, uwalnia od najeźdźcy Warszawę (28-30 lipca). Walczy i zwycięża, rzadko przegrywa. Kończy opowieść rozdziałem o wyprawie naszego bohaterskiego wojewody ruskiego na czele swych wojsk do Danii (lata 1658-1659).

Zbeletryzowaną opowieść o „pogromcy Szwedów” odtworzyła autorka na podstawie wielu pub-

likacji naukowych (wymienia ich 26 w załączonym do książki wykazie).

Czytelników z gminy Włoszczowa zapewne zainteresuje, czy w okresie „potopu” ich sławny krajan choć na krótko wpadał do Czarncy. Taki przyjazd miał miejsce w te strony, do Dąbia, na wesele Waclawa Leszczyńskiego, bratanka prymasa Polski, z jego córką Konstancją Zofią Czarniecką (s. 248-249). Zapewne był też w swym czarnieckim dworze. Ale czy tylko raz odwiedził rodowe gniazdo w tych burzliwych latach? To jak to właściwie było? Autorka książki napisała, przytaczając wypowiedź jego żony Zofii, że nie przyjeżdżał w tym czasie do Czarncy, a „przysyła tylko od czasu do czasu przez posłańców krótkie listy, w których zawsze pisze, że teraz w potrzebie jest Rzeczpospolita” (s. 216).

Uważnych czytelników zaciekawi również rozdział o pobycie prymasa Andrzeja Leszczyńskiego w Kurzelowie i w Czarncy (12-18 stycznia 1657).

Należy wysoko ocenić wkład pracy Teofili Sokolińskiej w zebranie materiałów, przestudiowanie ich, zagłębienie się w tak odległy okres historyczny, wyobrażenie sobie postawy, zachowania kreślonego z pasją sylwetki swego bohatera. To była iście benedyktyńska praca. Należy też docenić walory stylu, jakim posługuje się autorka. Wprawdzie jest to styl bardziej „nowoczesny”, choć w wielu miejscach poprzez użycie słów i zwrotów archaicznych (np. „Będziem atakować miasto”, „Obronę go musim”, „Widzę moich rezolutów”, „Cóż to za larum?”, „Ciesz mi się animusz waszmości!”) jest po części „historyczny”, przynależny książkom o dawnych dziejach.

Pisząc o odległych wydarzeniach, używa czasu teraźniejszego: „Rok 1655 powoli zbliża się ku końcowi. Kapituluje Kraków. Do walki ze Szwedami przygotowuje się Jasna Góra. Stefan Czarniecki z nieliczną załogą osiada na zamku w Siewierzu” (s. 44). Czytelnikowi może wydawać się, że bierze bezpośredni udział w tamtych wydarzeniach, a autorka jest ich naocznym świadkiem i obserwatorem. Unika też umieszczania orzeczenia na końcu zdania, co jest charakterystyczne dla wielu pisarzy historycznych (np. Henryka Sienkiewicza).

W książce zamieściła również słownik wyrazów (35!) w większości dziś nieużywanych (np. *burka*, *kirys*, *koncerz*, *pałasz*, *rapier*, *wiorsta*, *włoka*, (*jechać*) *rysią* itp.), by ułatwić czytelnikowi zapoznanie się z nimi bez korzystania z leksykonów, encyklopedii, które nie zawsze znajdują się w zasięgu ręki.

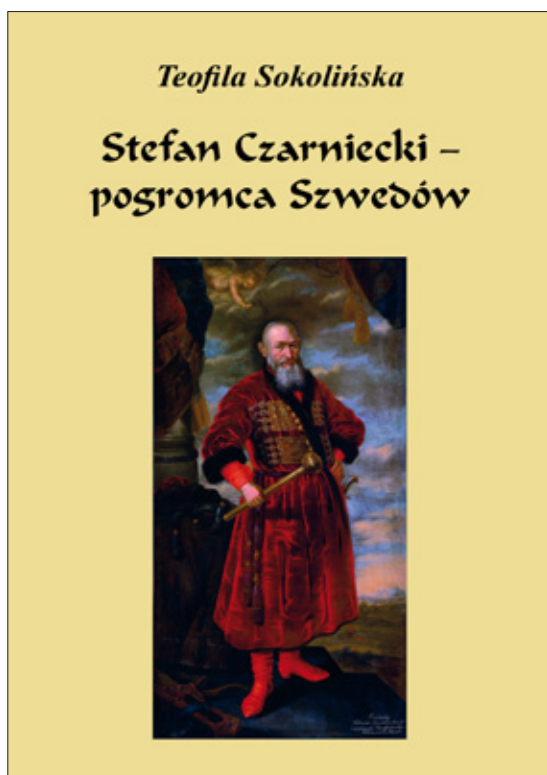


Zamieszczone ilustracje, zdjęcia, mapki z XVII wieku – w większości kolorowe – ułatwią zapewne kontakt z epoką i zachęcą do „podróży w czasie i przestrzeni”.

Książkę, która jest niezwykle „listem autorki do przyjaciela”, a powstała zapewne z wewnętrznej potrzeby, w skrytości ducha, z umiłowania ziemi rodzinnej, czyta się z rosnącym w miarę lektury zainteresowaniem. Powinna ona przypaść do gustu nawet wybrednym czytelnikom. Opowieść zadedykowała autorka swej córce Grażynie „z podziękowaniem za pomoc w jej opracowaniu, oraz Rodzinie”. Myślę, że ta barwna opowieść będzie równie dobrze przyjęta, jak poprzednie, przez czytelników. Jest bowiem ważnym przyczynkiem do poznania tajemnic biografii hetmana i odkrycia nieznanych kart historii nie tylko naszego regionu. Z pewnością autorka zbeletryzowanej „trylogii” o Stefanie Czarnieckim wpisała się w poczet dociekliwych badaczy polskich dziejów. Toteż książki jej autorstwa powinny znaleźć się na półkach bibliotek szkolnych i publicznych.

Tadeusz Stolarski

Teofila Sokolińska, *Stefan Czarniecki – pogromca Szwedów*. Kielce 2020, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 260.



## O antologii *Na koronawirazu* w felietonie z cyklu *Listy do Pani A*.

Ostatnio Staszek Nyczaj – jako poeta zaangażowany w dobrym znaczeniu tego słowa – wykonał gigantyczną pracę. Zebrał i wydał utwory różnych poetów i prozaików, którzy do tej chwili zdążyli poruszyć w swej twórczości jakże aktualny (niestety!) temat pandemii. Antologia ta nosi tytuł *Na koronawirazu*. Zaiste, błyskawiczna to reakcja na sytuację aktualną.

Znalazło tu się około czterdzieścioro autorów. Całość podzielona jest na trzy części. W pierwszej są wiersze i opowiadania członków i sympatyków, obchodzącego w tym roku jubileusz 100-lecia, Związku Literatów Polskich; druga gromadzi utwory twórców należących do Stowarzyszenia Autorów Polskich i innych stowarzyszeń, a trzecia część zawiera teksty poświęcone Janowi Pawłowi II w 100-lecie jego urodzin. Poza tym znajduje się tutaj obszerny dział grupujący noty biograficzne wszystkich autorów oraz ich zdjęcia.

Pozycja pod każdym względem wartościowa. Znajduje się tutaj poezja takich m.in. twórców, jak – oprócz Staszka – Krystyna Cel, Krystyna Konecka, Anna Maria Musz, Harry Duda czy Elżbieta Lisak-Duda. Cieszę się, że goszczę w takim gronie.

Szczególną zaś uwagę Pani pragnę zwrócić na prozę Ireny Nyczaj pt. *Insekt*. Jest to opowiadanie psychologiczne, mówiące o różnych reakcjach człowieka w sytuacjach dlań ekstremalnych. Zawsze byliśmy otoczeni swoistymi „koronawirusami”. Lękami, kalectwem, brakiem zdrowia, niedomaganiem, warunkami, w których przychodziło żyć. A więc wszystko się powtarza, lecz w innych konfiguracjach; odmienne są tylko przyczyny i realia.

Opowiadanie Ireny Nyczaj jest bardzo ciekawym studium psychologicznym, nie mówiąc już o bardzo o świetnie skonstruowanej fabule. Dzisiejszy trudny czas pandemii znajduje się w tle. To proza nie tylko aktualna, ale przede wszystkim uniwersalna; stanowi jeden z najlepszych utworów zamieszczonych w tej antologii.

Odcinek 148 pod nagł. *Kalambury i smutki*, „Gazeta Kulturalna” nr 11(291) z listopada 2020, s. 14. [http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/images/stories/pdf/11\\_2020\\_14.pdf](http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/images/stories/pdf/11_2020_14.pdf).

## O najnowszych tomach poetyckich Stanisława Nyczaja

Wiersze Stanisława Nyczaja cechuje duży dystans do rzeczywistości, wycucie wieloznaczności słowa, przebogaty arsenał skojarzeń, celność metaforyki. Obserwujemy to również w tomie *Czasochłon*. Głównym tematem utworów – jak wskazuje tytuł – jest czas, pojęty jako niezależne od człowieka zjawisko przemijania, z którym należy się pogodzić. Ale częściej w tym tomie jawi się on jako gwałtowny, destrukcyjny żywioł, któremu ulega wszystko: ludzie i zwierzęta, rzeczy martwe, zwłaszcza wytworzone przez człowieka, a także glob, wszechświat. Zmienia się historia, kruszą się budowle, odchodzą ludzie, którzy wydawali się nam niezniszczalni i niezastąpieni. Czas wchłania wszystko. Podmiot liryczny sam podlega jego destrukcyjnemu działaniu:

Sztylety rozpedzonych wskazówek  
dopadają mnie nieustępliwie,  
przeszywają wzdłuż, wszecz, na wskroś  
(*Sztylety zegarowych wskazówek*)

Wprawdzie istniejemy we władaniu ustawicznych zmian; jesteśmy połykani, unicestwiani przez ów niezatrzymany żywioł, ale jednak możemy się temu procesowi przeciwstawiać. Pytanie, na ile to będzie nasza iluzja, a w jakim stopniu „zjawisko obiektywne”, nie jest tutaj problemem najważniejszym. Najistotniejsze są nadzieje, wiara w to, że wszystko, co przeminęło, może powrócić, jeśli tylko tego chcemy. Poezja Stanisława Nyczaja nie poddaje się egzystencjalnemu tragizmowi:

W coraz to mocniej bijących sercach  
na powrót odżywa nasza  
szalona młodość.  
  
– Toż to doprawdy wprost nie do wiary,  
a jednak...  
– A jednak udało nam się  
zwyciężyć czas!  
(*A jednak*)

*Czasochłon* w gruncie rzeczy okazuje się tomem smutnym, by nie powiedzieć: tragicznym w swojej wymowie. Coś się kończy, odchodzi, podmiot liryczny zmagają się z lękiem i samotnością, ma poczucie wiecznej utraty; utraty nawet samego siebie.

Twórczość Stanisława Nyczaja cechuje filozoficzne, czasami wręcz stoickie, spojrzenie na rzeczywistość. Nie znaczy to jednak, że ta poezja nie bywa emocjonalna. Przeciwnie – pulsują w niej silne emocje, świat przedstawiony jest niezwykle dynamiczny i zmienny. W jednym z utworów czytamy:

Odchodzą niezastąpieni  
i pustka po nich dolega  
jak niegojąca się rana.  
[...]  
Czas bieg wskazówek wstrzymuje  
jakby chciał cofnąć – bo rana  
nie chce się w sercach zablźnić  
(*Niezastąpieni*)

Tu mała dygresja – zwróćmy uwagę na inwencję słowotwórczą poety. Już sam tytuł tego tomu świadczy o wyobraźni językowej Nyczaja. Neologizmy w rodzaju: odemścić się, pustka (która) dolega, motorniczy (złó)dziejów, przedążyć, powszechprzemijanie – którymi Nyczaj inkrustuje swoje wiersze – w sposób istotny urozmaicają język poetycki autora, a dzięki temu staje się on ciekawszy i oryginalny.

Ale wróćmy do konkretnych wierszy. W utworze dedykowanym Jackowi Wiatrowskiemu czytamy coś zupełnie odwrotnego, niż w cytowanych wyżej *Niezastąpionych*:

Zapamiętaj – nigdy się nie umiera  
a i na finiszu swojej zmiany wciąż trwa,  
przekazując w niekończącej się sztafecie  
istnienia  
kontynuatorowi  
bezcenną, ścisną jak skarb mocno w piersiach  
pałeczkę gorącego oddechu.  
(*W niekończącym się biegu*)

Czy więc ulegamy złudzeniu? Czas nie jest aż tak zabójczy? Owszem, jest dotkliwy, „przeszywa nas na wskroś”, ale taka bywa już kondycja wszystkiego, co istnieje. Prędzej czy później trzeba przez to przejść. Oby jak najpóźniej. Nyczaj dostrzega całe piękno świata, urok istnienia, pomimo dramatów i świadomości przemijania. Ale przecież – wydaje się mówić poeta – wszystko to składa się na koloryt życia zawieszony w pewnych granicach czasowych. Zatem w aktywnym przeżywaniu skrywa się nasze ocalenie, nawet gdy:

Czas w szalonej galopadzie  
czujnemu sercu się wymyka,  
urąga hardemu rozumowi.

[...]  
Jednak nie ulegam

Tratowany, znów się podnoszę  
i zaciskaną coraz mocniej w sercu  
pięścią gniewu – srogo odgrążam.  
(Osaczony)

Tematycznie innym tomem są najnowsze *Złowieszcze gry z naturą*. Stanisław Nyczaj należy do prekursorów nurtu zwanego ekopoezją i ekosztuką. Ochrona środowiska naturalnego człowieka to główna problematyka, której książka została poświęcona. (Prócz Nyczaja w owym nurcie sytuują się tacy twórcy, jak świetny poeta Harry Duda czy rzeźbiarz Adolf Panitz). Tym artystom leży na sercu los natury w jak najszerszym pojęciu. Pragną – jak czyni to Nyczaj – zwrócić uwagę czytelników, że oto:

W samym środku nieba  
ciemnieje słońce zasypywane popiołem  
naszych myśli i przeczuć.

Mamy tu do czynienia z ekspresyjnymi obrazami niszczonego świata, autozagłady dokonywanej przez samego człowieka. Jako jedyne zwierzę na Ziemi unicestwia on naturę, z której przecież się wywodzi, a która – jako niezbywalny czynnik – pozostaje gwarantem naszego istnienia.

Język poetycki Stanisława Nyczaja jest bardzo nośny. Poeta potrafi tworzyć wyraziste, przerażające obrazy, same w sobie stanowiące ostrzeżenie dla (by zbudować neologizm utrzymany w stylu poety) wszechistnienia. Świat zimny, pokryty popiołami; istna pustynia złożona wypalonych z hałd, poszarzałe niebo, ciemność – oto złowroga rzeczywistość, w której rozgrywa się teatr poetycki *Złowieszczych gier z naturą*; jakaś straszliwa antycypacja nadciągających wydarzeń.

Wiersze Stanisława Nyczaja są pełne akcji. Tutaj nie sama narracja odgrywa główną rolę, ale wizje pełne znaczeń:

Stąd, równiny pokrytej pozorem przestrzeni,  
w jezior oswobodzony od mgły, dymów przestwór  
przelewam się roztopiony oczadziałym słońcem  
aż po zenit rześkiego błękitu, choć godziny  
szybkim świerszczem migocą u wylękłych uszu.

Świat przedstawiony w poezji Stanisława Nyczaja jest zatruty. Sprawia też wrażenie rzeczywistości martwej lub wręcz sztucznej. W taką zamienił ją nie kto inny, ale sam człowiek. Przytoczmy pełne sarkazmu słowa poety:

Czy tak naprawdę, z ręką na sercu,  
Człowiek to najszcześniejszy traf intuicji genów?  
[...]  
Rostły, potężniały mu ręce;  
w samą porę w dwójnasób  
opasał nimi glob.

Jest to nieszczęście samego człowieka, ale przede wszystkim globu znajdującego się w morderczym uścisku. Z dzisiejszego punktu widzenia możemy powiedzieć, że słowa „czyńcie sobie Ziemię poddaną” brzmią obecnie złowieszczo. Píše o tym Nyczaj w wierszu *Rozpaczliwe wezwanie*. Jednocześnie utwór ten jest dramatycznym apelem o zaprzestanie działalności niszycielskiej. Bardzo poetyckim, zarazem ostrym i bezkompromisowym.

Ale człowiek jest niepoprawny, pozbawiony naturalnego instynktu zachowawczego. Oto bohater wiersza *Rozglądam się w swoim gospodarstwie* oświadcza z pewnością siebie:

Oddano mi kawałek ziemi we władanie. Długo  
myślałem, co na nim uczynić: las, rajski ogród, czy  
zbożowy łąn?  
Po chwili wahania  
zasadziłem... m i a s t o.

Zmiany klimatu, pandemie, pożary i powódzie, wszelkie żywiołowe klęski to właśnie skutek owego pojętego bezrozumnie „ujarzmiania” natury. Poezja Stanisława Nyczaja ukazuje przyczyny i skutki takiego działania, ale przy tym nie ma charakteru dydaktycznego, retorycznego. Bardzo ekspresyjne, wyraziste obrazy, bezpośrednio odnoszą się do wyobraźni czytelnika. Są one same w sobie już dostatecznie apokaliptycznymi ostrzeżeniami dla mieszkańców naszego globu.

Miejmy nadzieję, że ów nurt ekopoezji rozwinię się i utrwali. Przecież te zjawiska, o których pisze Nyczaj, wciąż eskalują się na naszych oczach. Sama tematyka mogłaby nieść niebezpieczeństwo zbanalizowania zagadnienia, popadania w ton kanzodziejski. Przed tym szczęśliwie uchronił się autor *Złowieszczych gier z naturą*. Utrzymał w ryzach emocje, a poetyckiemu słowu nadał ostrości oraz celności w stawianiu diagnoz współczesnemu światu.

Warto dodać, że wiersze z tego tomu poprzedza świetny esej poety na temat nurtu ekopoetyckiego. Wnikliwym posłowiem opatrzył książkę Jerzy Wróblewski.

Stefan Jurkowski

**Marlena Zynger**, właśc. Ewa Bartkowiak z d. Marczevska (ur. 25 grudnia 1972 r. w Milanówku) – polska poetka i dziennikarka, członkini Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, ZA-iKS, Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, Słowiańskiej Akademii Literatury oraz Movimiento Poetas del Mundo.

W 2013 roku została laureatką XIII Światowego Dnia Poezji UNESCO (Złote Pióro).

Od 2013 roku poetka jest wiceprezesem Stowarzyszenia Promocji Polskiej Twórczości oraz wydawcą i redaktorką naczelną ogólnopolskiego Kwartalnika Literacko-Kulturalnego „LiryDram” (dotowany przez MKiDN – 2018 i 2019, 165 stron, dystrybuowany przez sieć salonów EMPiK).

W 2017 roku Marlena Zynger została odznaczona przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

W 2019 roku poetka otrzymała nagrodę pracy organicznej im. Marii Konopnickiej.

Marlena Zynger jest autorką czterech tomów poetyckich (*Każdemu wolno mówić, Czas śpiewu kobiety. Odłona pierwsza, Do-tykanie, i Dwa maty*) oraz wielu publikacji w pismach literackich w Polsce i za granicą. Jej wiersze zostały przetłumaczone na kilka języków i wydane m.in. w Bułgarii oraz w Serbii.

Poetka jest również autorką scenariuszy widowisk i spektakli: *Czas śpiewu kobiety. Odłona pierwsza, Powiedz mi. Powiedz* oraz *Zatrzymaj się*; wystawianych m.in. na takich scenach, jak Teatr Hybrydy w Warszawie, Teatr Witkacego w Zakopanem, Loch Camelot w Krakowie oraz w Muzeum Niepodle-

głości w Warszawie i Muzeum Jana Kasprowicza w Zakopanem – Harenda.

Twórczość poetki prezentowana była podczas wielu koncertów, m.in. w Trójkowym Studio im. A. Osieckiej, w Radio Kraków, w Salonie Poezji w Łazienkach Królewskich, w Piwnicy pod Baranami w Krakowie, podczas II Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Poetyckiej w Katowicach, w poznańskiej kawiarni artystycznej „Pod Pretekstem”, w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym oraz w Ambasadzie RP w Londynie; również na XXXVIII Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego (2007/2008, Warszawskie Łazienki w poezji i prozie).

### **Feniks – Nagroda Ekspresjonistyczna im. Tadeusza Micińskiego**

Nagroda została utworzona w Warszawie 9 listopada 2013 roku w 140. rocznicę urodzin Tadeusza Micińskiego. Do kapituły weszli literaturoznawcy, pisarze i artyści, autorzy artykułów o patronie nagrody i jego znaczącym dorobku. Nagroda promuje twórców, którzy odważnie wkraczają w nowe obszary eksploracji naukowej, literackiej i artystycznej, a przy tym akcentują ekspresję, głębię filozoficzną i nowatorstwo formalne. Ważne też jest ukazywanie rzeczywistości zdegradowanej, tragicznej, która w twórczym umyśle odradza się jak mityczny Feniks z popiołów. Nagroda jest hołdem złożonym niezależności myślowej i umiejętności łączenia elementów kulturowych z różnych epok i przestrzeni.



Fenix – nagroda ekspresjonistyczna im. Tadeusza Micińskiego, wręczona Marlenie Zynger przez Dariusza T. Lebiody podczas XXV Ciechanowskiej Jesieni Poezji (Ciechanów, Opinogóra)



## W trosce o nowe interakcje pomiędzy pisarzami a czytelnikami

Rozmowa Stanisława Nyczaja z dyrektorką staszowskiej księgarni Ewą Cygan

**Stanisław Nyczaj** – Na początek bardzo proszę przedstawić się Czytelnikom „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” z dotychczasowych osiągnięć zawodowych (m.in. jak długo kieruje Pani staszowską księgarnią?) i pasji osobistych.

**Ewa Cygan** – Jestem dyrektorką Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Staszowie już od 20 lat. Nie powiem nic nowego, że lubię dobrą książkę, interesuję się też historią.

**S.N.** – Nasza współpraca trwa więcej niż ćwierć wieku. Kiedy zostałem wybrany prezesem Kieleckiego Oddziału ZLP (1996) i Oficyna Wydawnicza „STON 2” (powstała w 1994) rozwinęła działalność, wspierając Oddział, kontaktowaliśmy się coraz częstszymi przyjazdami do Staszowa, będąc w jego ratuszu, siedzibie biblioteki, mile widzianymi gośćmi. Biblioteka gromadziła nowości wydawnicze, które też nad Czarną staraliśmy się promować. W ratuszowej sieni miały miejsce spotkania autorskie z poetami, prozaikami, satyrykami. Pomysłem trafionym w dziesiątkę w latach 1996-1997 były edycje kilku tomów wraz z plakatami, opracowanymi plastycznie na wysokim poziomie artystycznym. Jak utrwalił się w Pani pamięci tamten czas naszych wspólnych animatorskich działań?

**E.C.** – Wprawdzie w tych latach nie pracowałam jeszcze w bibliotece publicznej, ale w kronice biblioteki są pamiątkowe wpisy ze spotkań z literatami, m.in. w 1995 roku ze spotkań z Panem. Sukcesywnie były także kupowane publikacje wydawane w latach 90. przez Oficynę Wydawniczą STON 2. Co roku staraliśmy się w miarę posiadanych środków finansowych kupować kilka książek autorstwa członków ZLP Oddziału w Kielcach.

**S.N.** – Świetną kontynuację tych działań umożliwiły staszowskie plenery literacko-plastyczne pn. Staszowskie Lato Literackie od 2009 roku. Wspólnie Benedykt Kozieł (ich główny organizator) i ja (ich komisarz) zabiegaliśmy, by także w Bibliotece odbywały się spotkania z pisarzami. Pani obmyśliła, żeby uczestniczyli w tych spotkaniach bibliotekarze z całego powiatu, co zrodziło cenny asumpt do występów pisarzy w terenie z zainteresowanymi grupami miejscowej inteligencji. Zna Pani, za-



pewne, ocenę bibliotekarzy co do pożytku tych literackich odwiedzin?

**E.C.** – Mieliśmy przyjemność wielokrotnie gościć w bibliotece uczestników plenerów literacko-plastycznych w Staszowie. Takie spotkania odbywały się m.in. w Połańcu, Rytwianach, Łubnicach. W staszowskiej bibliotece spotykaliśmy się m.in. z Teresą Opoką, Ireną Paździerz, Utą Przyboś, Romualdem Bielendą i pozostałymi uczestnikami plenerów. Na te spotkania zapraszaliśmy bibliotekarki z innych placówek, które miały okazję do porozmawiania z pisarzami, zakupu książek, posłuchania poezji w wykonaniu samych autorów, poznania ciekawych ludzi, ich drogi do pisania. Jak zapewne Pan pamięta organizowaliśmy wspólnie także kiermasze, spotkania literackie z liryką miłosną pt. „Dialog serc” w wykonaniu Pana i Pani Ewy Wojtasik.

Ze smutkiem – nawiasem mówiąc – muszę stwierdzić, że maleje zainteresowanie poezją. Rzadziej trafia się czytelnik wypożyczający tomiki poezji.

**S.N.** – Biblioteka przeniosła się z Rynku do nowej siedziby przy ul. Szkolnej 15. Zyskała nie tylko rozleglejsze miejsce na wzbogacający się księgozbiór, ale i większe pomieszczenia na prezentacje promocyjne. Obecnie śmielsze przedsięwzięcia uniemożliwia pandemia agresywnego koronawirusa. Coś wszakże i przy tych ograniczeniach jest możliwe?

**E.C.** – Tak, mamy teraz piękną i dobrze wyposażoną siedzibę. Możemy organizować spotkania i dla większej widowni, i bardziej kameralne. Niestety w dobie epidemii spotkania mogą odbywać się tylko online. Możemy także robić wystawy promujące książki.

**S.N.** – Gdy jakoś wyrobimy na tym koronawirusa, marzy mi się (co dzielają nasi literaci z Kieleckiego Oddziału) stały salon literacki w Bibliotece z udziałem skupiającego się przy niej Klubu Przyjaciół Książki. Zyskalibyśmy w Staszowie nowych czytelników. Czy taka inicjatywa, niewymagająca jakichś większych środków, miałaby szansę spełnienia?

**E.C.** – Po „koronawirusa” możemy pomyśleć o organizowaniu cyklicznych spotkań z literaturą, połączonych z kiermaszem książek. Jest to uzależnione nie tylko od naszych wspólnych chęci, ale także od posiadanych środków na organizowanie tego typu imprez.

**S.N.** – Czego oczekiwałaby Pani Dyrektor, prócz dobrych, ciekawych książek, od wypróbowanych przyjaciół literatów, jakimi się czujemy? Jakiego animatorskiego wsparcia? Jakich inwencji?

**E.C.** – Organizowania spotkań, zajęć, warsztatów literackich dla młodzieży. Ale do tego trzeba się odpowiednio przygotować. Nie wystarczy pogadanka, trzeba mieć jakiś pomysł, żeby nie tylko młodzi przyszli, ale i słuchali z zainteresowaniem.

**S.N.** – Może rozdać wcześniej grupie zadeklarowanych uczestników wybrane utwory do własnego przeczytania na spotkaniu z ewentualnym ich własnym komentarzem. Zachęcić do wypowiedzi, co ich w tych utworach zainteresowało czy nawet co ujęło. Jakie emocje, przemyślenia wywołało? W jakim stopniu poruszyło wyobraźnię? Nagrodzić najaktywniejszych zbiorami poezji, prozy, satyry z autografami. To właśnie wymagałoby owego starannego, poprzedzającego planowane spotkanie przygotowania, jakiego potrzebę Pani podkreśla. Sugeruję taki scenariusz już niejednokrotnie przez nas z organizatorami w szczegółach opracowywany. Za każdym razem sprawdził się. Bywało, że przyczyniał się do nawiązania trwałszych kontaktów z wrażliwymi odbiorcami naszej twórczości, a w następstwie jej propagatorami nie tylko na Facebooku. Właśnie te udane interakcje pisarzy z czytelnikami w różnym wieku, nie wyłącznie młodymi, skłoniły mnie przed trzema laty do utworzenia przy Oddziale ZLP Klubu Przyjaciół Świętokrzyskich Literatów. Z nimi rozruszałem m.in. spontaniczną konkursową Świętokrzyską Satyriadę, która weszła do programów plenerów literackich na Żeromszczyźnie w Ciekotach, poniedziałkowego w Busku Zdroju. Mogłaby się stać atrakcją Staszowskiego Lata Literackiego już w roku 2021 przy wydatnym współudziale Pani wspaniałej Biblioteki.

Nim to nastąpi, bardzo dziękuję za rozmowę.



Nowy budynek Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Staszowie Fot. Marcin Jarosz

## Z naszych plenerów



Wycieczka do Klimontowa



Na Kopcu Kościuszki w Połańcu Fot. B. Kozieł

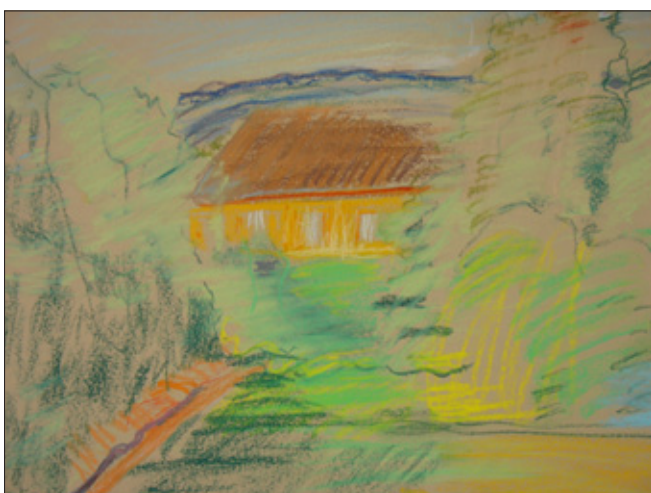


Joanna Rzodkiewicz-Nowocien i Stefan Jurkowski prezentują się w salonie Staszowskiego Ośrodka Kultury

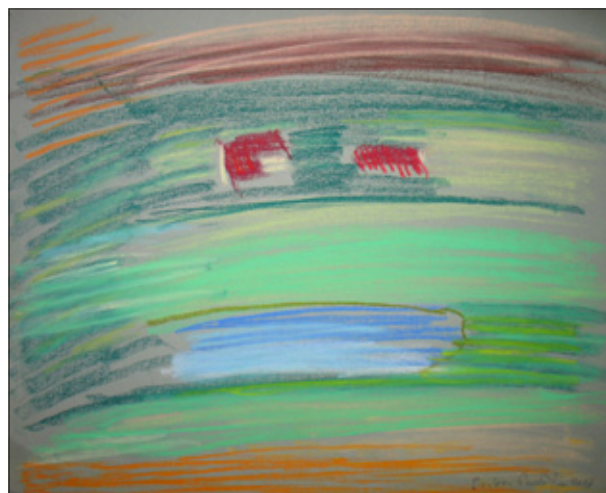


Kiermasz książek w staszowskim ratuszu – dawnej siedzibie Biblioteki Fot. Joanna Rzodkiewicz-Nowocien

## Pastele Barbary Pasierb-Jezerskiej



Dworek Stefana Żeromskiego w Ciekotach



Pejzaż z Pasmem Masłowskim I



Dorota Kwoka, Bez tytułu, olej na płótnie



Dorota Kwoka, Bez tytułu, olej na płótnie



Dorota Kwoka, Bez tytułu, olej na płótnie